

**DIRIE WARIS
D'HAEM JEANNE**

CÓRKA NOMADÓW

DIRIE WARIS

D'HAEM JEANNE

CÓRKA NOMADÓW

DO CIEBIE

Pomóżcie mi - usiąść i marzyć, usiąść i czytać,

Usiąść i uczyć się o świecie

Istniejącym poza naszym obecnym, teraźniejszym Światem problemów -

Marzyć o niezmiernym horyzoncie duszy,

Która dzięki marzeniom staje się całością -

Z pęt wyzwoloną, wolną - pomóżcie mi!

Langston Huges

przełożyła Ludmiła Marjańska

JESTEŚ PIĘKNA, AFRYKO

Czy ktoś powiedział ci,

jak piękna jesteś, Afryko?

Twoje pełne ciało i zmysłowe wargi

pocałunkami darzą moją duszę - Afryko - wiążę mnie z tobą dudniący tam- tam mojego serca, które tłoczy krew

prawem moich narodzin. Jesteś moja.

Rashidah Ismaili

MOJE MARZENIA NA PUSTYNI

Pewien człowiek przyszedł do Wysłańca Boga i zapytał:

„Powiedz mi, Wysłanniku Boga, kto najbardziej zasługuje na moją miłość?”.

„Twoja matka” - odpowiedział Prorok.

„A kto jeszcze?” - pytał dalej ów ciekawski.

„Twoja matka”. „A kto następny?”. Prorok odpowiedział:

„Twoja matka”. „A potem kto?” - dociekał pytający.

„ Twój ojciec „ - odpowiedział Prorok.

Jedna z legend somalijskich o proroku Mahomecie

W Somalii złe duchy są białe. Nazywane są dżinami i uchodzą za wszechobecne.

Rzeczywiście wszędzie ich pełno. Potrafią wpędzać ludzi i zwierzęta w choroby bądź płatać nam złośliwe psoty. Jeśli na przykład odłożymy coś na bok, wystarczy, że się odwrócimy, a już nie możemy tej rzeczy znaleźć. Wiadomo, usiadł na niej dżin. Moja matka zwykle wtedy krzyczała: „Idź precz, diable, od moich rzeczy! Wara ci od nich, nie ma tu nic dla ciebie!”.

Znała bowiem dobrze ich diabelską naturę i wiedziała, jak z nimi postępować. Umiała stosować odpowiednie zaklęcia, a także liście lub korę właściwych drzew, aby wypędzać złe duchy, gdy któreś z dzieci zachorowało. Z jednych kwiatów i korzeni sporządzała wywary, a inne dawała nam do żucia na surowo. Niektóre liście i grzyby nosiła wysuszone w skórzanej sakwie. Potrafiła określać czas na podstawie dymu, wiatru i gwiazd, toteż z racji tych nadprzyrodzonych zdolności otaczał ją ogólny szacunek. Pamiętam, jak przynoszono do niej chore zwierzęta, aby je wyleczyła.

Urodziłam się i wychowałam na pustyni somalijskiej. Trudno mi zliczyć, ile jeszcze dzieci miała moja matka, bo wiele z nich zmarło zaraz po przyjściu na świat. Podobnie jak większość Somalijczyków, zajmowaliśmy się hodowlą wielbłądów i kóz, których mleko stanowiło nasze główne źródło utrzymania. Moi bracia opiekowali się wielbłędami, co zgodnie z tradycją należało do zajęć męskich, podczas gdy dziewczęta dbały o drobniejszy inwentarz.

Moja rodzina rzadko pozostawała w jednym miejscu dłużej niż przez trzy. cztery tygodnie. Tyle czasu potrzeba było, aby nasze stada wyskubały wszystką trawę, a wtedy ruszaliśmy w poszukiwaniu innych pastwisk.

Któregoś dnia - a przeżyłam już wtedy osiem pór deszczowych, w naszym języku nazywanych *gu* - pasłam kozy niedaleko obozowiska. Aby tam się dostać, musiałam pokonać strome ściany wyschniętego koryta rzeki - po naszymu *tuug*. Już dzień wcześniej zauważyłam bowiem, że w tym miejscu rośnie świeża trawa i kilka drzew akacji. Większe kozy, kiedy stanęły na tylnych nogach,

mogły dosięgnąć dolnych gałęzi i obgryzać liście. W porze deszczowej kozy z łatwością same znajdują pożywienie, ale podczas pory suchej trzeba się rozglądać za najmniejszym skrawkiem zieleni i nie spuszczać zwierząt z oka ani na chwilę, bo za każdym krzakiem czyhają drapieżniki.

Popołudnie było tak upalne, że schroniłam się w cieniu, podśpiewując pod nosem i bawiąc się lalkami, które zmajsztrowałam z patyczków. Bawiłam się sama w „dom”, gdyż mimo młodego wieku miałam już wizję swojego przyszłego męża. Z mokrego piasku zbudowałam domek na wzór naszego, większe kamyki miały imitować wielbłądy, a mniejsze -

kozy. Uważałam, że ten domek jest ładniejszy niż prawdziwy, który składał się z mat wplecionych przez moją matkę z długich traw. Maty dobrze się nadawały do szybkiego demontażu i załadowania na grzbiet wielbłąda, kiedy przenosiliśmy się z miejsca na miejsce.

Starałam się, aby moja chatka z piasku była równie przytulna, gdyż wyobrażałam sobie, że mieszkam tam z mężem i dziećmi.

Rozgrzanego powietrza nie poruszał nawet najmniejszy wietrzyk, dzięki czemu oba brzegi wyschniętego koryta rzeki były doskonale widoczne z dużej odległości. Kiedy wieczorem zaganiałam stado do obozowiska, widziałam chciwe, żółte oczy hien śledzących każdy nasz krok. Trzeba się było mieć się na baczności, aby nie okrążyły którejś z kóz, no i pod żadnym pozorem nie wolno było okazywać strachu, tylko śmiało i zdecydowanie podążać naprzód.

W którymś momencie Biała, ulubiona koza mojej matki, zadarła łeb i wciągnęła powietrze. Spojrzałam w tym samym kierunku i zobaczyłam na krawędzi wąwozu mężczyznę prowadzącego wielbłąda na plecionej linie. Zazwyczaj wielbłądy chodzą gęsiego za pierwszym ze stada, który nosi na szyi wydrażony, drewniany dzwonek, wydający charakterystyczny, głuchy dźwięk. Ten na krawędzi poruszał się chwiejnym krokiem, kręcił

w kółko i wykonywał konwulsyjne ruchy. Nie walczył ze swoim panem, tylko drżał na całym ciele i toczył pianę z pyska. Wydawało się, że lada chwila nie ruszy się dalej na krok.

Zachowywał się, jakby diabeł w niego wstąpił, a przewodnik, szarpiąc sznurem, starał się go prowadzić, dopóki biedne zwierzę rzeczywiście nie opadło z sił i nie zważyło się na ziemię.

Wtedy prowadzący próbował zmusić je do wstania, krzycząc i bijąc kijem po brzuchu.

Od razu poznałam, że to ciężarna wielbłądzica, a więc zwierzę o dużej wartości.

Zdziwiłam się też, że jej właściciel usiadł na ziemi i ukrył twarz w dłoniach. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby dorosły mężczyzna siadał wprost na gołej ziemi. Prawdziwi koczownicy odpoczywają, stojąc na jednej nodze i zakładając stopę drugiej na udo, a ręce trzymają splecione na kiju przełożonym przez ramiona. Mogą czasem przykucnąć, ale nigdy nie siadają. Nie widziałam też, aby ktokolwiek bił wielbłąda tak jak on. W moim plemienu wielbłądy stanowiły majątek, a ich właściciele cieszyli się autorytetem i wysoką pozycją społeczną. Za wielbłądy mogli kupić wszystko, nawet żony. Zwierzętom tym przypisywano nadprzyrodzone właściwości. Mój ojciec i wujowie traktowali je stanowczo, ale nigdy nie bili, chyba w razie oczywistej krnąbrności lub uporczywego

nieposłuszeństwa. Wielbłądy bowiem często bywają złośliwe, potrafią kopnąć lub ugryźć, więc dawno już nauczyłam się trzymać z daleka od ich nóg i zębów.

Nie chciałam, aby człowiek z wielbłądem zdał sobie sprawę z mojej obecności, bo obawiałam się, że mógłby uderzyć także i mnie. Najchętniej pobiegłabym do domu i opowiedziała mamie, co zobaczyłam, ale nie mogłam przecież zostawić kóz bez opieki.

Gdyby się gdzieś zabłąkały lub którąś z nich porwała hiena, ojciec spuściłby mi tęgie lanie.

Przyczałam się więc i wstrzymałam oddech jak zagubiona w buszu młoda gazela.

W końcu wielbłądzica przestała się trząść. Rozejrzała się dookoła, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że leży na ziemi. Podciągnęła nogi i wstała jednym gwałtownym ruchem.

Nie brakowało jej urody właściwej wielbłądom, ale z pyska ciekła jej ślina i piana. Równocześnie z nią wstał także przewodnik, jakby nie pierwszy raz miał do czynienia z taką sytuacją. Ponownie ujął sznur i poprowadził chore zwierzę najpierw na dno wąwozu, a potem na jego przeciwległy brzeg, w stronę naszego obozu. Na pewno niepokoił się stanem swojej wielbłądzicy, bo gdyby padła - straciłby nie tylko ją i jej nieurodzone młode, ale i szansę na uzyskanie od niej jakiegokolwiek potomstwa w przyszłości.

Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz tak długo utrzymywały się upał i susza. Moi rodzice nie dawali nic poznać po sobie, ale wiedziałam, że ich to martwi. Źródła bijące z dna wąwozu wysychały i stopniowo zaczynało nam brakować wody. Musieliśmy wciąż zmieniać miejsce pobytu w poszukiwaniu wodopoju dla zwierząt. Ostatniej nocy padło nowo narodzone wielbłądziałko. Znalazł je mój młodszy brat, którego nazywaliśmy Starcem, bo urodził się z kępkami siwych włosów i zawsze wiedział o wszystkim wcześniej niż inni. Ojciec tylko trącił

nogą biedne maleństwo, składające się prawie z samych nóg i szyi, a potem wpatrzył się w bezchmurne niebo. W czasie suszy często tak spoglądał w niebo i błagał Allaha o deszcz.

Nie mogliśmy zjeść mięsa małego wielbłąda, bo islam zakazuje spożywania zwierząt, które nie zostały rytualnie zabite przez poderżnięcie gardła. Sępy zaczęły już zataczać kręgi nad naszymi głowami, a ich długie skrzydła rzucały cień. Pamiętam do dziś szum wiatru w wysuszonym powietrzu i szmer modlitw szeptanych przez moją matkę, która nigdy nie zaniedbywała tego religijnego obowiązku, bez względu na powagę sytuacji. Nawet w chorobie, kiedy zgodnie ze zwyczajową dyspensą mogła się ograniczyć do trzech modlitw dziennie zamiast przepisowych pięciu, zawsze modliła się pięć razy w ciągu dnia.

Muzułmanie przed każdą modlitwą dokonują rytualnych ablucji, bo wierzą, że w ten sposób oczyszczają nie tylko ciało, ale i duszę przed rozmową z Bogiem. Czasem ledwo wystarczyło nam wody do picia i pojenia zwierząt, co dopiero mówić o myciu, a wtedy mama obmywała się piaskiem. Pięć razy dziennie wykopywała spod jakiegoś krzewu ziemię, po której nie przechodził żaden człowiek ani żadne zwierzę. Nabierała jej w garści i szorowała sobie twarz i stopy. Dopiero potem rozkładała dywanik modlitewny, klękała na nim twarzą w kierunku wschodnim, tak aby patrzeć w stronę świętego miasta Mekki, biła w tym kierunku pokłony i zawodziła: „Nie ma Boga prócz Allaha,

a Mahomet Jego prorokiem..”. Pory modlitw wyznaczało nam słońce. Odmawialiśmy je o świcie, w południe, przed zachodem słońca, po jego zachodzie i późnym wieczorem.

Po odmówieniu modlitwy do Allaha mama zwijała dywanik i odnosiła go do chaty, którą sama zbudowała z długich, elastycznych korzeni drzewa *galol*. Wykopała je z ziemi i ustawiła tak, by tworzyły rusztowanie, które obłożyła uplecionymi z trawy matami. W ogóle moja matka była najpracowitsza z całej rodziny. Gotowała posiłki, karmiła dzieci, za każdym razem budowała od nowa dom, wyplatała maty do spania, wyrabiała koszyki i drewniane łyżki. Pełniła funkcje kucharki, budowniczego, lekarza i mojej jedynej nauczycielki. Nie skomentowała śmierci młodego wielbłąda, po prostu przeszła nad tym do porządku dziennego.

Bóg chce, aby kozy dały dziś dużo mleka - oświadczyła. Wygłaszała tę formułkę codziennie rano, kiedy zabieraliśmy się do dojenia wielbłądzic i kóz. Mama umiała właściwie postępować ze zwierzętami, które uspokajały się pod dotknięciem jej ręki. Kiedy ja chciałam wydoić kozę, musiałam ścisnąć jej łeb między kolanami i pochylać się nad jej grzbietem, aby nie mogła mnie kopnąć ani napaskudzić do miski. Natomiast zwierzęta dojone przez mamę stały przy niej spokojnie i chętnie pozwalały jej dotykać swoich atlasowych wymion, jakby sprawiało im to przyjemność, podczas gdy mama podśpiewywała i żartowała.

Tego dnia najwięcej mleka dała Biała i matka rozdzieliła je między nas wszystkich.

Wręczając ojcu napełnioną miseczkę, spojrzała mu prosto w oczy, co czyniła nader rzadko, a ich ręce na chwilę się zetknęły. Mój ojciec był tak silny, że potrafił podnieść naszą największą kozę. Pochodził z plemienia Darod - najliczniejszego i najpotężniejszego klanu w całej Somalii. Jego członków przezywano *Libah*, czyli lwami. Tato był najwyższy ze wszystkich mężczyzn, jakich znałam, a wzrok miał tak bystry, że z daleka odróżniał, czy gazela na stepie jest samcem, czy samicą. Wiedziałam, że uchodził za przystojnego, gdyż kobiety często się z nim przekomarzały.

Teraz już się upewniłam, że obcy mężczyzna prowadzi wielbłądzicę do naszego obozu. Wychodziłam ze skóry, aby się dowiedzieć, co to za dziwny człowiek i co się dzieje z jego wielbłądem, ale nie mogłam przecież zostawić kóz bez opieki. Na szczęście po przeciwnej stronie wąwozu mój brat, Starzec, zbierał właśnie chrust na opał. Złożyłam dłonie w trąbkę i zawołałam do niego: „Calli!”, co po naszymu znaczyło „Chodź tutaj!”, bo nie miałam pojęcia, do czego może mu być potrzebny chrust. Od razu zbiegł na dno koryta rzecznego.

- Co tam się dzieje? - wołałam z drugiego brzegu.

- Mama musi rozpaść wielki ogień, bo nasz kuzyn przyprowadził chorą wielbłądzicę!

- odkrzyknął. Starzec, mimo budzących zdziwienie siwych włosów, miał miłą buzię i oczy barwy żywicy. Był bardzo podobny do matki, która miała opinię naprawdę pięknej kobiety.

Oczywiście nikt nie powiedziałby jej tego w oczy, bo wierzono, że tym sposobem można ściągnąć na nią nieszczęście.

- Słuchaj, Starzec, chodź tu i popilnuj kóz, dobrze? - zaproponowałam. - Muszę koniecznie zobaczyć

się z mamą.

Braciszek wahał się przez chwilę, ale niezbyt długo. W jego wieku powierzenie mu pasienia kóz stanowiło zaszczyt, bo chłopcy długo dosługiwali się honorowej funkcji pasterza wielbłądów, wprawiając się najpierw na owcach i kozach. Dotąd nie dopuszczałam go do moich zwierząt pod pretekstem, że mógłby je przestraszyć, ale teraz chciałam uczestniczyć w tym, co będzie się działo, nawet za cenę lania, które nie ominęłoby mnie, gdyby Starzec zgubił którąś z kóz.

W obawie, aby ktoś nie zauważył, że lekceważę swoje obowiązki, podkrađłam się na paluszkach do naszej chaty. Na szczęście nikt nie zaprzętał sobie głowy obecnością jeszcze jednego chudego dzieciaka. Doleciał mnie zapach płonącego ogniska i herbaty, którą moja starsza siostra nalewała do szklanek. Trzymała dzbanek wysoko i nalewała płyn cienkim strumieniem, aby aromat intensywniej się rozchodził. Podając szklanki z parującym napojem ojcu i gościowi, trzymała oczy skromnie spuszczone, jak przyzwoitej kobiecie przystało.

Zdziwiłam się tylko, dlaczego to nie mama podaje herbatę mężczyznom.

Tymczasem wielbłądzica pozostawiona pod ścianą chaty znów zaczęła się rzucać i wstrząsały nią drgawki, jakby dostała konwulsji. Moja matka przykucnęła nieopodal w miejscu, gdzie sięgał cień naszego domku, i obserwowała każdy ruch zwierzęcia z taką uwagą, jakby chciała je kupić. Zauważyłam, że wielbłądzica ma jasnobrunatną sierść w takim odcieniu jak grzywa lwa, a wzdęty brzuch wskazuje na zaawansowaną ciążę, ale od ciągłych upadków tu i ówdzie skórę miała rozciętą lub otartą do krwi. Mama wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana, choć ten widok wcale jej nie przerażał. Podkrađłam się cicho do matki i przycupnęłam za jej plecami, bo ciekawiło mnie, co ma zamiar zrobić. W przyszłości też chciałam zostać znachorką jak ona!

Równocześnie matka przyglądała się z daleka, jak mężczyźni piją herbatę i rozmawiają o polityce, między innymi o walkach w Ogade- nie (prowincji Etiopii). Nasz gość okazał się dalekim kuzynem ojca. Był od niego niższy i miał śmiesznie małą głowę, osadzoną na długiej szyi, jak u strusia. Matka jednak od razu wyczuła, co to za człowiek, gdy tylko dostrzegła zaschniętą krew i kłaki wielbłądziej sierści na końcu jego kija.

Wstała i wolnym krokiem podeszła do zwierzęcia, zawodząc cicho: „Allah bah wain”, co znaczyło „Bóg jest wielki”. Wyciągniętą ręką dotknęła policzka wielbłądzicy, a potem delikatnie powiodła czubkami palców wzdłuż jej szyi poprzez łopatkę aż do brzucha. Zwierzę nie ruszyło się z miejsca, ale przez cały czas drżało na całym ciele. Mama obmacywała mu brzuch, wyczuwając ruchy rozwijającego się wewnątrz maleństwa. Samica była tak wychudzona, że sterczały jej żebra, toteż matka bez przeszkód mogła słyszeć bicie serca płodu, przykładając ucho do boku ciężarnej. Potem odsunęła się trochę, aby zetrzeć dłonią pianę wyciekającą z pyska wielbłądzicy. Rozcierała te ślinę w palcach i próbowała jej smaku.

Zajrzała do pyska zwierzęcia, oglądając zęby i język. Odczekała, aż samica odda mocz, i

powąchała mokry piasek. Wszystkie te czynności wykonywała bez pośpiechu, jakby czekając na właściwą porę, aż słońce schowa się za grzbiety wzgórz. W ogóle moja mama wiedziała, kiedy coś musi być zrobione zaraz, a kiedy lepiej poczekać. Umiała czytać w gwiazdach i na tej podstawie

potrafiła przewidzieć nadejście pór deszczowych (*gu*) i suchych (*hagad*).

Teraz mama pociągnęła za linkę, na której uwiązana była wielbłądzica, aby zmusić ją do przybrania pozycji siedzącej. Widziałam, jak zwierzę nastawiło uszy w stronę, skąd dochodził głos mojej matki, i najpierw osunęło się na klęczki, a potem podwinęło pod siebie tylne nogi. Wielbłądy uczy się, aby przykłękały, bo są za wysokie, aby nakładać im ładunki na grzbiet, kiedy stoją. Mama też przykucnęła, aby mieć twarz na wysokości głowy zwierzęcia.

W całym naszym obozowisku zapanowała cisza. Mężczyźni przerwali rozmowę, a kobiety starały się nie szczekać garnkami. Nawet dym z ogniska snuł się powoli, jakby na coś czekał. Tymczasem mama ujęła w obie dłonie pysk wielbłądzicy i klepała ją delikatnie po policzkach z obu stron, patrząc jej prosto w oczy. Powtarzała przy tym: „Uciekaj, diable, wynoś się stąd! Nikt cię tu nie chce!”. Wymówiła to zaklęcie i klepnęła wielbłąda po policzkach akurat tyle razy, ile trzeba było, aby wygnać złego ducha. Dla wzmocnienia efektu tych zabiegów dotknęła nosa zwierzęcia - bramy do jego duszy - skórzanym amuletem, który nosiła na szyi, wypowiadając odpowiednie wersety Koranu. Chora wielbłądzica zdawała się wstrzymywać oddech, a potem przestała się trząść i zaczęła spokojnie przeżuwać.

Mama podniosła się z ziemi, ale zanim podeszła do mężczyzn, zasłoniła twarz chustą, która nosiła na głowie. Nie podnosząc na nich oczu, wytłumaczyła im, że wielbłądzicę opętał

zły duch i to on powodował drgawki.

Ona już niedługo urodzi - dodała. - Zanim księżyc się odmieni. Na razie demon ją opuścił, ale gdyby powrócił, ona musi nabrać sił, by się przed nim obronić. Powinna odpocząć, trzeba dawać jej do syta jeść i pić, dopóki nie urodzi.

- Ona nie chce jeść - zaproponował kuzyn mego ojca.

- Nie chciała, bo bała się złego ducha, który ją dręczył - wyjaśniła mama. - Jeśli będziesz ją głaskał i łagodnie do niej przemawiał, na pewno zacznie jeść i nabierze ciała.

- Aha, rozumiem - przytaknęli równocześnie ojciec i jego kuzyn.

- Zabijemy kozła, urządzimy ucztę i będziemy modlić się do Allaha, aby ten dzin już nigdy nie wrócił - dodał jeszcze ojciec. Kiedy wymówił słowo „koziół” - podskoczyłam i wtedy mnie zauważył. Zanim zdążyłam się wycofać, schwycił mnie za ramię, przyciągnął do siebie i wymierzył siarczysty policzek, aż krew pociekła mi z nosa. Chciał poprawić, ale wyrwałam się i po omacku popędziłam z powrotem na pastwisko. Aby się tam dostać, musiałam sforsować obie ściany wąwozu, którego wnętrze tonęło w ciemnościach. Potykałam się więc o sterczące skałki i rozdzierałam sobie skórę o ciernie krzewów *galol* zanim usłyszałam beczenie koziołka, którego nazywaliśmy „Dzidzius”, bo zawsze najgłośniej się darł. Oznaczało to, że Starzec sprowadza już kozy. Widok jego białych włosów połyskujących w mroku przyniósł mi taką ulgę, że aż się popłakałam. Ręka bolała mnie tak, jakby była złamana, i wiedziałam, że po powrocie nie minie mnie lanie. Tak bardzo chciałam poczuć na twarzy kojący dotyk rąk matki zamiast karzącego ciosu ręki ojca, ale cóż, kiedy dla niego wielbłąd ważniejszy był od rodzonej córki!

Kilkanaście lat temu porzuciłam moją rodzinę, aby uniknąć przymusowego wydania za mąż i trudnych warunków bytowania na pustyni somalijskiej. Okazało się jednak, że styl życia na Zachodzie pod wieloma względami był dla mnie trudniejszy. W angielskich czy amerykańskich pokojach hotelowych, gdzie czułam się samotna i nawiedzana przez złe duchy, tęskniłam za dotknięciem ludzkiej ręki, choćby to miał być policzek wymierzony ręką surowego, lecz kochającego ojca. Zapłakiwałam się w poduszkę, gdyż czułam się zagubiona i pozbawiona celu w życiu. Dla Somalijczyka rodzina jest wszystkim, a więzy pokrewieństwa równie ważne jak woda czy mleko. Najcięższym przekleństwem w naszym kraju jest: „Oby po twoim domu biegały gazy! Gazy są zwierzętami bardzo płochliwymi i nawet nie podeszłyby do zamieszkanego domu, więc *tyczyć* komuś tego oznaczało, że pragnęlibyśmy, aby stracił całą rodzinę i został zupełnie sam. Dla naszych ludzi taki los byłby gorszy od śmierci, a mnie właśnie spotkało coś podobnego - znalazłam się z dala od rodziny i nawet z moim przyjacielem Daną stosunki ostatnio się pogorszyły. Właściwie najbardziej chciałam odnaleźć matkę, ale kiedy poradziłam się w tej sprawie pewnego Somalijczyka, ten z miejsca rozwiął moje złudzenia.

O tym możesz zapomnieć. Somalii już nie ma.

Wymówił te słowa tak obojętnym tonem, jakby nie wkładał już duszy w to, co mówi.

Dla mnie zaś oznaczały, że nie mam już matki. To nie mogło być prawdą! Jeśli Somalia nie istnieje, to kimże ja jestem? Wychowałam się przecież w określonej kulturze i obyczajach, mówiłam ojczystym językiem, nawet wygląd zewnętrzny miałam typowy dla naszego ludu.

Czy cały naród mógł nagle zniknąć z powierzchni ziemi, jak woda z koryta wyschniętej rzeki?

W dwutysięcznym roku minęło jedenaście lat, odkąd opuściłam swój kraj, nękany wojnami i klęskami głodu. Nie wiedziałam, co się stało z moją rodziną, a tymczasem miałam w Los Angeles wziąć udział w dyskusji panelowej na temat rytualnego okaleczania kobiet.

Zgodziłam się zabrać głos, chociaż nie przyszło mi to łatwo. W 1995 roku złamałam surowe tabu obyczajowe i opowiedziałam o tym, co mnie samą spotkało. Zezwolono mi nawet na zreferowanie tego tematu na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale każde takie wystąpienie wiązało się dla mnie z przykrymi wspomnieniami. Prawda bowiem wyglądała tak, że będąc dziewczynką niewiele większą od kozy, błagałam matkę, aby poddała mnie zabiegowi obrzezania, gdyż słyszałam, że dopiero to uczyni mnie naprawdę czystą dziewczyną.

Zabieg polegał na tym, że matka trzymała mnie mocno, podczas gdy stara kobieta wycięła mi łechtaczkę wraz z częścią sromu, a ranę zeszyła, pozostawiając zaledwie otworek nie większy od główki zapalki, którym mógł wydostawać się mocz i krew miesięczkowa.

Przedtem nie miałam pojęcia, na czym rzecz polega, gdyż był to temat tabu, którego nigdy nie poruszałyśmy w rozmowach. Przypuszczałam, chociaż nikt nie powiedział mi tego wprost, że ten właśnie zabieg stał się przyczyną śmierci mojej siostry Halimo, bardzo pięknej dziewczyny. Prawdopodobnie umarła na skutek wykrwawienia albo zakażenia, bo *midgaan*, czyli kobiety specjalizujące się w tych czynnościach, wykonują je zwykle za pomocą brzytwy lub noża ostrzonego na kamieniu. W społeczeństwie somalijskim zalicza się do kasty niedotykalnych, gdyż pochodzą z

plemienia, które nie wywodzi się bezpośrednio od Mahometa. Do tamowania krwawienia po zabiegu używały pasty z mirry, ale jeśli mimo to w ranę wdawała się infekcja, nie miały przecież penicyliny! Dopiero narzeczony w noc poślubną siłą rozrywał lub rozcinał „zapieczętowane” w ten sposób wejście do pochwy.

Trzeba było lat, abym zdała sobie sprawę, że jest to właściwie okaleczanie kobiet, ale mówiąc o tym głośno, zawsze odczuwałam strach przed karą boską, jaka mogła mnie spotkać za przełamanie zмовы milczenia.

Spóźniłam się nieco na konferencję, w której miałam wziąć udział. Nie od razu znalazłam właściwą salę, gdyż okazało się, że w tym samym hotelu równocześnie odbywa się więcej różnych spotkań. W końcu wskazano mi salę balową, w której zmieściło się chyba z pięćset lub sześćset osób. Przewodnicząca zebrania, Nancy Leno, siedziała już na podium razem z innymi uczestnikami panelu. Nauczyłam się, że w takich sytuacjach mam zachowywać się tak, jakbym dokładnie wiedziała, co mam robić. Wzięłam więc głęboki oddech i z dumnie uniesioną głową weszłam po schodkach wiodących na podium. Nancy wstała ze swego miejsca za stołem prezydyjnym i zeszła niżej, aby mnie powitać. Jej uprzejmość i pewność siebie dodały mi sił.

W dyskusji oprócz mnie brały udział adwokatka specjalizująca się w sprawach o przyznanie azylu i lekarka pochodząca z Sudanu. Na poparcie swoich argumentów przytaczały konkretne fakty i liczby, z których wynikało, że dotychczas około siedemdziesięciu milionów kobiet padło ofiarą tego okrutnego, utrzymywanego w głębokiej tajemnicy rytuału, którego korzenie ginęły gdzieś w zamierzchłej przeszłości. W różnych krajach stosowano bardziej lub mniej drastyczne okaleczanie kobiet. Na przykład wyznawcy religii sunnickiej zalecali tylko wycięcie łechtaczki. Gdzie indziej usuwano także większe wargi sromowe, ale w Somalii posuwano się najdalej - dziewczęta poddawano tam tak zwanemu obrzezaniu faraonów. Polegało to nie tylko na wycięciu łechtaczki i mniejszych warg sromowych, lecz także na zaszyciu ujścia dróg rodnych z pozostawieniem tylko niewielkiego otworu na mocz i krew miesiączkową. Według sudańskiej lekarki „zapieczętowano” w ten sposób osiemdziesiąt cztery procent egipskich dziewcząt w wieku od trzech do trzynastu lat. Obecnie proceder ten jest uprawiany nie tylko w krajach muzułmańskich, lecz także w państwach zachodnich o dużych skupiskach imigrantów. Skalę zjawiska ocenia się na blisko sześć tysięcy młodych dziewcząt.

Ja ze swej strony próbowałam opisać, przez co przeszłam jako mała dziewczynka i jakie miałam potem trudności przy siusianiu i podczas okresu. Matka zaleciła mi wtedy jak najmniej pić, żeby pozostawiony otwór się nie powiększał, i leżeć na wznak, żeby rana ładnie się goiła. Wierzyła święcie, że uczyniła to dla mojego dobra, w trosce o moją przyszłość, gdyż dziewczęta z zachowanymi w całości intymnymi częściami ciała uchodziły za dziwki i rozpustnice, których żadna matka nie chciałaby mieć za synowe. Tak rzekomo nakazywał Koran...

To, że mogłam otwarcie mówić o tych sprawach, było dla mnie zarówno dobrodziejstwem, jak przekleństwem. Z jednej strony cieszyłam się, że ktoś chce postawić tamę temu barbarzyńskiemu zwyczajowi, z drugiej - za każdym razem przeżywałam na nowo wszystkie swoje cierpienia. Poza tym, wypowiadając się przeciwko rytualnemu okaleczaniu kobiet, czułam się tak, jak gdybym występowała przeciw własnej matce i tradycji, w jakiej została wychowana tak ona, jak cała moja rodzina. Z całego serca pragnęłam pomóc kobietom, które spotkało to samo co mnie, ale w ten

sposób stawiałam się na pozycji wroga własnego ludu. Gdybym żyła nadal w swoim rodzinnym gronie, nigdy nie odważyłabym się publicznie piętnować tego obyczaju.

W naszej kulturze są bowiem pewne sprawy, o których nie wypada mówić głośno. I tak, nigdy nie wspomina się o zmarłych ani nie chwali się niczyjej urody, bo mogłoby to sprowadzić na tę osobę nieszczęście. Adwokatka nieświadomie sprawiła mi przykrość, kiedy przy mnie nazwała obrzezanie torturą. Wiedziałałam przecież, że moja matka nie chciała się nade mną znęcać ani wyrządzić mi krzywdy. Działała w przeświadczeniu, że zabieg ten uczyni ze mnie prawowierną muzułmankę, kobietę cnotliwą, idealny materiał na żonę i matkę, przynoszącą zaszczyt rodzinie.

Po moim wystąpieniu słuchacze zadawali mi pytania, ale nie czułam się na siłach powiedzieć ani słowa więcej. Miałam wrażenie, że zaprezentowałam się fatalnie, więc dyskretnie wymknęłam się bocznymi drzwiami do windy. Nacisnęłam odpowiedni przycisk, aby wjechać na dziewiętnaste piętro, chociaż wznoszenie się w ciasnym pudełku przejmowało mnie lękiem. Uważałam to za coś nienaturalnego, bo świat moich lat dziecińczych składał się z płaskich i otwartych przestrzeni.

Drżącą ręką wsunęłam klucz do zamka i zawiesiłam na drzwiach tabliczkę z napisem

„Proszę nie przeszkadzać”. Zasupełam grube, brązowe zasłony w oknach, aby widok bezchmurnego nieba nie przypominał mi moich rodzinnych stron - południowej Somalii. Z

barku wesoły dżin zachęcająco mrugał na mnie okiem, jakby mnie zapraszał. I rzeczywiście, wyjęłam stamtąd małe buteleczki ginu, rumu i whisky. Wzięłam je ze sobą do łóżka i kolejno wypięłam jedną po drugiej, chociaż w każdej siedział inny diabeł.

Moja matka umiała odpędzać złe duchy, ale nie wiedziałam, gdzie ona w tej chwili przebywa i czy jeszcze zechce mnie znać. Pozowanie do zdjęć i prezentowanie strojów wykraczało poza ramy jej pojmowania, a krewni wydrapaliby mi oczy, gdyby słyszeli, co mówiłam o naszych zwyczajach. Zawsze chciałam zostać znachorką, jak ona, ale obraziłam ją, krytykując rytualne okaleczanie kobiet. Pamiętałam, jak matka uczyła mnie, aby o nikim źle nie mówić, gdyż słowa ulatują w przestrzeń i nie da się ich cofnąć. Wierzyła, że na jednym ramieniu człowieka siedzi czarny anioł Malik, a na drugim - biały diabeł Behir. Kiedy Behir skusił mamę, aby powiedziała coś niemiłego, prosiła Malika, aby pomógł jej cofnąć te słowa, zanim zajdą za daleko. Ja też krzyczałam teraz: „Cofam, cofam!”, ale wiedziałam, że już na to za późno. Wszystkie obraźliwe słowa, jakie wypowiedziałam o swoich rodakach, uleciały w przestrzeń i nie mogłam ich odwołać.

Naciągnęłam kołdrę na głowę i schowałam się pod nią jak żółw w skorupie.

Najchętniej w ogóle nie wychodziłabym z tego pokoju na świat, bo czułam się samotna i nieszczęśliwa. Długo tłumiony szloch wyrwał się wreszcie z mojej piersi. Kiedy w końcu zasnęłam, śniło mi się, że uciekły mi kozy i nie mogę ich znaleźć, mimo że pokrwawiłam sobie nogi na kamieniach i cierniach. Słyszałam z daleka beczenie kóz, ale ich nie widziałam.

W rezultacie obudziłam się cała we łzach.

W tej chwili życie nie przedstawiało dla mnie żadnej wartości, ale samobójstwo było czymś

niewyobrażalnym dla ludzi wychowanych w naszej kulturze. Matka opowiedziała mi kiedyś o piętnastoletniej dziewczynie, która się podpaliła, bo rodzice nie zezwolili jej na ślub z chłopakiem, którego kochała. Nikt nie odważył się pogrzebać jej ciała i nie tknęły go nawet sępy. Kiedy poszłam do łazienki wziąć prysznic, uświadomiłam sobie, że moja matka nieraz z braku wody myła się piaskiem, a ja tu marnuję całe galony tego cennego płynu. Miałam do dyspozycji ścianę pokrytą lustrami, a moja matka - kobieta niepospolicie piękna - nic nie wiedziała o swojej urodzie, gdyż nigdy w życiu nie widziała własnego odbicia.

Z niesmakiem przyglądałam się swoim nogom, których pałkowaty kształt przeszkodził mi w karierze modelki. Skrzywiły mi się wskutek niedożywienia w dzieciństwie, bo w Somalii na każdym kroku czyha widmo głodu. Nie wiedziałam nawet, czy ktoś z mojej rodziny pozostał jeszcze przy życiu. Wiadomości dochodziły do mnie z rzadka i zwykle miały pesymistyczny wydźwięk. Zmarły moje siostry Halimo i Aman, a także mój braciszek nazywany Starcem. Zabłąkane kule, które podczas walk międzyplemiennych w Mogadiszu wdarły się przez okno kuchni, zraniły moją matkę i zabiły jej zabawnego brata, wujka Wold'aba, podobnego do niej jak bliźniak. Dobrze, że przynajmniej ona przeżyła, ale o innych członkach rodziny nie otrzymałam żadnych wiadomości.

Miałam około trzynastu lat, kiedy ojciec próbował wydać mnie za starego, łysiejącego mężczyznę podpierającego się laską, tylko dlatego, że ten oferował mu za mnie kilka wielbłądów, co stanowiło dobrą zapłatę za dziewczinę. W Somalii kobiety nie miały w tych sprawach zbyt wielkiego wyboru, musiały wychodzić za mąż, bo na pustyni samotna kobieta nie ma innych możliwości zarobienia na swoje utrzymanie poza żebractwem lub prostytutką.

Nie uśmiechała mi się jednak perspektywa spędzenia reszty życia na pasieniu kóz i usługiwaniu staremu przykowi, więc uciekłam z domu. O dziwo, matka pomogła mi w tym, do dziś nie wiem dlaczego. Może po prostu wolała, żebym znalazła sobie odpowiedniejszego męża? Sama przecież nauczyła mnie piosenki:

Chcesz się włóczyć ciemną nocą,

Chociaż sama nie wiesz po co?

By wyjść za starego dziada,

Który kijem cię okłada?

Osamotniona i wodzona na pokuszenie przez demony gnieźdzące się w butelkach mocnych trunków, tym bardziej tęskniłam za matką. Szczególnie kiedy dochowałam się synka, Aleeke, brakowało mi jej kojących rąk i słów pokrzepienia: „Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze”. Kobieta, która ma dziecko, najbardziej potrzebuje matki, choćby zdążyła się już od niej oddalić i wybrała zupełnie inną drogę życiową. Mój Aleeke miał już cztery latka, ale ilekroć brałam go na ręce, przywodził mi na myśl mój afrykański dom i matkę, Afrykankę z krwi i kości.

Moja matka z całego serca wierzyła w Allaha i do wszystkich czynności życiowych przystępowała z Jego imieniem na ustach. Nie wyobrażała sobie nawet, że mogłaby utłuc ziarno lub wydoić kozy bez podziękowania Allahowi. Taki sposób na życie przekazała i mnie.

To właśnie podobało mi się w niej najbardziej. Dopiero w świecie zachodnim musiałam się nauczyć żyć bez kontaktu z Bogiem na co dzień, ale obawiałam się, że stracę wszystko z duszą włącznie, jeśli nie powrócę do swych korzeni.

Moje imię, Waris, w języku somalijskim oznacza Kwiat Pustyni. Takie kwiaty, o żółtopomarańczowych, owalnych płatkach, kwitną na małych krzewach mocno wrosniętych w ziemię. Jakimś cudem potrafią przeżyć nawet rok suszy, ale kiedy spadną deszcze - już następnego dnia w każdej szczelinie rozkwitają kwiaty jak żółte motyle, ożywiając najbardziej jałową pustynię. Kiedyś spytałam matki, dlaczego nadała mi takie imię.

Pewnie dlatego, że od początku byłaś wyjątkowym dzieckiem! - odpowiedziała żartem.

Mnie natomiast to imię kojarzy się raczej z wytrzymałością i wolą życia tej rośliny.

Przecież po tym wszystkim, co przeszłam, czuję się, jakbym przeżyła już ze sto trzydzieści lat, albo i więcej. Zważywszy na wszystko dobre i złe, co mi się przytrafiło, mam nieodparte przeczucie, że mogę przeżyć drugie tyle. Nie wiem, skąd mojej mamie przyszła na myśl ta roślina ani też, dlaczego Allah wybrał właśnie mnie, ale jakoś pasujemy do siebie.

Kto się urodził i wychował w Somalii, ten potrafi wstać i iść przed siebie, nawet gdy braknie mu sił. Tego właśnie dokonałam, wstając z łóżka i podejmując mocne postanowienie, że muszę odnaleźć swoją matkę. Zdecydowałam, że wrócę do miejsca swojego urodzenia i spojrzę na nie innymi oczami. Nie wiedziałam jeszcze, jak zrobić coś, co pozornie wydawało się niemożliwe, ale chyba nie bardziej niż prezentowanie strojów na wybiegu przez pasterkę wielbłądów!

SAMOTNOŚĆ

Kobieta, która nie ma krewnych,

tańczy z dzieckiem na plecach.

Przysłowie somalijskie

W Nowym Jorku pracownik biura podróży patrzył na mnie jak na wariatkę, a znajomi pytali z przerażeniem: „Nie czytasz gazet? Przecież Mogadiszu leży w strefie działań wojennych!”. Dana nie chciał nawet słyszeć o wyjeździe do Somalii, bo dużo bardziej interesowało go przygotowanie repertuaru dla swojej kapeli na najbliższe tournee. W ogóle chyba nikt w całym Nowym Jorku nie pochwalał moich rozpaczliwych prób odnalezienia rodziny.

Może lepiej niech pani najpierw zadzwoni do Departamentu Stanu i upewni się, czy tam jest bezpiecznie - poradził mi tenże agent biura podróży. - Nie wie pani, że Somalia uważana jest obecnie za jeden z najbardziej zapalnych rejonów kuli ziemskiej?

Rzeczywiście, informacje uzyskane na temat sytuacji w Somalii nie napawały optymizmem. Władze Stanów Zjednoczonych przestrzegały przed podróżami do Somalii, gdyż kraj ten nie miał aktualnie funkcjonującego rządu. Panująca tam sytuacja polityczna przypominała raczej anarchię - szerzyły się

zbrojne starcia między klanami i pospolita przestępczość. Porwania, gwałty i mordy były na porządku dziennym, a policja ani żadne władze nie zapewniały bezpieczeństwa. W północnych rejonach kraju, gdzie w 1991 roku proklamowano samowznaczą Republikę Somaliland, panował względny spokój, ale żadne państwo nie miało tam swoich przedstawicielstw dyplomatycznych.

Agent linii lotniczych nie orientował się, czy w ogóle istnieje jakieś połączenie z Somalią drogą powietrzną.

- Ciekawe, jak wyobraża sobie pani tę podróż - wyznał szczerze.

Nie organizujemy lotów w tamtą stronę, a przynajmniej nie mam nic takiego w rozkładzie.

Poinstruował mnie również, że przed wyjazdem do któregośkolwiek z krajów afrykańskich musiałabym się zaszczepić przeciwko żółtej febrze, ospie, durowi brzuszemu, żółtaczce zakaźnej i chorobie Heine- Medina. Na ekranie komputera wyświetlił mi się komunikat, że w Somalii ostatnio odnotowano przypadki zachorowań na ospę i że potrzebne mi będą także leki stosowane w przypadku malarii. Wszystko to brzmiało tak zniechęcająco, że nie pokazałam mu nawet paszportu. Dokumenty, jakie wystawiono mi w Wielkiej Brytanii, były ważne na wszystkie kraje z wyjątkiem Somalii, gdyż odpowiednie władze nie chciały brać na siebie odpowiedzialności za to, co może spotkać brytyjską obywatelkę w tak niebezpiecznym rejonie globu.

Może raczej wybrałaby się pani na jakąś urokliwą wysepkę na Karaibach? -

proponował agent. - Nie ma lepszego miejsca, żeby się zrelaksować i uciec od stresów!

Pewnie miał rację, tylko że ja nie chciałam uciekać od stresów, ale odnaleźć swoją rodzinę. Zwróciłam się więc do osób, które poznałam podczas mej działalności w ONZ.

Wszyscy znajomi jednak odradzali mi tę wyprawę jako zbyt niebezpieczną. Sugerowali, że mogę potrzebować uzbrojonej eskorty, i radzili wynająć ciężarówkę wraz z ochroniarzami.

Obawiali się bowiem prób zamachu na mnie ze strony fundamentalistów muzułmańskich w odwecie za moje wystąpienia skierowane przeciw rytualnemu okaleczaniu kobiet.

Zawiedziona wróciłam do swego mieszkania, gdzie panował straszny brud i bałagan. W

zlewie piętrzyły się niepozmywane naczynia i pojemniki po daniach na wynos, a na kuchennym stole została duża, napoczęta pizza. Denerwowało mnie takie marnowanie jedzenia, bo w dzieciństwie nie zawsze miałam możliwość najeść się do syta. Kiedyś mój brat wcześniej wypił swoją porcję wielbłądziego mleka i sięgnął po moją. Odtrąciłam jego rękę, a wtedy szturchnął mnie w pierś tak mocno, że upuściłam miseczkę i drogocenny napój rozlał

się na ziemię. Nie mogłam już go odzyskać, więc zamiast słodkiego mleka łykałam gorzkie łzy.

Kurek przy kuchennym zlewie był niedokręcony, więc przez cały czas kapłała z niego woda. Uważałam to za karygodne marnotrawstwo, bo w Somalii woda jest w cenie i oszczędza się każdą kroplę. To oszczędzanie weszło mi w krew do tego stopnia, że przy zmywaniu lub myciu zębów

nigdy nie zostawiałam odkręconego kurka. W naszym kraju szacunek dla daru wody był równoznaczny z szacunkiem dla samego siebie.

W mieszkaniu panował także zaduch, bo nikt go nie wywietrzył ani nie zapalił

kadzidełka dla odświeżenia atmosfery. A przecież kadzidło i mirra pochodzą właśnie z Somalii! Zapalamy je na powitanie gościa, dla uczczenia nowo poślubionej małżonki lub narodzonego dziecka. Kiedy mąż wraca z dalekiej podróży, kobieta pochyla się nad piecykiem, w którym spala się kadzidło, aby jej suknie i włosy przesiąkły wonnym dymem.

Z Los Angeles wróciłam do pustego domu, bo Dana wyjechał, a Aleke został pod opieką babci. Pozbierałam więc z wycieraczki listy i rachunki, aby przed wyjazdem uregulować wszelkie płatności. Jednak pod moją nieobecność w domu zagnieździł się diabeł, który powodował same kłopoty. Po powrocie Dany pokłóciliśmy się tak, że w końcu wyrzuciłam go za drzwi. Dla odreagowania stresu poszłam z koleżankami na piwo, choć muzułmanom nie wolno spożywać napojów alkoholowych. Moja matka w życiu nie wzięła do ust ani kropli, więc czułam się winna z powodu tego picia, nie dość, że po mojej rodzinie w Somalii ślad zagał, to jeszcze teraz straciłam także moją rodzinę na Zachodzie. W Somalii przedstawiciele zainteresowanych klanów próbują za wszelką cenę skłonić strony do utrzymania małżeństwa. W razie rozwodu kobiety nie mają tych samych praw co mężczyźni.

To mąż orzeka o rozwiązaniu małżeństwa, może odebrać żonie dzieci i puścić ją z torbami.

Wystarczy, że wobec żony, jej i swojej rodziny oświadczy: „Rozstaję się z tobą”. Jeśli krewni nie przekonają go, aby zmienił zdanie, rozwód staje się faktem. Kobieta ma prawo odejść od męża, jeśli ten nie potrafi jej utrzymać, ale dokąd pójdzie sama i z czego będzie żyć? Ma prawo zatrzymać jedynie pewną liczbę owiec i kóz, które mąż podarował jej przed ślubem.

Stanowią one jej zabezpieczenie na wypadek rozwodu.

I bardzo dobrze, Waris! - podjudzały mnie koleżanki. - Chłopu trzeba czasem się postawić, bo inaczej wlezie ci na głowę!

Zaskoczyła mnie ich reakcja. Spodziewałam się raczej, że zaczną mnie pouczać: „Nie wiedziałaś, że mężczyźni są już tacy? Zobaczysz, jak ci wleje, kiedy do niego wrócisz!”.

Tymczasem jedna z dziewczyn, Sharla, zaproponowała mi, żebym na kilka dni zamieszkała u niej. Pamiętała, że i przedtem nieraz kłóciliśmy się z Daną, więc miała nadzieję, że i tym razem wszystko rozejdzie się po kościach. Ja jednak wiedziałam, że tym razem sprawy zaszły za daleko. Prawda była taka, że nasz związek nie miał już racji bytu, był pusty wewnątrz jak skorupa strusiego jaja lub wyschnięte koryto rzeki. Przypomniało mi to piosenkę, którą nieraz śpiewały nasze kobiety:

Kozy są po to, by za nimi chodzić,

Wielbłądy - żeby uwiązać je sznurem,

A chłopu nigdy nie możesz dogodzić,

I tylko patrzy, kiedy dać ci w skórę!

Jednak wróciłam, ale nie zastałam Dany w domu, dlatego nie było mowy o żadnych przeprosinach ani pogodzeniu się. Aleeke przebywał u swojej babci, więc zostałam sama w mieszkaniu pełnym demonów, które dręczyły mnie przez całą noc, nie dając mi spać. Po takiej nocy wstałam rano wściekła i nie miałam wątpliwości, że to już koniec z nami. Kiedy Dana wreszcie się pojawił, kazałam mu się wynosić, ale on tylko potrząsnął głową.

Ani myślę. Jeśli ci ze mną źle, to sama możesz się wynieść.

Przeprowadzki zawsze były dla mnie koszmarem, mimo że wywodziłam się z plemienia koczowników. Zresztą nie tylko dla mnie. Wiadomo, że gdy kozy i wielbłądy zjedzą całą trawę, trzeba się przenieść na nowe tereny, ale mój ojciec chciał zawsze zająć pastwiska i wodopoje przed innymi, toteż w środku nocy budził nas i kazał się pakować. Po ciemku wszyscy mieliśmy trudności ze znalezieniem czegokolwiek; z wyjątkiem mojego ojca, który widział w ciemnościach lepiej od innych.

- Bierz garnek, Waris! - rozkazywał.

- Kiedy nie widzę, gdzie on jest... - marudziłam.

- Z drugiej strony ogniska - instruował mnie ojciec i nie miałam wyjścia, tylko musiałam po omacku szukać go we wskazanym miejscu, modląc się, aby nie nadepnąć na rozżarzony węgielek. Tymczasem rodzice przygotowywali ładunek do objuczenia wielbłądów. Służyły do tego mocne liny plecione przez kobiety z rzemieni. Jedną z takich lin obwiązywało się wielbłąda pod brzuchem, a drugą przeciągano od uszu do ogona. Potem matka kazała wielbłądowi uklęknąć i narzucała koce na jego garb. Juki musiały być mocno przytroczone i równomiernie rozłożone, żeby podczas marszu nie spadły ani się nieprzesunęły. Trudno było to zrobić po ciemku i nieraz się zdarzało, że cały ładunek się rozsypywał, za co ojciec bił matkę butem.

Po obu bokach wielbłąda rozmieszczano cięższe pakunki, na przykład kosze na mleko, a do nich matka dowiązywała mniejsze koszyki i garnek do gotowania. Na drugiego wielbłąda nakładała maty służące do pokrywania konstrukcji szałasów, zwinięte w rulony i ułożone w kształt małego domku. Pomiędzy nimi można było posadzić małe dziecko lub młode zwierzę, które nie wytrzymałoby pieszego marszu. Nasłuchaliśmy się dosyć o dzieciach, które nie nadążyły za karawaną i pozostawiono je na pustyni na pewną śmierć, więc drżeliśmy ze strachu, żeby czegoś nie zapomnieć ani samemu nie zostać w tyle. Podczas juczenia wielbłądów matka śpiewała zwykle tradycyjną piosenkę, jaką kobiety od lat umilały sobie pracę:

Kiedy mężczyzna kilka żon pojmie,

Nigdy nie będzie już żył spokojnie!

Ojciec nie był zbyt zachwycony tą piosenką, ale co mógł na to poradzić, kiedy śpiewały ją wszystkie kobiety? Po załadowaniu naszego dobytku ruszaliśmy w długą drogę.

Czekał nas marsz przez całą noc i większą część następnego dnia, bo ludzie z mojego plemienia nie jeździli na wielbłądach. Sadzano na nich najwyżej małe dzieci, osoby chore bądź w podeszłym wieku.

Miałam więc do wyboru albo się wyprowadzić, albo dalej użerać się z Daną, dopóki ktoś z nas pierwszy nie skapituluje. Na razie poszłam do swojego biura, żeby móc spokojnie pomyśleć. Nie bardzo chciałam ustąpić, bo w końcu to ja opłacałam komorne. W Somalii wszelkie spory rozstrzygali między sobą mężczyźni reprezentujący zainteresowane strony.

Kobiety nie należały do tych samych klanów co ich mężowie, toteż ich interesów bronili bracia i inni krewni w linii męskiej. Na przykład moja matka, wychodząc za mojego ojca, nie została przyjęta do jego klanu Darod, ale nadal pozostawała bliżej związana ze swoim klanem, Mijertain. Przedstawiciele stron zasiadali więc pod wielkim drzewem i dyskutowali tak długo, aż wypracowali kompromisowe rozwiązanie, możliwe do przyjęcia dla wszystkich.

Teraz jednak nie mieszkałam w Somalii, tylko w Brooklynie, gdzie teoretycznie miałam równe prawa z mężczyznami. Nie mogłam jednak zmusić Dany do opuszczenia mieszkania, gdyż na umowie najmu figurowało jego nazwisko. Wprawdzie ja znalazłam to lokum, ale ponieważ zbliżał się termin porodu, a chciałam rodzić w Omaha, żeby być bliżej rodziny mojego przyjaciela, nie miałam głowy do podpisywania zawitych dokumentów. Dana zatem sam załatwił niezbędne formalności z właścicielem domu. Teraz więc mogłam się tylko wycofać jak ogier zebry pokonany w walce z drugim samcem.

Dom stanowi niezbywalną wartość dla narodów koczowniczych, często zmieniających miejsce zamieszkania. Doszłam jednak do wniosku, że nie czuję się dobrze w miejscu, które przypominało mi wyschniętą studnię lub wypasione do gołej ziemi pastwisko. Pełno tam było demonów, które przysparzały samych kłopotów.

Wiedziałam jednak, że aby pozbyć się tych kłopotów, muszę także sama się zmienić.

Do mężczyzn podchodziłam zawsze z rezerwą, bo złe doświadczenia nauczyły mnie podejrzliwości i nieufności. Początkowo wydawało mi się, że z Daną wszystko dobrze się ułoży, bo wyglądał na nieśmiałego, lecz miłego chłopca, ale okazało się, że on uważa mnie za swoją własność. Sądziłam, że tylko w Somalii mężczyźni są tak leniwi, że każą kobietom odwalać za nich najcięższą robotę, tymczasem na Zachodzie mężczyźni wykorzystywali mnie tak samo albo i bardziej.

Kiedy byłam jeszcze mała - mogłam mieć najwyżej dziewięć lub dziesięć lat -

sprowadził się do nas wujek. Mieszkał z nami przez całą porę suchą i nie wyniósł się przed nastaniem deszczów. Przybył z Gelkayo, gdzie pobił się na noże z członkiem innego klanu i o mały nie odrąbał mu ramienia. W razie rozlewu krwi odpowiedzialność spada na wszystkich członków klanu, więc zapłacili współplemieńcom poszkodowanego należną zwyczajowo kwotę, a wujka, zwanego przez nas Małym Wujkiem, bo był niższy od mojego ojca, wysłali do buszu, dopóki nie opadną emocje.

Mały Wujek był bardzo zabawny, często żartował i lubił mnie zaczepiać, łapiąc za spódnicę, kiedy

obok niego przechodziłam. Podobało mi się, że mówiąc do mnie, spogląda mi prosto w oczy, a któregoś wieczoru zaproponował:

Waris, może pójde z tobą i pomogę ci zaganiać kozy?

Pochlebiało mi, że zainteresował się tak małą dziewczynką jak ja, choć Halimo ostrzegła, aby mu nie ufać. Nie słuchałam jej jednak, bo i tak za często mnie pouczała, co mam robić. Przeszliśmy razem na drugą stronę wąwozu, aby zwołać kozy, zanim słońce zajdzie. Wujek wypatrzył zaciszne miejsce pod rozłożystą akacją i zaproponował, aby odpocząć w jej cieniu. Rozłożył na ziemi swoją marynarkę i zaprosił mnie, abym usiadła przy nim.

Jego zachowanie wydało mi się podejrzane, więc próbowałam się wymówić, proponując, żebyśmy już zabierali kozy. Ponieważ jednak nalegał, w końcu usiadłam na samym brzeжку rozesłanej marynarki. Wuj natomiast położył się na niej, przysuwając się do mnie tak blisko, że czułam zapach jego potu. Żeby nie zwracać na niego uwagi, zaczęłam przyglądać się kozom, jak wybierały sobie smakowite, młode trawki.

- Wiesz co, Waris? - kusił dalej. - Połóż się obok mnie i patrz, jak wschodzą gwiazdy, a ja opowiem ci bajkę..

To mi się nawet spodobało, toteż wyciągnęłam się na brzegu marynarki, z dala od niego. Wuj obrócił się na bok, by leżeć twarzą do mnie, i oparł głowę na rękę. Połaskotał

mnie w kark i zaczął opowiadać historię o dziewczynie, która miała duży nos... Przy tych słowach dotknął mego nosa i kontynuował opowieść, dodając, że dziewczyna ta miała także gruby kark, duży brzuch i piersi. Wymieniając kolejne części ciała bohaterki, dotykał mnie lubieżnie w te same miejsca, a mniej więcej po minucie takiej zabawy zaczął mi rozwiązywać pasek. Oczywiście krzyczałam, ale znajdowaliśmy się tak daleko od obozowiska, że nikt nie mógł tego słyszeć. Podwinął mi sukienkę i wgramolił się na mnie, rozrzucając moje nogi na boki. Rozporek miał rozchylony i tym swoim interesem szturchał mnie w intymne miejsca.

- Wujku, co robisz? Przestań! - darłam się na całe gardło, ale zatkał mi usta dłonią i w tym momencie poczułam, że trysnął z niego strumień lepkiej cieczy. Stoczył się ze mnie, zanosząc się od śmiechu, a ja miałam na sobie pełno tego paskudztwa, które śmierdziało tak obrzydliwie, jak nic dotąd w moim życiu. Wytarłam się, jak mogłam, i biegiem puściłam się w stronę domu. Dobiegłam do matki i wtuliłam się w jej udo. Od niej nie było czuć tego świństwa - pachniała czystością. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć, bo nie umiałam nazwać tego, co się wydarzyło. Czułam, że ten mężczyzna zrobił mi coś złego, ale nie miałam pojęcia co, bo w domu nigdy nie rozmawialiśmy na takie tematy. Przytuliłam się więc tylko do matki i milczałam, bo nie mogłam ani płakać, ani wydusić z siebie słowa.

- Co się stało, kochanie? - łagodnie dopytywała matka, gładząc mnie po głowie. -

Może hiena cię zaatakowała?

Za całą odpowiedź przyciskałam się tylko do niej mocniej, nie chcąc puścić jej od siebie. Czułam się

pohańbiona i zbrukana, choć nie zdawałam sobie sprawy dlaczego. Od razu znienawidziłam człowieka, który wyrządził mi takie zło, jak również tę część rodziny, która udzieliła mu pomocy.

Rozstanie z Daną również nie rozwiązało moich problemów. Byłam przecież samotną matką, bez mieszkania i rodziny, która mogłaby mi pomóc, więc w efekcie, zamiast poprawić

- pogorszyłam swoją sytuację. Im bardziej czułam się samotna, tym bardziej brakowało mi obecności mojej kochającej matki, ale jej odnalezienie wydawało się coraz mniej realne.

Prasa podawała same hiobowe wieści na temat Somalii: „Prawie dwa miliony Somalijczyków w obliczu śmierci głodowej”; „W Somalii codziennie umiera z głodu dwa tysiące osób”; „W

Somalii rozpętało się prawdziwe piekło...”. Odkąd opuściłam ten kraj, nękany głodem i walkami między klanowymi, nie miałam żadnej wiadomości o mojej rodzinie. Słyszałam o upadku rządu Muhammada Siada Barre po jego ucieczce w 1991 roku, a niespełna dziesięć lat później nowy rząd także nie potrafił zaprowadzić pokoju w skłóconym społeczeństwie.

Nie miałam jak poinformować matki, że urodziłam syna, bo poczta w wyniszczonym wojną domową kraju działała kiepsko, a zresztą nikt z moich bliskich nie mieszkał w pobliżu jakiegokolwiek urzędu pocztowego. Zresztą, nawet gdybym mogła wysłać list, faks albo e-mail - mój biedny kraj nie nadążał za nowoczesną technologią, a moi krewni nie umieli czytać ani pisać.

Zostałam więc sama, odcięta od rodziny, co nie było wiele lepsze od śmierci. Gazele krążyły już coraz bliżej mego domu.

TELEGRAF Z BUSZU

Szczęście unosi się na skrzydłach Boga,

Jego spojrzenie wróży dobry los,

Spokojnie więc, mój synu, nie bój się.

Piosenka somalijska

Któregoś pochmurnego dnia po południu zadzwonił telefon. Miałam przecucie, że muszę go odebrać. Dzwoniła jakaś pani w imieniu Oprah Winfrey, którą szanuję, bo jest świetną organizatorką o wielkich możliwościach.

- Chcemy nakręcić program o prawnie usankcjonowanej przemocy wobec kobiet -

poinformował mnie głos na drugim końcu drutu. - chcielibyśmy, żeby pani wystąpiła w części poświęconej promocji kobiet.

- Mam mówić o rytualnym okaleczaniu kobiet? - upewniłam się.

- Owszem, poruszymy także i ten temat, ale na ten temat Calista Flockhart będzie przeprowadzać wywiady z kobietami w Afryce.

- Calista Flockhart? - powtórzyłam.

- Tak, to ta aktorka, która gra tytułową rolę w serialu *Ally McBeal*.

- Aha - odmruknęłam, myśląc, co ona może wiedzieć o zabiegach obrzezania dokonywanych na kobietach. A swoją drogą, jeśli nie ja miałam o tym mówić, to czego w ogóle Oprah Winfrey może chcieć ode mnie? Jednak rozmówczyni natychmiast rozwiała moje wątpliwości.

- Panią poprosimy o wystąpienie w części zatytułowanej „Pamiętaj, żeby trzymać fason”.

- Nie o tym, co zawsze, tylko o trzymaniu fasonu? - Nie bardzo rozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi.

- Tak - zapewniła nieznajoma kobieta. - Uważamy, że pani świetnie to zrobi.

Zaskoczyła mnie ta propozycja. Ostatnią rzeczą, o której w tej chwili myślałam, było trzymanie fasonu. Skąd Oprah Winfrey mogła wiedzieć, że mam na ten temat coś do powiedzenia. Dlaczego moją „dyżurną” kwestię powierza białej kobiecie, której nikt nigdy nie „zapięczętował” tak jak mnie? I jak miałam trzymać ten fason, kiedy wszystko, czego się chwytalam, wymykało mi się z rąk? Na razie spławiłam tę panią, obiecując, że się namyszę i dam jej znać, ale i bez niej miałam dość kłopotów.

Jeszcze w tym samym tygodniu wczesnym rankiem obudził mnie ostry dzwonek telefonu. Rozespana spojrzałam na zegarek. Wskazywał piątą, ale równie dobrze mogła to być szósta albo może czwarta? Znajomy uprzedzał mnie, że szykuje się zmiana czasu. Podobno wprowadzano te zmiany ze względu na oszczędność prądu, ale nie mogłam pojąć, co to daje.

- Po co mamy przestawiać zegarki? - dopytywałam. - Czy czas może się zmieniać?

- Jesienią cofamy zegarki, a wiosną posuwamy je o godzinę naprzód - tłumaczył mi znajomy. - Chodzi o to, że jesienią słońce wschodzi coraz później, a my chcielibyśmy, żeby zawsze wschodziło o tej samej godzinie.

- A nie możecie po prostu wstawać razem ze słońcem? - dziwiłam się. W Somalii nie mieliśmy takich problemów i nikt tam nie dyktował słońcu, co ma robić. W strefie równikowej dzień przez cały rok trwa mniej więcej tyle samo, więc na podstawie długości cienia można określić, jak daleko jeszcze do zachodu, i nie trzeba do tego zegarków.

Natomiast w krajach zachodnich sztuczne oświetlenie zaciera różnice między dniem i nocą, a na pochmurnym i zadymionym niebie na ogół nie widać słońca, które w Somalii rządzi naszym życiem. Śpimy, kiedy jest ciemno, a wstajemy, kiedy dnieje. Kolega wspomniał coś o farmerach w stanie Michigan, którzy muszą wstawać wcześniej, żeby wydoić krowy. Nasze kozy budziły się o wschodzie słońca, więc czemu sprawiało to trudność krowom w Michigan?

Tym razem miałam przeczucie, że dzwoni ktoś z moich krewnych, bo oni lubili nieraz wybierać takie nietypowe pory. Zwlekłam się z łóżka, żeby podnieść słuchawkę.

Rzeczywiście usłyszałam głos mojego brata Mohammeda, stale mieszkającego w Amsterdamie. Od razu oprzytomniałam, kiedy na dzień dobry poinformował mnie, że potrzebuje pieniędzy. Oczywiście zapewniłam, że mu je prześlę, bo u nas ten, kto ma pieniądze, dzieli się z potrzebującymi. W nagrodę usłyszałam informację, że Mohammed widział się ostatnio z naszymi krewnymi, którzy właśnie wrócili z Somalii. Dostali się tam bez specjalnych trudności i - mało tego - odwiedzili także innych członków rodziny, którzy mieszkali w pobliżu naszej matki! To jej właśnie Mohammed chciał przesłać pieniądze, o które mnie prosił.

W Afryce nieraz w żartach nazywa się telegrafem z buszu przekazywanie informacji bez pośrednictwa poczty czy telefonu. Odbywa się ono za pomocą zmysłu, który nie ma angielskiej nazwy. Polega to na tym, że ludzie po prostu wiedzą, iż ktoś się do nich wybiera albo zachorował. W krajach zachodnich używa się do tego telefonów komórkowych, faksów bądź automatycznych sekretarek. To bardzo praktyczne urządzenia, ale myślę, że jeśli się żyje w stałej łączności z Bogiem, to w razie czego można nawiązać duchową łączność, z kim się chce. Zawsze więc zaskakiwałam znajomych, którzy mnie pytali:

- Masz włączony faks? Chciałabym ci coś przesłać.

- Nie - odpowiadałam.

- To podaj mi swój e-mail!

Wyjaśniałam, że nie nadążam jeszcze za osiągnięciami zachodniej techniki, ale znałam wiele sposobów porozumiewania się, które nie wymagały urządzeń elektronicznych.

Mohammed zadzwonił, kiedy byłam już bliska rezygnacji z wyjazdu do Somalii, dlatego nie miałam wątpliwości, że to palec Boży. Dowiedziałam się od niego, że mama mieszka obecnie blisko granicy z Etiopią, w małej wiosce, gdzie panuje względny spokój.

Ojciec natomiast osiedlił się w buszu nieopodal Gelkayo, bo choć się tego wstydził, porzucił

koczowniczy tryb życia. Wskutek działań wojennych stracił większość wielbłądów, a ponadto chorował na oczy. Mimo to jednak oprócz mojej matki poślubił jeszcze dwie następne żony i żył obecnie z nimi.

Mohammed wychowywał się w Mogadiszu u zamożnego stryja, więc prawie go nie znałam. Wśród mego ludu takie sytuacje zdarzały się często. Członek rodziny, któremu powodzi się lepiej niż innym, opiekuje się nieraz dziećmi uboższych krewnych. Podobnie postępują u nas nawet strusie - samica składa jajko w gnieździe, na którym siedzi już inna samica. Ta zaś, nie wiedząc o niczym, wysiaduje oprócz swoich jaj także podrzucone, a potem wodzi wyklute z nich strusięta. Kiedyś naliczyłam w jednym gnieździe aż trzynaście jaj!

Kiedy zarówno Mohammed, jak i ja osiągnęliśmy już wiek młodzieńczy, w Somalii przejął akurat władzę dyktator wojskowy Siad Barre, przezwany przez naród *AJweine*, co oznaczało Wielkie Usta. Energicznie zabrał się do reformowania państwa. Na przykład język somalijski nie istniał w formie pisanej, ponieważ wpływowi ludzie w tym kraju nie mogli się zdecydować na wybór alfabetu. Inteligencja opowiadała się za alfabetem łacińskim, natomiast pobożni szachowie dowodzili, że należy używać pisma arabskiego, gdyż w tym języku napisany jest Koran. Siad Barre zasięgał w tej sprawie także konsultacji za granicą. Uważał za swych sojuszników zarówno ówczesny Związek Radziecki, jak i Chiny, więc pragnął

zadowolić oba te państwa. Rosjanie i Chińczycy opowiedzieli się za alfabetem łacińskim, toteż Siad ogłosił, że Somalia przechodzi na pisownię łacińską, i pierwsze teksty drukowane w tym języku ujrzały światło dzienne. Rząd proklamował rewolucję kulturalną i zapowiadał, że w ciągu dwóch lat każdy obywatel nauczy się czytać. W Mogadiszu otwarto wiele nowych szkół, dzięki czemu Mohammed mógł uczyć się w językach somalijskim, włoskim i arabskim.

Arabskim powinien przecież władać każdy muzułmanin, gdyż jest to język świętej księgi Koranu, a niektóre oficjalne gazety wydawano nadal w wersji włoskiej, ponieważ południowe prowincje Somalii były kiedyś okupowane przez Włochy.

Zanim jednak Mohammed doszedł do wieku dojrzałego, miasto powoli zaczęło rozsypywać się w gruzy. Szkoły i szpitale, których budowa miała zostać sfinansowana przez zagranicznych sponsorów, nigdy nie powstały. Rozwijało się tylko wojsko i struktury z nim związane. Siad Barre należał do klanu Darod, więc jego współplemieńcy zyskali możliwość szybkiego awansu w gałęziach gospodarki pracujących na potrzeby armii. Wojsko potrzebowało między innymi regularnych dostaw *khatu* i tym właśnie zajął się Mohammed.

Khat to liście pewnego krzewu działające podobnie jak amfetamina. Początkowo żuli je tylko przywódcy religijni, aby móc bez zmęczenia recytować godzinami wersety Koranu.

Później zwyczaj ten przejęli także członkowie wioskowej starszyny, którzy wieczorami przesiadywali we własnym gronie i namiętnie dyskutowali o polityce, obrywając przy tym listki z gałązek *khat* powiązanych w pęczki. Żuli je na miazgę, wypychając nią policzki, aż zęby zabarwiały im się na czarno. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jaką przyjemność znajdowali ci ludzie w żuciu czegoś, co ani nie smakowało, ani nie wyglądało przyjemnie, bo z kącika ust stale wyciekał im zielony sok. Mohammed przemyczał większe ilości tych gałązek z wyżynnych okolic Etiopii i Kenii, po czym sprzedawał je żołnierzom.

Wśród młodych chłopców służących w wojsku ta używka cieszyła się dużą popularnością. Żucie liści przez pierwsze dwie godziny powodowało wyraźne ożywienie i poprawę nastroju, ale potem górę brało przygnębienie, zmęczenie i nieufność, do której dołączała się jeszcze bezsenność.

Pamiętam, jak zaraz po dojściu Siada Barre do władzy, co miało miejsce na początku lat siedemdziesiątych, odwiedził nas mój wujek Ahmed z Gelkayo. Przyjechał pod pretekstem przeliczenia swoich wielbłądów i kóz, ale wyglądał na wzburzonego i długo rozmawiał z moim ojcem. My z matką splatałyśmy akurat linę z długich pasków wielbłądziej skóry, więc przysunęłyśmy się na tyle blisko, aby słyszeć ich rozmowę.

- Żołnierze Siada Barre szukają młodych chłopców.

- A do czego ich potrzebują?

Zabierają ich do specjalnego obozu szkoleniowego i wychowują na przyszłych żołnierzy. Nie masz pojęcia, ilu chłopaków już uprowadzili! Rząd szykuje się do wojny z Etiopią o Ogaden, który nam zabrali, ale nie mam zamiaru wysłać moich synów na front.

Ukryję ich, bo są jeszcze za młodzi.

- Ciekawe, skąd wezmą tyle broni. Kto będzie na tyle głupi, żeby dawać takim chłopcom broń do ręki?

- *Afweine* (Wielkie Usta) zdobywa pieniądze, skąd się da, z Włoch, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Rosji, Chin... Kupuje za to broń, więc potrzebuje żołnierzy. -

Wujek pociągnął łyk herbaty i splunął. - Słyszałem od wielu naszych krewnych, że młodzi chłopcy wyprowadzają wielbłądy na pastwisko i giną bez wieści. Żołnierze porywają tak ich, jak wielbłądy.

Po jego wyjściu rodzice początkowo zamierzali wykopać wielką jamę i ukryć w niej moich braci, ale w końcu ojciec zdecydował wysłać ich do krewnych mieszkających na północy. Mnie zaś przyuczył do pomocy przy wielbłądach, z czego byłam dumna, bo opieka nad wielbłądami uważana była za szaczone zajęcie, zarezerwowane dla chłopców.

Co kilka dni wyprowadzałam wielbłądy do wodopoju ścieżką odkrytą przez ojca, który miał dar znajdowania źródeł tam, gdzie nikt inny na to nie wpadł. Wielbłądom to wystarcza, chociaż nie

przechowują wody w garbie, jak się powszechnie uważa. Garb służy im jako magazyn zapasowego tłuszczu, który może przez jakiś czas dostarczać potrzebnej energii. Wielbłąd przewodnik stada znał na pamięć drogę do źródła, a inne szły krok w krok za nim, kierując się dźwiękiem jego drewnianego dzwonka. Nosiłam ze sobą uwiązany na długiej linie bukłak, uszyty przez matkę z koziej skóry, którego używałam do wyciągania wody ze źródła.

Któregoś dnia zorientowałam się, że moją ścieżkę zatarasowały wojskowe ciężarówki i namioty. Przeraziłam się śmiertelnie, bo słyszałam, że żołnierze gwałcą dziewczęta i kradną wszelki żywy inwentarz. Wdrapałam się na pagórek i przycupnęłam w trawie, aby z ukrycia obserwować żołnierzy w żółtych mundurach, biegających z karabinami. Karabiny maszynowe wieźli na skrzyniach ciężarówek. Puściłam wielbłądy luzem, ale bały się zbliżyć do obozowiska pełnego nieznanymi dźwięków i zapachów. Jakoś znalazły drogę okrężną i w końcu skierowały się w stronę źródła. Ja skradałam się za nimi tak, aby nie zauważyli mnie żołnierze. Napoiłam wielbłądy, odczekałam, aż zapadła ciemna noc, i wróciłam do naszego obozu.

Mój zamożny wujek zamieszkały w Mogadiszu zdecydował się na wyprawę stamtąd, bo twierdził, że miasto chyli się ku upadkowi.

- Ludzie utrzymują się z żebrani i kradzieży - opowiadał moje mu ojcu. - Po ulicach szwendają się hordy bezdomnych dzieciaków, które wyrządzają same szkody.

- Głodni ludzie, którzy nie mają honoru, zjedzą wszystko i za wszelką cenę - zgodził

się z nim ojciec.

- W naszym mieście pojawiło się teraz tylu bezdomnych nędzarzy, że wyniosłem się stamtąd i nigdy już nie wrócę! - zżymał się wujek.

- Ta cała banda w rządzie pilnuje tylko swojego koryta, a szary człowiek nie może się przy nich czuć bezpiecznie!

Wojna z Etiopią wybuchła w roku 1974 i od tego czasu w Somalii najpierw szalała wojna domowa, a potem klęska głodu. W 1991 oddziały rządowe poniosły klęskę i opozycja przejęła kontrolę nad niektórymi dzielnicami Mogadiszu. Zwycięskie ugrupowania nie mogły jednak dojść do porozumienia w kwestii obsadzenia urzędu prezydenta, więc skończyło się na dalszych utarczkach międzyklanowych.

Niedługo po odwiedzinach wujka uciekłam z domu i znalazłam się w Londynie.

Więści od moich bliskich docierały do mnie rzadko, a wkrótce zupełnie ustały. Dopiero w grudniu roku 1992, kiedy z Londynu przeniosłam się do Nowego Jorku, aby tam kontynuować karierę modelki, wpadło mi w ręce niedzielne wydanie „New York Timesa”.

Dostałam ten numer od koleżanki, ale już same zdjęcia omal nie zwały mnie z nóg.

Komentarze redakcyjne donosiły, że ponad sto tysięcy mieszkańców Somalii zmarło śmiercią

głodową, i to nie z powodu suszy, lecz wojny domowej pustoszącej kraj od czasu obalenia re-

żimu Siada Barre. Brak sprawnego rządu wykorzystywały konkurujące ze sobą gangi, które przy tej okazji załatwiały prywatne porachunki. W tych warunkach niemożliwa była uprawa roli ani hodowla zwierząt, toteż czarno- białe zdjęcia ukazywały przerażające obrazy umierających z głodu ludzi. Organizacje charytatywne nie były w stanie dostarczyć żywności najbardziej potrzebującym, czyli kobietom i dzieciom, gdyż bandyci rabowali wszelkie dostawy.

Wiadomo, że w takiej sytuacji najbardziej ucierpiały właśnie kobiety i dzieci. Zdjęcia w gazecie ukazywały płaczące dzieci z zapadniętymi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi, skurczone ciało kobiety, leżące w poprzek ulicy jak połamana parasolka...

Podobno przez te lata umierało z głodu co czwarte dziecko. I jak w tych warunkach miałam dowiedzieć się czegokolwiek na temat mojej rodziny, kiedy gazety krakały: „W tym zapomnianym przez Boga i ludzi kraju, wyniszczonym przez wojnę, głód i suszę, najwięcej szczęścia mieli ci, co pomarli!”.

Oglądałam w telewizji reportaże opisujące przeprowadzanie operacji „Przywrócić nadzieję” i coraz bardziej bezowocne próby oczyszczenia miast z rozwydrzonych żołnierzy, pewnych swojej bezkarności. Około miliona Somalijczyków opuściło kraj i dowiedziałam się, że między nimi znalazł się mój brat Mohammed. Zadzwoił do mnie z Amsterdamu, a ja tak się ucieszyłam, że natychmiast wsiadłam w samolot i poleciałam do niego.

Trudno mi było uwierzyć, że ten wychudzony jak patyk człowiek jest moim bratem!

Dolną wargę miał głęboko pękniętą, co wskazywało na długie okresy pragnienia. Obojczyki zdawały się przebijać mu koszulę, a sam wyglądał na wystraszonego i jakby wypalonego w środku. Porwałam go w objęcia i powtarzałam:

- Mohammed, co się stało? Co się z tobą działo?

- Trzymali mnie przez wiele miesięcy najpierw za drutami kolczastymi, a potem w więzieniu i nigdy nie dawali do syta jeść ani pić - wyjaśnił.

- Za co ci to zrobili?

- Och, Waris, to był zupełny obłęd. Żołnierze od rana do wieczora pili albo żuli *khat*.

Zastępowało im to śniadanie, obiad i kolację, więc byli wiecznie rozdrażnieni, wszczynali bójki albo strzelali z samochodów do wszystkiego, co się ruszało.

- *Hiiyea*, aha - potwierdziłam, choć nie tajałam zdziwienia.

- Przed wieczorem wszyscy już byli albo pijani, albo naćpani, więc każdy trzeźwy człowiek od razu wydawał im się podejrzany. A jeśli do tego ośmielił się zwrócić im uwagę, żeby zachowywali się spokojniej, od razu na niego huzia! Wojsko miało zabezpieczać wszystkie posunięcia rządu i tłumić każdy sprzeciw. Na przykład rząd przyznał kobietom prawo dziedziczenia, a przywódcy religijni

zaprotestowali, że to niezgodne z nakazami islamu. Od razu *Afweine* wydał swojej gwardii przybocznej, Czerwonym Beretom, rozkaz stracenia dziesięciu szachów w ich meczetach. Kiedy wzburzeni ludzie wyszli na ulice, wojsko urządziło prawdziwą rzeź. Żołnierze strzelali jak do kaczek, gwałcili kobiety i nawet małe dziewczynki!

W ciągu następnych dni Mohammed opowiedział mi, jak to się stało, że *Afweine* zaczął podejrzewać wszystkich członków klanów Mijertein, Howiye i Issaq. Otoczył się wyłącznie członkami swojego klanu i z nich utworzył Najwyższą Radę Rewolucyjną (NRR) -

organ całkowicie dyspozycyjny. Którejś nocy także mojego brata oskarżono o nie-wystarczającą lojalność wobec prezydenta i aresztowano.

- Nagle wszyscy członkowie klanu Mijertein stali się podejrzani. Wyciągnęli mnie z łóżka, pobili i przez tydzień przetrzymywali skutego w ciemnym pokoju, choć nie wytoczono mi procesu ani nie postawiono żadnych zarzutów... - Mohammed niechętnie wracał myślą do tych wydarzeń.

- A dali ci przynajmniej coś do jedzenia? - spytałam, bo był tak wychudzony, że oczy miał głęboko zapadnięte.

- Najwyżej trochę ryżu i kubek wody raz na dzień.

- O Boże! Jak zdołałeś się stamtąd wydostać?

- Na szczęście ci, którzy nas pilnowali, byli przez cały czas naćpani, a wujek miał dość pieniędzy, aby ich przekupić. Uciekłem z więzienia, ale gdybym został w Somalii, dawno bym nie żył! Na szczęście krewni zdobyli dla mnie jeszcze trochę pieniędzy i przemycili mnie do Kismayo na południowym wybrzeżu, gdzie klan *Afweinego* nie miał zbyt wiele do gadania. Stamtąd przedostałem się statkiem do Mombasy, gdzie złapałem samolot do Europy.

Stwierdziłam jednak, że mój brat, mimo tak ciężkich przejść, po ośmiu latach nie zatracił więzi z ojczystym krajem. Jeśli więc ktoś w ogóle mógł pomóc mi zorganizować wyprawę do Somalii, to tylko on!

- Słuchaj, wiesz, jak chciałabym wrócić do kraju... - zaczęłam, ale Mohammed słyszał

już kiedyś te słowa w moich ustach i nie bardzo wierzył w ich szczerłość.

- Dobra, dobra, kobieto - próbował mnie spławić. - Jak sobie to wyobrażasz, skoro dwadzieścia lat temu uciekłaś stamtąd? Spróbuj lepiej posłać naszym trochę pieniędzy.

- Mohammed, ja mówię serio - nie ustępowałam. - Chciałabym wrócić do domu, tylko nie wiem, jak się do tego zabrać. Pomożesz mi?

- *Hiyea* - przytaknął.

Tylko tyle? Spodziewałam się, że jak inni będzie próbował mnie odwieść od tego zamiaru, ostrzegając przed grożącymi niebezpieczeństwami lub usiłując przedstawić mi bezsens mojego

pomysłu. Tymczasem *hiyea* oznacza tyle, co „Aha, rozumiem”, a dla mnie było to pierwsze światełko, które rozbliżyło w mroku.

Myślisz, że tam jest bezpiecznie? Mam szansę spotkać kogoś znajomego? Wiesz, od jak dawna nie mówiłam po somalijsku? - zasypałam go lawiną pytań. Jeszcze w 1995 roku zgodziłam się nakręcić film dokumentalny dla BBC, licząc, że pomogą mi dotrzeć do mojej matki. I rzeczywiście, miałam możliwość widywać ją przez trzy dni w etiopskiej miejscowości Galadi, tuż przy granicy z Somalią. Nie ośmieliłam się przekroczyć tej granicy ze względu na napiętą sytuację w kraju, ale już wtedy zorientowałam się, że mam trudności w posługiwaniu się ojczystym językiem.

Tym razem całkiem serio myślałam o wyjeździe. Mohammed zgodził się mi towarzyszyć pod warunkiem, że pokryję wszystkie związane z tym wydatki. Nie było go stać na taką podróż, gdyż otrzymywał tylko niewielki zasiłek socjalny od rządu holenderskiego.

Natomiast nadal swobodnie władał językiem somalijskim, co mogło nam się przydać, w razie gdybym nie pamiętała jakichś słów. W obecności brata czułam się bezpiecznie, a poza tym mogłam śmiało pozostawić Aleke w Amsterdamie pod opieką jego żony. Zdecydowałam zatem, że wyruszymy w przyszłym tygodniu. Wolałam z tym nie zwlekać, bo sytuacja w miejscu zamieszkania mojej matki mogła się przecież zmienić, a wtedy chwilowo uchylone drzwi zamknęłyby się na zawsze.

Mohammed wspomniał także o możliwości spotkania z naszym ojcem. Na wieść o tym zwilgotniała mi dłoń trzymająca słuchawkę, bo jeszcze po latach odczuwałam lęk na samą myśl o ponownej z nim konfrontacji. Z kolei Mohammed obawiał się powrotu do kraju, z którego ledwo uszedł z życiem. Wspomnienia tortur i szykan przeżytych w Mogadiszu nadal dręczyły go w snach, tym bardziej że dopiero po latach uzyskał w Holandii status uchodźcy politycznego, co nie dawało mu prawa do pracy ani do nauki. Mógł jedynie czekać, więc miał dużo czasu, aby, podobnie jak ja, próbować na nowo odnaleźć siebie.

Jeszcze tego samego dnia zadzwoniłam do współpracowniczek Oprah Winfrey i powiadomiłam je, że rezygnuję z udziału w programie z powodu wyjazdu do Somalii. Nie chciałam udawać przed nimi, że jestem w świetnym nastroju, kiedy miałam zranione serce!

Jednak zaraz po podjęciu decyzji wpadłam w panikę, bo na taką podróż musiałam się odpowiednio ubrać. Kobiety w mojej rodzinie, jak przystało na szanujące się Somalijki, nie nosiły przecież obcisłych spodni, koszulek ani czapeczek baseballowych. Zaraz po przybyciu do Londynu ostentacyjnie powyrzucałam stare somalijskie sukienki, ponieważ chciałam *zrzucić* dawną skórę jak motyl wyfruwający z kokonu. Teraz zaś zatęskniłam za tamtym kokonem, więc przeczesalam cały Nowy Jork, znany jako światowa stolica konfekcji, w poszukiwaniu odpowiednich sukien.

Narodowy strój somalijski, inaczej *dirah*, to sukienka długa do ziemi, o bardzo prostym kroju, uszyta z lekkiego, przewiewnego materiału w kwiaty lub jaskrawe, geometryczne desenie. Do uszycia takiego ubioru potrzeba było czterech jardów tkaniny, czyli czterokrotnej odległości między czubkiem nosa a końcem wyciągniętej ręki. Wioskowi krawcy składali odmierzoną w ten sposób sztukę materiału na pół, wycinając na linii złożenia półkolisty otwór na głowę. Na starych maszynach o napędzie nożnym, pozostawiając wolne miejsca do przeło-

żenia rąk, obrębiali wycięcie na szyję i odrywali obrębek. Pod taką suknię kobiety wkładały tylko halkę, bo nie znałam osoby o tak dużych piersiach, aby potrzebowała jeszcze stanika. Ja w każdym razie do takich nie należałam!

Głowy kobiety w Somalii okrywały długimi szalami, które naciągały także na twarz, gdy chciały wyjść z domu lub rozmawiać z mężczyzną innym niż mąż lub ojciec. Jednak za najbardziej ponętą część damskiego ciała uchodziły nogi. Kobieta, która pokazałaby się publicznie w szortach lub obcisłych spodniach, zostałaby chyba ukamienowana, albo i gorzej!

Zwróciłam się do mojej przyjaciółki Sharli z prośbą o radę, gdzie mogłabym dostać odpowiednie rzeczy. Skierowała mnie do centrum handlowego pod nazwą „Republika Bananowa”.

- Co mogłaby mi pani doradzić na pustynię? - spytałam ekspedientkę.

- Mamy ładne spodnie, szorty i kapelusze w stylu safari - odpowiedziała.

- To na nic, bo na pustyni byłoby mi w czymś takim za gorąco. Potrzebuję czegoś luźnego i przewiewnego, bez pasków i zapięć - wyjaśniłam, ale jedyną rzeczą, którą panienska mogła mi zaproponować, była obszerna, czarna suknia. Uznałam jednak, że wyglądałabym w niej zbyt ponuro, i pytałam dalej: - A nie macie nic bardziej kolorowego?

Okazało się, że jedynym wyrobem, który przynajmniej w części spełniał moje wymagania, były hinduskie sari. Zrobiono je z podobnej tkaniny bawełnianej jak stroje noszone przez moje rodaczki. Tyle tylko, że kupony materiału na sari były dłuższe, bo drapowano je wokół talii, podczas gdy somalijskie suknie opadały prosto od ramion do podłogi.

Chciałam także przywieźć prezenty dla wszystkich swoich krewnych, szczególnie dla matki. Ledwo jednak zaczęłam obchodzić sklepy - utknęłam w martwym punkcie, bo koczownicy nie gromadzili przedmiotów dla samej satysfakcji ich posiadania, a ja nie wiedziałam, co naprawdę chcieliby dostać.

Na pewno nikt z mojej rodziny nie wiedziałby, co zrobić z sylwetkami nowojorskich drapaczy chmur, plastikową miniaturką Statuy Wolności czy z wielkim ołówkiem z pędzlem na drugim końcu. Ucieszyliby się natomiast z praktycznych podarunków, toteż nabyłam dla nich buteleczki oliwki dla dzieci i olejku kokosowego do pielęgnacji skóry wysuszonej pustynnym słońcem. Zakupiłam także grzebienie, żółte, pachnące mydełka w kształcie wachlarzy, olejek do włosów, szczoteczki i tubki pasty do zębów. Sądziłam, że przydadzą się im, gdyż w Somalii nie ma dentystów. Za moich lat dziecięcych używaliśmy do czyszczenia zębów wykałaczek zrobionych z gałązek pewnego krzewu, ale nie wiedziałam, czy te krzewy rosną tam, gdzie obecnie przebywa moja rodzina. Dla matki kupiłam najładniejsze lustro, jakie znalazłam, bo chciałam, aby wreszcie sama zobaczyła, jaka jest piękna.

Przechadzałam się między regałami sklepowymi, eliminując z góry te przedmioty, które dla koczowników stanowią tylko niepotrzebny balast. Takich rzeczy jest większość, gdyż za niezbędne do życia uważają oni tylko pożywienie, wodę, zwierzęta i możliwość poruszania się z miejsca na miejsce. Moja rodzina nie przykładła nigdy wagi do posiadania dóbr materialnych. Nie używa się u

nas chusteczek higienicznych, papierowych ręczników, papieru toaletowego ani podpasek. Kobiety, które mają okres, ubierają się w najstarsze, ciemne sukienki i nie wychodzą z domu. Nie używają także szminki, pudru, ołówków do brwi ani tuszu do rzęs, a suszarki do włosów i tostery byłyby bezużyteczne z powodu braku prądu.

Ubrań koczownicy mają tylko tyle, ile dadzą radę unieść na grzbiecie, więc nie wiedzieliby, co począć z dodatkowymi częściami garderoby - nie mogą przecież dźwigać pełnych szaf! Ja sama zawsze wolałam prezentować ubiory, niż mieć je na własność.

Ostatecznie wybrałam kolorowe szale dla kobiet i sandały dla moich rodziców.

Zrezygnowałam z kupna jakichkolwiek produktów żywnościowych, gdyż mogłyby się zepsuć podczas podróży, a słodyczy u nas się nie jada. Kupiłam jeszcze maszynki do golenia dla moich braci i zestaw złożony ze szczotki i grzebienia przeznaczony dla ojca. Zwróciłam go jednak do sklepu, gdyż wątpiłam, czy przyjąłby taki prezent. Na zawsze zapamiętałam bowiem jego słowa: „Nie wiem, skąd się tu wzięłaś. Nie jesteś jedną z nas!”. Czy komuś takiemu można ofiarować szczotkę i grzebień? Moje serce pełne było nie- wypłakanych łez, ale teraz nie miałam już czasu na płacz. Musiałam ruszać w drogę.

RÓŻNICE

Ludzie braćmi się stają,

Gdy sobie pomagają.

Więc czy się rozstaniemy,

Czy sobie pomożemy?

Piosenka somalijska śpiewana przy pracy

Kiedy chciałam kupić bilet do Amsterdamu - urzędniczka biura podróży American Express poinformowała mnie, że mogę dokonać rezerwacji na dwadzieścia jeden dni naprzód albo wykupić bilet w jedną stronę na wtorek lub środę, a powrotny na środę lub czwartek z możliwością pozostania na sobotę. Wyjaśniłam jej, że wprawdzie mój brat ustalił, gdzie obecnie przebywa matka, to jednak w każdej chwili może ona zmienić miejsce pobytu, więc muszę wyjechać natychmiast.

Kobieta zza biurka spojrzała na mnie jak na wariatkę. Ja z kolei nie mogłam się nadziwić, dlaczego trzyma na biurku ogromną, wypchaną torebkę. Jeszcze zanim mnie zaprosiła, żebym usiadła, wyjęła z tej torebki wielką butlę jakiegoś płynu i spryskała sobie tym ręce. Nigdy nie mogłam zrozumieć, w jakim celu kobiety taszczą ze sobą przez cały dzień mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Jak taka osoba mogłaby znaleźć wspólny język z koczownikiem? Wolałam więc od razu przystąpić do sedna sprawy i poprosiłam o dwa bilety na przyszły tydzień, jeden dla osoby dorosłej, a jeden dla dziecka. Kiedy spytała o datę powrotu, odpowiedziałam:

Nie wiem, bo z Amsterdamu chcę jechać jeszcze do Somalii i Bóg jeden wie, jak się tam dostaniemy.

Dama wlepiła we mnie oczy jak spodki.

- Nie wiedziałam, że już można podróżować do Somalii...

- W każdym razie spróbuję - ucięłam krótko. - Mam tam matkę.

Od razu spojrzała na mnie łagodniejszym wzrokiem. Wy tłumaczyła mi tylko życzliwie, że musi mieć podaną datę powrotu, bo inaczej bilet będzie kosztował drożej. Poza tym, gdybym miała bilet tylko w jedną stronę, mogłabym mieć kłopoty z urzędnikami Biura Imigracyjnego. Na wszelki wypadek określiłam więc datę swego przyjazdu na dzień przed spotkaniem w gmachu ONZ. Zapłaciłam za bilety kartą kredytową, ale zaznaczyłam, że nie życzę sobie, aby funkcjonariusz obsługi lotniska tłumaczył się, że nie może *znaleźć* mnie w komputerze. Chcę dostać bilet do ręki i pokazać go właściwej osobie.

Doskonale panią rozumiem! - przyznała ze śmiechem urzędniczka.

Wykupiłam lot na wtorek wieczorem i zawnazas zawiadomiłam Mohammeda, o której ma mnie oczekiwać. Nie wierzył własnym uszom i zarzekał się, że uwierzy dopiero wtedy, kiedy zobaczy mnie w bramce hali przylotów.

Byłam dumna z zachowania Aleeke podczas podróży. Siedział na swoim fotelu jak dorosły mężczyzna i przez całą drogę albo rysował, albo przyglądał się współpasażerom. Od małego uwielbiał loty samolotem lub jazdę samochodem, mimo że nie mógł wtedy biegać ani skakać, co z upodobaniem robił w domu. Kiedy podczas lotu potrzebował wyjść do ubikacji, zwyczajnie wstawał i przechodził między rzędami foteli do odpowiedniego pomieszczenia, jakby było to dla niego chlebem powszednim. Najwidoczniej odziedziczył po mnie duszę wiecznego koczownika. Siedząc przy nim na sąsiednim fotelu, mogłam dokładnie widzieć czubek jego głowy. Od pewnego czasu chłopiec miał niepokojące dolegliwości skórne -

włosy wypadaly mu pęczkami, a na potylicy wystąpiły małe, białe guzki. Próbowałam wszelkich znanych mi sposobów, aby zwalczyć tę dolegliwość - wcierałam w skórę olejek eukaliptusowy, suszony, sproszkowany tymianek i mirrę zmieszana z miodem. Ponieważ ziołowe leki nie skutkowały, skonsultowałam się z pediatrą, ale ten zbył mnie, mówiąc: „U

dzieci to się często zdarza”. Przepisał jakąś białą, kleistą maść, która jednak nic nie pomogła.

Czułam się więc mocno niepewnie, mając zostawić pod opieką obcej osoby dziecko, które nie było całkiem zdrowe.

Nie miałam dotąd sposobności poznać żony Mohammeda, Dhury. Kiedy widziałam go po raz ostatni, zaraz po jego ucieczce z Mogadiszu do Amsterdamu, był jeszcze kawalerem.

Dhura też pochodziła z Somalii i w rozmowach telefonicznych wydawała mi się dobrą i tro-skliwą kobietą. Dbała należycie o rodzinę i zachęcała mojego brata do wykazywania większej aktywności. Kiedyś, gdy pokłóciliśmy się z Mohammedem i nie rozmawialiśmy ze sobą, nakłoniła go, aby pierwszy wyciągnął rękę do zgody.

Nie bądź głupi! - przekonywała. - Przecież jesteś starszy, więc wypada, żebyś zadzwonił do siostry i opowiedział jej, co słychać w Afryce.

Miałam więc przecucie, że zaopiekuje się należycie moim synkiem, choć wiedziałam, że sam fakt bycia czyimś krewnym nie oznacza automatycznie, że ten ktoś będzie dobry dla naszych dzieci. Mnie też, kiedy byłam małą dziewczynką, matka zostawiła pod opieką ciotki.

Trzeba trafu, że zaraz po przyjeździe do niej ciężko zachorowałam. Dostałam wysokiej gorączki i dreszczy, potem rozboleła mnie głowa i tak opadłam z sił, że ledwo mogłam mówić. Przypuszczalnie była to malaria, ale ciotka nie troszczyła się o mnie - zostawiała mnie samą i biegła do sąsiadek na plotki. Mało tego - wymagała, żebym zajmowała się jej dziećmi, chociaż tak kręciło mi się w głowie, że ledwie trzymałam się na nogach.

Allah jeden wie, jak pragnęłam wtedy mieć przy sobie matkę! Ona wiedziała, jak postępować z chorymi, aby złagodzić ich cierpienia. Przyrządzała lekarstwa z kory określonych drzew, utłuczonej na proszek, zawodząc specjalne zaklęcia. Czasem zresztą samo jej kojące dotknięcie lub kompres z wilgotnej szmatki działały lepiej niż antybiotyk.

Tymczasem ciotka nie zaparzała mi żadnych leczniczych ziółek, tylko bała się, że sama czymś się ode mnie *zarazi*. Jednak serce podpowiadało mi, że Dhura zaopiekuje się moim dzieckiem jak swoim własnym. Zależało mi również, aby Aleeke w jej domu miał sposobność podpatrywać somalijskie zwyczaje. Na pewno nie nauczyłby się ich od Dany, który nie myślał już po afrykańsku!

Kiedy poznaliśmy się z Daną, szalenie mu imponowało, że przyjechałam prosto z Afryki, bo wydawało mu się to czymś tajemniczym i egzotycznym. Z czasem jednak okazało się, że mamy wprawdzie zbliżony kolor skóry, ale rozbieżne poglądy, gdyż pochodziliśmy z dwóch różnych światów. Dana, jako amerykański Murzyn, potrafił beztrąsko rzucić: „Po drodze do kina wdepniemy gdzieś na pizzę”. Drażniła mnie ta nonszalancja, bo my w Somalii wiemy, czym jest głód, więc traktujemy jedzenie z należnym szacunkiem jako dar Allaha.

Przed każdym posiłkiem myjemy się i odmawiamy modlitwę, a jemy powoli i w skupieniu.

Toteż denerwowało mnie, gdy Amerykanie w pośpiechu wrzucali kęsy do ust. Czy dlatego nie rozumieliśmy się z Daną, że wychowałam się w Afryce? A może dlatego, że to ja zarabiałam pieniądze i zdobyłam sławę jako modelka?

Po raz pierwszy zauważyłam Dane, kiedy przyszłam potańczyć do klubu, gdzie grała jego kapela. Od razu wpadł mi w oko, więc celowo ustawiałam się tak, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Jemu też od razu wpadła w oko dziewczyna w zielonym swetrze, uczesana w stylu afro. Kiedy już chodziliśmy ze sobą, próbowałam go nabrać, że spodziewam się z nim dziecka. Wystraszył się wtedy i patrzył na mnie jak na wariatkę. Wypominałam mu to potem, kiedy już byłam w ciąży, ale i tak od pierwszego wejrzenia wydał mi się idealnym partnerem.

Ujęła mnie przede wszystkim jego osobowość. Czarny chłopak z amerykańskiego Środkowego Zachodu okazał się człowiekiem uczuciowym, wrażliwym i szczerym, o dobrym sercu. W cudowny sposób udało mu się przezwyciężyć moją nieufność do mężczyzn, bo oprócz drastycznego

okaleczenia wyniosłam z dzieciństwa same odstręczające wspomnienia związane z seksem. Byłam jeszcze bardzo mała, kiedy którejs nocy usłyszałam dziwne odgłosy z kąta chaty, który zajmowali moi rodzice. Odwróciłam się w tamtą stronę i zobaczy-

łam, że na macie leży moja matka, a na niej ojciec, który przygniata ją swoim ciałem, dyszy i sapie. Podeszłam do nich, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale już w następnej chwili poczułam, że lecę w powietrzu. To ojciec złapał mnie za nogę i wyrzucił wysoko, aż wylądowałam w ramionach mojej starszej siostry Halimo, która wyszeptała: „Cicho, Waris, zostaw teraz mamę w spokoju!”. Nazajutrz rano zagadnęłam matkę o wydarzenia ostatniej nocy, ale nie chciała rozmawiać ze mną na ten temat, który stanowił ściśle tabu.

Za to Dana był dla mnie czuły i łagodny jak pierwsze krople porannego dżdzu. Im bezpieczniej czułam się przy nim, tym mocniej go pożałowałam. Podniecało mnie najlżejsze dotknięcie jego ręki. Przekonałam się, że sposób, w jaki „zapieczętowano” moją cnotę, nie pozbawił mnie wcale popędu płciowego, tylko uczynił bardziej ostrożną i powściągliwą, ale odkąd wyzbyłam się tych zahamowań - sama chciałam, aby Dana trzymał mnie w ramionach i dotykał mego ciała.

Ludzie z mojego plemienia cechują się dużą uczuciowością, chociaż mężczyźni i kobiety nigdy nie pokazują się razem w miejscach publicznych. Często natomiast widzi się mężczyzn trzymających się za ręce i okazujących sobie uczucie, podobnie jak robią to zaprzyjaźnione kobiety. Na Zachodzie tylko starzy przyjaciele po długim niewidzeniu wymieniają uściski, dlatego tak ceniłam sobie fizyczne zbliżenia z Daną. To, że pozbawiono mnie pewnych części ciała, nie zmniejszało miłych doznań, kiedy mnie całował. Kobiety po amputacji piersi z powodu raka także mogą nadal cieszyć się seksem. Dla mnie bowiem w tych sprawach najbardziej liczy się uczucie. Orgazm zaczyna się w mózgu, a kończy w sercu.

Dlatego łagodne i czułe pieszczoty Dany sprawiły, że się w nim zakochałam.

Różnice między nami stały się wyraźniejsze po urodzeniu Aleeke. Na przykład w Somalii nie używa się pieluszek dla niemowląt, bo matki przez cały czas trzymają je blisko przy sobie, więc czują, kiedy maleństwu chce się siusiu. Siadają wtedy wprost na ziemi, przytrzymując dziecko między kolanami, a kiedy załatwi się na piasek - podcierają mu pupę liściem. Przez cały czas czule przemawiają do dzidziusia, tłumacząc mu, co właśnie robi, dzięki czemu wkrótce zaczyna kojarzyć czynność z odpowiednią nazwą. Chowane w ten sposób dzieci, ledwo *zaczyną* chodzić, szybko uczą się samodzielnie kucać na ziemi i załatwiać swoje potrzeby. Do wieku mniej więcej trzech lat ubiera się je tylko w koszulki, więc czują się zaszczycone, kiedy matka uzna, że już dorosły do noszenia spodenek lub sukienki.

Tych naszych zwyczajów nie rozumiał ani Dana, ani jego babcia, która go wychowała.

Był on z nią mocno związany uczuciowo i często ją odwiedzaliśmy. Starsza pani uważała, że dziecko powinno mieć stale założoną pieluszkę. Mogłam to od biedy zrozumieć, jeśli było chłodno, ale co szkodziło, żeby raczkował po domu z gołą pupcią, tylko w samej koszulce?

Tym z kolei gorszył się Dana, choć dla mnie ciało dziecka jest czymś tak nieskończenie doskonałym, że grzechem byłoby je ukrywać. Cóż, kiedy rodzina Dany uważała nagość za grzech! Uszczypliwe

uwagi jego krewnych raniły mnie tym bardziej, że zależało mi na akceptacji ze strony bliskich mu osób, więc wbrew sobie ubierałam synka w majteczki, spodnie, buciki i skarpetki. Nie mogłam tylko pogodzić się z używaniem pampersów, bo wyrzucanie za każdym razem takich ilości papieru i folii wydawało mi się karygodnym marnotrawstwem. Ciekawe, gdzie się to wszystko potem podziewało?

Babci Dany nie przeszkadzało, że żyjemy ze sobą i mamy dziecko bez ślubu, bo była szalenie dumna z prawnuczka. Przypominała mi moją własną babcie pewnością siebie, silnym charakterem i przywiązaniem do tradycyjnych wartości. Pewnie tak właśnie zachowywały się typowe starsze Amerykanki, podczas gdy moja babcia z Mogadiszu była szanującą się Somalijką. Nigdy nie wychodziła na ulicę z odkrytą twarzą, choć zachodziłam w głowę, jak ona w ogóle cokolwiek widzi. Sama wychowała swoje dzieci i świetnie dała sobie z tym radę.

Natomiast babcia Dany stale krytykowała wszystko, co robiłam, i nawet nie próbowała poznać afrykańskich zwyczajów, tylko wymagała, abym przejęła jej metody postępowania.

Całe życie przeżyła w Omaha w stanie Nebraska i nigdy nie widziała oceanu, ba, nawet nie chciała widzieć! Żartowałam nieraz, że siłą zamoczę jej nogi w oceanie, to może wtedy spróbuje zrozumieć mój świat.

Nie dorosłam jeszcze na tyle, aby móc zajmować się kozami, a już marzyłam o karmieniu piersią własnych dzieci! Mama karmiła tak zarówno mnie, jak moich braci, do trzeciego lub czwartego roku życia, dopóki nie urodziła następnego dziecka. W Somalii nie używa się butelek dla niemowląt, bo prawie nigdy nie ma pod dostatkiem wody, aby je myć.

Moja matka płukała kozim moczem drewnianą miskę, w której przechowywała mleko.

Dezynfekowała potem jej wnętrze rozżarzonym węglem, a brudne naczynia szorowała piaskiem i popiołem. Piersi matki dostarczała dziecku nie tylko pożywienia, ale spokoju i bezpieczeństwa. Kobiety nosiły dzieci na plecach, a kiedy te zapłakały - mogły je łatwo przesunąć na piersi i nakarmić. Zawsze chętnie przyglądałam się matce lub innym kobietom karmiącym dzieci i też tego chciałam spróbować, bo zastanawiałam się, jakie to uczucie.

Raz, kiedy jeszcze ledwo było mnie widać w wysokiej trawie, ciotka zostawiła pod moją opieką swoje malutkie dziecko, a sama poszła nzbierać chrustu na opał. Chłopczyk nie był większy od głowy wielbłąda, rączki i nóżki miał ciasno przyciśnięte do tułowia, a skórzany amulet zawieszony na jego szyjce zakrywał mu cały brzusek. Kiedy zaczął płakać, pomyślałam, że nadarzyła się okazja, aby wypróbować, co się stanie, jeśli przystawię go do piersi. Oczywiście sięgnął zaraz buzią po moją płaską brodawkę, otaczając ją ciasno wargami.

Doznałam wspaniałego uczucia, ale maluch szybko się zorientował, że moja pierś nie jest tym samym co pierś jego matki. Przycisnęłam go mocniej, ale ponieważ nie miał co wyssać, z niesmakiem skrzywił twarzyczkę, wyprężył się i rozwrzeszczał na całe gardło. Uspokoił się dopiero wtedy, kiedy przywiązałam go sobie na plecach. Po tym doświadczeniu doszłam do wniosku, że z własnymi dziećmi na pewno idzie łatwiej.

Jedna z moich małych siostrzyczek umarła wkrótce po urodzeniu. Piersi matki nabrzmiały wtedy

mlekiem i zrobiły się bolesne. Próbowwała odciągnąć pokarm sama, jak robią to kozy, ale nie potrafiła wycisnąć zbyt wiele płynu. Po kilku dniach jej piersi obrzękły, poczerwieniały i wystąpiły na nich rozdęte żyły. Matka płakała z bólu, czego nie robiła nigdy nawet wtedy, gdy ojciec ją bił. Niepokoiłam się o nią, więc zaproponowałam: „Pomogę ci, mamó. Spróbuję ci to odessać!”. Wysysałam wydzielinę z jej piersi i odpluwałam, bo nie przypominała w niczym takiego mleka, jakie zwykle piłam. Płyn miał kwaśny smak i nieprzyjemny zapach.

Kiedy zaszłam w ciążę, fakt ten ani trochę mnie nie przeraził. Widziałam już tyle matek i rodzących się dzieci, że wydawało mi się, jakbym przez całe życie nie robiła nic innego. Natomiast krewni Dany wpadli w popłoch, kiedy w ósmym miesiącu poleciałam do Hiszpanii na sesję zdjęciową. Zachowywali się, jakby ciąża była jakąś chorobą, podczas gdy ja nigdy tak tych spraw nie traktowałam. Ani moja matka, ani ciotki w czasie ciąży nie przerywały codziennej pracy, więc i ja nałożyłam tylko obszerny, workowaty sweter i śmiało wsiadłam na pokład samolotu. Zrobione wtedy zdjęcia ukazywały kobietę szczęśliwą, zadowoloną ze swego błogosławionego stanu. Cieszył mnie mój wielki brzuch i wyczuwalne w nim ruchy świadczące o budzeniu się nowego życia. Czułam się zaszczycona, że Allah obdarzył mnie tak wielką łaską i pozwolił założyć własną rodzinę. Miałam pewność, że nic nie może *zagrozić* memu szczęściu.

Przy każdym badaniu kontrolnym lekarz pytał: „Czy chce pani znać płeć dziecka?”.

Za każdym razem odpowiadałam: „A po co? Ja już mam przeczucie, jaka będzie. Grunt, aby dziecko miało obie ręce, obie nogi i dwoje oczu!”. Mogłam z góry określić osobowość dziecka, modliłam się tylko, aby było zdrowe. Widziałam bowiem wiele dzieci, które umierały zaraz po przyjściu na świat. Matka owijała je w białe płótno, a ojciec zakopywał

ciałka gdzieś na skalistym płaskowyżu, gdzie spoczywały, dopóki Allah nie powołał ich do swojej chwały. Na szczęście moje przeczucie okazało się słuszne i Aleeke łudzaco przypominał mojego zmarłego brata, którego nazywaliśmy Starcem. Zupełnie jakby wrócił z tamtego świata, aby grać rolę naszego ducha opiekuńczego! Ledwo położna mi go pokazała, od razu spojrzeliśmy sobie w oczy. „Cześć, Starzec!” - przywitałam go, a on odwzajemnił

moje spojrzenie, z którego wyczytałam to samo. Nie wiedziałam wprost, jak dziękować Allahowi za tak wspaniały dar - przecież stało się tak, jakby oddał mi z powrotem utraconego dawno braciszka!

Jeszcze w szpitalu, na drugi dzień po urodzeniu Aleeke, poleciliśmy go obrzezać. U

chłopców nie jest to tak okrutny zabieg jak u kobiet - wręcz przeciwnie, powinno się go wykonywać ze względów higienicznych. Trochę popłakał, ale zaraz się uspokoił, gdy tylko wzięłam go na ręce. Uważałam, że postąpiłam słusznie, choć kłóciło się to z moimi poglądami na temat rytualnego okaleczania, ale siusiaczek mojego synka po tym zabiegu wyglądał ślicznie i czysto. Któregoś dnia poprosił mnie, żebym z nim poszła do ubikacji, a ja przekonywałam, że jest już dużym chłopcem i powinien umieć się sam wysiusiać. Jemu jednak chodziło tylko o to, żebym popatrzyła, jakiego ma ładnego siusiaczka!

Wstyd przyznać, ale nie powiodło mi się karmienie Aleeke piersią. Na ogół był

zdrowym dzieckiem, ale najwidoczniej brakowało mu mleka, bo prężył się i płakał, choć nie wiedziałam dlaczego. Miałam tak duże piersi, że nie mogłam uwierzyć, aby mój syn nie mógł

z nich wyssać tyle mleka, ile trzeba. Moja matka ani ciotki nie miały z tym kłopotów - ich dzieci po prostu ssały i już! Tymczasem babcia i Dana wciąż powtarzali mi: „Daj mu butelkę, tak będzie dla niego lepiej!”. Po trzech nieprzespanych nocach uległam, a kiedy dałam mu butelkę - przyssał się do niej, jakby tylko na to czekał. Widziałam, że jest syty i zadowolony, więc dałam sobie spokój z karmieniem piersią i nie oponowałam, kiedy babcia wmawiała mi, że mieszanka jest najlepszym pokarmem dla dzieci. Najważniejsze, że mój synek miał

uśmiechniętą buzię i pełny brzusek, bo zmarłe dzieci chowano w bieli, która jest kolorem smutku i złego ducha.

Kiedy moja matka potrzebowała pójść na stronę albo się pomodlić, dawała dziecko do potrzymania mnie albo którejś z moich sióstr lub ciotek. W Somalii nie znaleźliśmy przecież wysokich dziecięcych krzesełek lub kojców. Te ostatnie były dla mnie iście diabelskim wymysłem. Jak można zamykać dziecko do klatki jak lwa lub tygrysa? Zawsze starałam się sama nosić małego na rękę i śpiewałam mu stare, somalijskie kołysanki, które rozbudzały we mnie tęsknotę za Afryką. Na przykład tę:

Powoli człapie wielbłąd,

bo tatuś jest daleko,

za górą i za rzeką,

lecz nie płacz mi, dziecińco,

bo Allah wnet zaradzi,

tatusia nam sprowadzi!

albo tę:

Tatuś pojechał daleko, daleko, i ciocia, i brat,

hen - pojechali w świat!

Lecz tatuś powróci, powróci znów tu

i synkowi maleńkiemu da prezentów pełen wór!

Kiedy Aleeke miał dwa miesiące, zaczęłam go uczyć pić mleko z kubeczka, bo jeszcze w dzieciństwie nauczono mnie, jak to się robi. Nalałam do kubeczka trochę mleka, posadziłam sobie malca na kolanach i nacisnęłam z obu stron jego policzki, aby rozchylić wargi. Udało mi się w ten sposób wlać mu do buzi kilka kropel mleka, ale babcia podniosła rwetes:

Ależ, Waris, on jest jeszcze za mały, żeby pić mleko z kubka!

Nie wiedziałam, o co jej chodzi, bo radził sobie całkiem dobrze. Nie chciałam jednak wszczynać kłótni, więc pozwoliłam, aby nakarmiła dziecko butelką.

Innym znów razem przyłapała mnie, jak trzymałam synka na kolanach i myłam go szmatką namoczoną w ciepłej wodzie. Natychmiast zaproponowała, że mi pokaże, jak go

„porządnie wykąpać”. W jej mniemaniu „porządna kąpiel” oznaczała szorowanie biedactwa w tym samym zlewie, w którym się zmywa naczynia. Oczywiście Leeki wystraszył się, zaczął

krzyczeć i wierzgać, aż porwałam go na ręce i zakołysałam.

Moja matka po umyciu dzieci nacierała je masłem, które u nas nosi nazwę *subaq ghee*.

Ubijała je w specjalnym podłużnym koszyku o nazwie *dhill*, plecionym tak gęsto, że nie przecieknie przezeń nawet kropla. Zawiesza się go na gałązkach wygiętych w kształt litery

„U”. Po nalaniu koziego lub wielbłądziego mleka mama zawiązywała ciasno górny otwór i trzymała tam mleko parę dni, aż się zupełnie zsiadło. Pod spód podkładała kawałek derki i wyznaczała któreś z dzieci, aby przez cały dzień bujało koszyk tam i z powrotem. Wieczorem zaglądała do środka przez górny otwór.

Jeśli w otworze pokazywało się mleko - masło nie było jeszcze gotowe. Jeśli natomiast nic z koszyka nie wypływało, znaczyło, że na jego dnie i bokach osadziło się już gęste, wspaniałe masło. Matka wybierała je, a nam pozwalała wypić pozostałą maślankę. Dni, w których wyrabiało się masło, uważaliśmy za szczęśliwe, bo nie codziennie udawało się wydoić aż tyle mleka. Masła matka używała do smażenia i gotowania, smarowała nim placki i dodawała do herbaty. Nacieraliśmy nim sobie twarze, całe ciała i włosy, a skóra dzieci namaszczona masłem robiła się gładka i miękka.

Któregoś jesiennego dnia, kiedy przebywaliśmy akurat w gościnie u babci Dany, zdecydowałam się zabrać Leekiego na spacer, trzymając go naszym zwyczajem na plecach.

Miał wtedy ze dwa lub trzy miesiące. Dzień był chłodny, więc nałożyłam na nas oboje moją zieloną kurtkę. Wiedziałam dobrze, jak przytroczyć dziecko do pleców, ponieważ nieraz nosiłam w ten sposób moich małych braci i kuzynów, którzy to uwielbiali. W tym celu użyłam długiego szala, tkanego gęsto jak prześcieradło, w moim ulubionym żółtym kolorze, w zielone i czerwone afrykańskie desenie. Zgięłam się wpół i posadziłam sobie małego na plecach, przytrzymując jego rączkę pod pachą, aby się nie ześliznął, podczas gdy przerzuciałam szal przez jedno ramię i przekładałam pod drugim. Końce szala związałam między piersiami i w ten sposób dziecko siedziało wygodnie, w tak bezpośrednim kontakcie ze mną, że czułam jego każdy oddech. Wcale mi nie ciążyło, więc nie rozumiałam, dlaczego amerykańskie matki wożą dzieci w wózkach, odizolowane od siebie. Babcia jeszcze przed urodzeniem Aleeki zapowiedziała, że musimy kupić wózek spacerowy.

Po co? - Nie rozumiałam.

Babcia spojrzała na mnie zdziwiona.

- Jak to, po co? A jak masz zamiar chodzić z dzieckiem po zakupy i na spacer?

- Będę je nosić na plecach - wyjaśniłam.

- Posłuchaj mnie, Waris - tłumaczyła cierpliwie starsza pani. - To twoje pierwsze dziecko, więc jeszcze nie wiesz, jak z nim postępować. Będiesz potrzebowała wózka, bo nie możesz przecież obnosić maleństwa wszędzie na rękach.

- Może u was się tego nie robi, ale my nosimy dzieci na plecach - nie ustępowałam.

Babcia jednak postawiła na swoim i sama kupiła wózek, wielki i szary. Nie mogłam się do niego przyzwyczaić i po kilku tygodniach przestałam go używać. Nie chciałam robić przykrości babci, bo ją kochałam, ale ten wózek był tak toporny, że głupio się z nim czułam na ulicach Nowego Jorku, gdzie przecież nie ma za dużo miejsca. Na chodniku wszyscy musieli ustępować mi z drogi, jeszcze trudniejsze było przenoszenie tej ogromnej maszyny przez krawężniki, a już zupełną niemożliwością okazało się wejście z tym do sklepu. Musiałam najpierw otwierać drzwi na oścież i szybko wciągać do środka wózek, w strachu, żeby zamykające się drzwi nie przygniotły dziecka. W żaden sposób nie mogłam wprowadzić go do metra, więc całą drogę musiałam odbywać piechotą, a wracając do domu, zanim wniosłam małego na piętro, zostawiałam wózek pod schodami, gdzie potykali się o niego inni wchodzący. Bez takiego „udogodnienia” mogłam się doskonale obejść.

W każdym razie tego dnia rażno zbiegłam z piętra, niosąc Aleekę na plecach. Z

dzieciństwa spędzonego na pustyni pozostało mi bowiem przyzwyczajenie, że czy jest ku temu potrzeba, czy nie, chętnie poruszam się biegiem. Byłam szczęśliwa, czując główkę mego synka pod kurtką, ale mijając kuchnię, zauważyłam babcię, która zmywała naczynia.

Rzuciłam więc w biegu:

- Cześć, babciu!

- Chwileczkę - zatrzymała mnie. - A gdzie jest mały? Mówiłaś przedtem, że zabierasz go na spacer.

Wyszła aż do hallu ze ścierką w rękę, taksując mnie podejrzliwym spojrzeniem.

Mam go tu, na plecach - wyjaśniłam, ale babcia najwyraźniej mi nie wierzyła.

Rozsunęłam więc zamek kurtki i przesunęłam Aleekę pod pachą do przodu, aby go widziała.

Chłopczyk uśmiechnął się do prababci swoim rozczulająco dziecinnym uśmiechem, a ona wpadła w popłoch. Nie rozumiała, na czym dziecko się trzyma, i jakim sposobem może mu być wygodnie, gdyż w życiu nie widziała czegoś podobnego. Wmówiła sobie, że chłopiec pod kurtką może się udusić i raz po raz powtarzała:

- Błagam cię, zdejmij to!

- Roześmiałam się jej w nos i zbyłam krótko:

- Na razie idziemy na spacer, babciu. Do zobaczenia później!

- Sprawiała mi jednak przykrość, bo oczekiwałam od niej akceptacji i moralnego wsparcia, a nie posądzenia, że duszę własne dziecko. Spodziewałam się, że raczej zapyta, w jaki sposób uwiążę sobie dziecko na plecach, zamiast z góry zakładać, że wszystko, co afrykańskie, jest złe.

JEDEN LOT ZA DRUGIM

Język i zęby są sobie najbliższe,

ale nawet i one ciągle ze sobą walczą.

Przysłowie somalijskie

Samolot wynurzył się z chmur i wylądował tuż obok terminalu na lotnisku w Amsterdamie. Mimo ponurej pogody musiałam się uśmiechnąć, gdy dostrzegłam tyczkowatą figurę mojego brata wyróżniającą się w tłumie. To musiał być Mohammed, który miał sześć stóp i cztery cale! Przyjechał na lotnisko w towarzystwie znajomego i witał nas uśmiechem od ucha do ucha. W oczach, ciemnobrązowych jak wysuszona słońcem ziemia Afryki, skrywał wciąż tajemnice przeszłości. Bezpośrednio po wydostaniu się z Mogadiszu był głod-ny i spragniony nie tylko pożywienia i wody, ale i nadziei. Teraz nabrał trochę ciała, ale nadal wyglądał na zagłodzonego i wystraszonego. Na dolnej wardze pozostała mu blizna po pęknięciu z długotrwałego braku wody. Więzienie w Mogadiszu pozostawiło mu na pewno Więcej blizn i wątpiłam, aby kiedykolwiek znikły. Nosił okulary w okrągłej oprawce i wypatrywał nas z drugiego końca hali przylotów jak wielbłąd wody.

Cieszyłam się, że po tylu latach mogę znów uściskać brata i pozdrowić go w ojczystym języku. Aleeke przyglądał się wysokiemu wujkowi oczami rozszerzonymi jak spodki i piszczął z zachwytem, kiedy Mohammed uniósł go i posadził sobie na ramionach.

Po godzinie jazdy samochodem dotarliśmy do skromnego mieszkania Mohammeda, gdzie oczekiwała nas jego żona Dhura. Wyglądała dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam.

Miała okrągłą twarz i oczy rzucające wesołe iskierki. Pasowała do mego brata, gdyż była prawie tak wysoka jak on. Nosiła długą suknię, a włosy okrywała szalem według somalijskiego zwyczaju. Kiedy Mohammed przedstawił nas sobie, uściśniła obie moje ręce, a nawet potem, gdy już oprowadzała mnie po mieszkaniu i pokazywała pokój przeznaczony dla nas, przez cały czas obejmowała mnie ramieniem. Emanowało od niej ciepło i siła.

Dhura także należała do klanu Darod i miała dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, chłopca i dziewczynkę. Synowi dała na imię Mohammed zgodnie z tradycją somalijską, aby uczyć proroka Mahometa. Miał już jedenaście lat, a córka, dziesięcioletnia Zhara, prawie do-równywała matce wzrostem. Pierwszy mąż Dhury zaginął podczas rozruchów w Mogadiszu i nawet jego najbliższa rodzina nie знаła miejsca jego pobytu. Któregoś dnia pocisk artyleryjski rąbnął w dom, w którym mieszkała Dhura wraz z dziećmi, i zburzył całą ścianę. Zabrała wtedy dzieci i wydosłała się drogą lotniczą do Kismayo, a stamtąd statkiem do Mombasy, gdzie trafiła do obozu dla uchodźców. Kiedy już znalazła się w Holandii, zaprzestała poszukiwań męża i zaocznie przeprowadziła z nim rozwód. Zawiadomiła o tym członków jego klanu, którzy zaakceptowali jej decyzję.

Dzieci Dhury wyglądały na nieśmiałe i łagodne. Wyzierały zza jej spódnicy, rzucając stamtąd Leekiemu zachęcające uśmiechy. Od razu pobiegł do nich i przyłączył się do zabawy, nie oglądając się na mnie. O mało nie rozplakałam się ze szczęścia, bo zawsze marzyłam, aby mógł beztrąsko

bawić się i psocić w gronie rówieśników, jak ja to robiłam w jego wieku.

Chwała Bogu, że nie miał żadnych zahamowań i porozumiał się ze starszymi kuzynami, jakby znał ich od urodzenia.

W tym czasie usiadłyśmy z Dhura, aby napić się kardamonowej herbaty. Wyznałam jej wtedy, że trochę się boję zostawiać Aleeke samego.

- Ależ Waris, on będzie się świetnie bawił z moimi dziećmi. - Dhura przyjaźnie poklepała mnie po ręku.

Wyjaśniłam jej wtedy, co mnie niepokoi.

Widzisz, porobiły mu się takie guzki na głowie i to nie chce zejść.

Zawołałam nawet Leekiego, żeby Dhura mogła sama dotknąć guzków na główce dziecka. Kiedy nacisnęła jeden z nich - wypłynęła z niego ropa. Leekiemu jednak to nie przeszkadzało i chciał nadal bawić się ze swymi kuzynami.

- Mój Mohammed miał to samo - pocieszyła mnie Dhura. - Gdyby za kilka dni mu to nie przeszło, zabiorę go do lekarza. Mamy tu w Holandii darmową pomoc medyczną i traktują nas bardzo życzliwie.

- Coś takiego! - trudno mi było uwierzyć. - W Nowym Jorku zapłaciłam jednemu doktorowi sto dolarów i zapisał tylko maść, która nic nie pomogła.

- My tu mamy opłaconą pomoc lekarską, mieszkanie i wyżywienie. Tyle tylko, że Mohammed nie ma prawa do pracy, bo dostaliśmy kategorię - F- 1. To znaczy, że nie przyznano nam prawa stałego pobytu, tylko tymczasowy azyl, dopóki sytuacja w naszym kraju się nie unormuje, ale nie możemy ani pracować, ani się uczyć, tylko czekać. Wydaje mi się, że Mohammed ma już dość tego czekania, a do Somalii też nie chciałby wracać na stałe.

Znałam ten ból i domyślałam się, że tęsknota brata za Somalią nie jest zbyt szczera.

Następnego dnia wybraliśmy się z Mohammedem zarezerwować lot do Afryki. Dzień był chłodny, toteż włożyłam sweter, kurtkę i długą, portfelową spódnicę, której rozcięcie czasem się rozchyłało, ukazując nogi. Już prawie wychodziliśmy, gdy mój brat przyjrzał mi się z boku i zapytał:

- Masz zamiar iść w tym między ludzi?

- Tak, bo co? - odpowiedziałam.

- Nie podoba mi się ta spódnica.

- Jeśli wolisz, mogę włożyć dzinsy.

- O, nie, to byłoby jeszcze gorzej! - jęknął Mohammed, przewracając oczami.

Zatrzymałam się i spojrzałam mu prosto w twarz.

- O co ci właściwie chodzi? - spytałam ostro.

- Nie masz nic innego do włożenia? Tylko tę spódnice albo dzinsy?

- A co miałabym włożyć? Tak się ubieram, bo żyjemy w chłodnym klimacie i to są rzeczy, które zwykle noszę.

- Przecież idziemy załatwiać bilety do somalijskiego biura! - burczał gniewnie. -

Postawisz mnie w kłopotliwej sytuacji, jeśli pokażesz nogi jak teraz. Włóż przynajmniej coś pod spód!

- Już zaczynasz się kłócić, chociaż jeszcze nie wyszliśmy z domu - zdenerwowałam się. - Uprzedzam cię, że nie zrobisz ze mnie zahukanej Somalijki, która zakrywa się od stóp do głów i przez cały czas milczy.

- Możesz sobie komenderować Dhurą, ale ze mną ten numer nie przejdzie.

- Waris, ty nie wiesz, jak tu jest... - zaczął, ale przerwałam mu w pół zdania.

- Daj spokój - stłumiłam dyskusję w zarodku. - Odkąd opuściłam nasz dom, przywykłam sama sobie dawać radę i nikomu nie pozwolę dyktować mi, jak się mam ubierać ani co robić. Sama zarabiam na swoje utrzymanie i jeszcze wam przysyłam pieniądze. Wiem, że w Somalii nogi uchodzą za najbardziej nieprzyzwoitą część ciała, ale znajdujemy się teraz w Holandii i czas, abyś się nareszcie do tego przyzwyczaił!

Mohammed wyglądał na zaskoczonego. Pewnie nigdy dotąd żadna kobieta nie ośmieliła się tak szczerze mu wygarnąć, więc zrobił wielkie oczy.

Jeszcze w Nowym Jorku nabyłam czeki podróżne na znaczną sumę, ponieważ dla bezpieczeństwa wolałam nie wozić ze sobą gotówki. Musieliśmy więc przede wszystkim udać się do banku, gdzie chciałam wymienić równowartość co najmniej czterech tysięcy dolarów.

Pojechaliśmy metrem do centrum Amsterdamu, gdzie znajdował się największy w tym mieście bank, z białą, marmurową kolumnadą i drzwiami obitymi mosiężną blachą. Do kantoru wymiany walut ustawiła się długa kolejka; kiedy już odstałam swoje, podałam kasjerowi moje czeki i paszport. Błdy mężczyzna o grubym karku i czerwonym nosie spojrzał na mnie znad okularów i zapytał:

Czy to pani czeki?

- Oczywiście, że moje.

- Proszę więc, niech pani tu podpisze. - Podał mi kawałek papieru, a potem długo obracał go w palcach, zanim orzekł: - Niestety, ten podpis nie *zgadza* się z podpisem na czeku.

- Jak to, w paszporcie mam taki sam! - W plecaku miałam więcej czeków, równowartość około pięciu tysięcy dolarów, i zaproponowałam, że mu je pokażę. Wprawdzie nie chodziłam nigdy do szkoły ani nie brałam prywatnych lekcji, ale podpisać się umiałam poprawnie.

Na szyję wypełził mu rumieniec, gdy gniewnie oświadczył:

- Niestety, nie mogę przeprowadzić tej operacji. Musi pani spróbować zrealizować te чеки w innym banku.

- Ależ to moje normalne podpisy! - argumentowałam.

- Nie mogę potwierdzić ich zgodności - powtórzył z naciskiem urzędnik.

Wyprostowałam się i zażądałam stanowczo:

- Chcę rozmawiać z kierownikiem!

Oczy mu się zwężyły, jak gdyby nagle oślepił go blask słoneczny.

- Ja jestem kierownikiem - oświadczył urzędowym tonem. Od razu jednak domyśliłam się, że kłamie, bo chce mnie splawić. Tymczasem Mohammed zaczął się już zbierać do wyjścia. Dotknął mojego ramienia i szepnął:

- Chodźmy stąd, chyba sama widzisz, że te podpisy się różnią.

Ponieważ nie reagowałam, sam zaczął zbierać moje чеки sprzed okienka kasowego.

- No, nie widzisz, że każdy jest inny? - syknął nerwowo. - Daj spokój, chodźmy już stąd!

Nie przypuszczałam, że tak szybko się zniechęci. Byłam na niego tak zła, że miałam ochotę go sprać jak dzieciaka.

- Zamknij się! - syknęłam. - Wiem, co robię!

- No więc, co pan mi radzi? - zwróciłam się do samozwańczego kierownika.

- Na drugim końcu miasta jest oddział banku American Express - pouczył mnie. -

Tylko tam będzie możliwe potwierdzenie autentyczności pani czeków.

Zaczął mi wyliczać, jaką linią metra mam pojechać, do jakiej się przesiąść, ile bloków minąć i na której przecznicy skręcić w lewo...

Więc mam się tłuc na drugi koniec miasta i stracić masę czasu tylko dlatego, że pan mi nie wierzy? - warknęłam z oburzeniem, ale tylko spojrzał na mnie spode łba i zwrócił się do następnego interesanta. Mohammed ruszył już w stronę wyjścia, a ja wiedziałam, że teraz mogę tylko albo rozpętać awanturę na całego, albo też się wycofać. Widziałam jednak, że z tym człowiekiem nie mam

o czym mówić, więc wołałam wyjść.

Przez całą drogę do drugiego banku mój brat zrzędził, że to wszystko moja wina.

- Czemu nigdy nie słuchasz, co się do ciebie mówi? - burczał pod nosem. - Powinnaś była bardziej uważać. Te podpisy rzeczywiście wyglądały inaczej.

- Może za każdym razem miałam inny długopis? - odmruknęłam.

- A najpewniej w Nowym Jorku podpisałam się lewą ręką, a tym razem prawą.

Trwało długo, zanim dotarliśmy do wskazanego banku, bo musieliśmy wielokrotnie się przesiadać. Mohammed ciągle się mnie czepiał, ale już nawet nie próbowałam z nim dyskutować. Osobiście uważam, że nie należy dać się ponieierać bez powodu, ale nie chciałam wszczynać kłótni, tym bardziej że brat nie miał w ogóle zamiaru mnie słuchać.

W drugim banku, filii spółki American Express, moje podpisy nie wzbudziły żadnych podejrzeń. Urzędnik spytał mnie tylko, w jakich nominałach ma wypłacić. Z ciekawości sama więc poprosiłam go o wyjaśnienie, co oznaczał incydent w poprzednim banku. Sprawiał

wrażenie zaskoczonego moją relacją.

- Naprawdę? Dlaczego tamten pan nie chciał zrealizować pani czeków? W czym widział trudności?

- Nie mam pojęcia - wyznałam szczerze. - Może nie lubi kolorowych?

Stamtąd pojechaliśmy wprost do miejsca, gdzie, według informacji mojego brata, można było dostać tanie bilety. Wołałam nie pytać, dlaczego tak się z tym spieszymy, tylko pozwoliłam mu tam się zawieźć.

Mohammed zaprowadził mnie do biura, gdzie wisały mapy Somalii i słychać było somalijską muzykę. Byłam ciekawa, jakie jeszcze mają pamiątki z rodzinnego kraju, ale mój brat niecierpliwie polecił mi, abym usiadła i poczekała, dopóki nie będzie mnie potrzebował.

Nigdy jeszcze nie widziałam, jak się zabiera do załatwiania poważnych spraw, więc dziwił

mnie jego nerwowy pośpiech. Szybkim krokiem przemieszczał się z miejsca na miejsce, coraz to nawiązywał z kimś rozmowę, wymachiwał rękami, a nawet gdy stał - szurał nogą.

Denerwowało mnie to niezwykle ożywienie, więc wołałam wyjść na dwór, mimo chłodu i mżawki.

Po pewnym czasie Mohammed też wyszedł na zewnątrz, ale w towarzystwie mężczyzny imieniem Ali. Razem przeszliśmy do pobliskiego biura podróży, gdzie poinformowano nas, że bilety są po dwa tysiące dolarów. Dałam Mohammedowi pieniądze na ten cel, bo tego właśnie ode mnie oczekiwał. Nabyliśmy bilety na samolot do Bosasso -

miejsowości w środkowej Somalii, gdzie mieściło się lotnisko. Chciałam wiedzieć, czy

moglibyśmy wylecieć już jutro, bo za trzynaście dni musiałam wracać do Nowego Jorku.

Pracownik agencji wyjaśnił, że w tej chwili nie ma bezpośrednich połączeń z żadnym miejscem w Somalii, a w ogóle i tak będziemy musieli poczekać do soboty. Możemy najwyżej wczesnym rankiem wylecieć do Londynu, a stamtąd, z dwiema przesiadkami, do Bosasso.

Poinformowano nas ponadto, że między Nairobi i Mogadiszu kursuje tylko kilka samolotów tygodniowo, a i te loty są odwoływane, gdy tylko w stolicy rozpoczynają się jakieś niepokoje. Nie ma też możliwości przedostania się do Somalii drogą lądową z Kenii bądź Etiopii, chyba że człowiek przyłączyłby się do konwojów z pomocą humanitarną dla uchodźców, ale nie byłam w stanie tego załatwić, mimo swoich kontaktów w ONZ. W

ostatnim okresie nawet urzędnicy państwowi zostali zaatakowani w drodze na konferencję pokojową i zginęło przy tym dziewięć osób. Mohammed w Amsterdamie nasłuchiwał się od uchodźców o niebezpieczeństwach czyhających na podróżujących w głąb kraju. Przy traktach komunikacyjnych grasowali dobrze uzbrojeni bandyci, którzy napadali na każdego, kogo podejrzewali o posiadanie pieniędzy. Ofiary musiały wypłacać im żądany haracz albo zabijano je na miejscu. Znajomi Mohammeda uważali, że lot do Bosasso jest jeszcze stosunkowo najbezpieczniejszym sposobem dostania się do Somalii, bo na północy kraju panował największy spokój. Mohammed i Ali naciskali więc, abym wykupiła bilety na ten lot.

- A jak dotrzemy z Bosasso do naszej rodziny? - zasięgałam dodatkowych informacji.

- Na lotnisku wynajmiemy samochód z kierowcą, który zawiezie nas do Galcaio.

Stamtąd już niedaleko do wioski, gdzie mieszka mama, a ja wolałbym się trzymać z daleka od Mogadiszu.

Mohammed obawiał się nawet przelatywać nad Mogadiszu, bo, jak wyjaśniał:

- ...dowódcy tej dziadowskiej armii nie widzą różnicy między samolotem pasażerskim a wojskowym. Kiedy się nudzą albo są naćpani, strzelają do wszystkiego, co się rusza... no, może z wyjątkiem przemytników *khatu*.

- A mają choć z czego strzelać?

- Waris, oni mają rakiety Scud - tłumaczył mi jak ostatniej idiotce. - Są przestarzałe, ale w rękach ludzi bez przygotowania mogą być niebezpieczne, zwłaszcza gdy komenderują nimi szaleńcy.

- Opowiedz mi, co się właściwie stało z Mogadiszu - poprosiłam. W mojej pamięci Mogadiszu pozostało najpiękniejszym miastem na świecie. Jako mała dziewczynka odwiedziłam kiedyś wujka, który tam mieszkał, i zachwyciłam się zwłaszcza zabytkową dzielnicą Hammawein, położoną na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Szczególnie lubiłam podziwiać dwu- i trzypiętrowe budynki nad plażą, bielejące w świetle księżyca. Przed przyjazdem do Mogadiszu nie widziałam nigdy piętrowych budynków ani schodów. Wujek twierdził, że są piękniejsze niż w Mombasie czy Zanzibarze, a nie miałam powodów wątpić w prawdziwość jego słów. Większość tych domów

pobudował jeszcze sułtan, który prowadził

ożywiony handel morski z Chinami, Iranem i Indiami.

Szczególnie oryginalny był jeden dom, nazywany „Miód z mlekiem”, gdyż zbudowano go z cegieł spajanych zaprawą, do której dodano mleka i miodu. Miała to być demonstracja bogactwa ówczesnego sułtana, który chełpił się, że dom postawiony przy użyciu takiej zaprawy nigdy nie runie. Nawet elewacja tego budynku, wychodzącego wprost na błękitny ocean, miała złocisty odcień miodu. Ciotka opowiadała mi, że na najwyższym piętrze mieści się długi korytarz, na którym jest po czworo rzeźbionych drzwi po każdej stronie.

Drzwi te mają klamki tylko od zewnątrz, bo za nimi sułtan przetrzymuje kobiety ze swego haremu.

- Och, Waris, dziś większość miasta jest w ruinie - westchnął Mohammed. - Kupy gruzu piętrzą się tam, gdzie stały domy, a spalone ciężarówki i sterty kamieni po barykadach tarasują ulice. Kiedy żołnierze po *khacie* dostają małego rozumu, dla zabawy rzucają grana-tami w pierwszy z brzegu budynek, żeby sprawdzić, czy się rozleci. Te bęcwały lubią tylko niszczyć!

- O Boże!

- Po *khacie* i innych prochach nie wiedzą, co robią, a zresztą wolą o tym nie myśleć.

Dopóki siedzą i żują *khat*, w mieście panuje spokój, a zabawa zaczyna się dopiero po zachodzie słońca, kiedy to świństwo zaczyna działać. Potem narkotyki przestają działać i znów wszystko się uspokaja... - Mohammedowi płonęły oczy, a w jego głosie wyczuwało się gniew i rozżalenie. Kiedy o tym mówił, sprawiał wrażenie zmęczonego i wypalonego wewnątrz, jakby coś w nim umarło. Może dlatego Dhura nie nosiła jeszcze w brzuchu jego dziecka.

Ledwo znów przekroczyliśmy próg mieszkania Mohammeda, a już od drzwi dały się słyszeć odgłosy radosnej zabawy. Aleke był dużo młodszy od swoich kuzynów, ale od razu objął przewodnictwo nad nimi. Cieszyło mnie, że mój syn zapowiada się na urodzonego wojownika - w moim ojczystym języku słowo „mężczyzna” oznacza to samo co „wojownik”.

Wystarczyło, że przez krótki czas przebywałam w towarzystwie brata, a już przypomniałam sobie, jak zachowują się prawdziwi somalijscy mężczyźni. W buszu, gdzie się wychowałam, mężczyzna mógł zostać albo pasterzem, albo wojownikiem. Uważałam, że wojownik ma przed sobą lepszą przyszłość, więc dobrze, że mój syn przejawiał takie skłonności.

Zaczynałam się już obawiać, że kiedy dorośnie, oderwany od swoich korzeni będzie czuł się równie samotny jak ja. A przecież wywodził się z potężnego i wpływowego klanu, co w przyszłości miałam zamiar mu uświadomić. Modliłam się, żeby móc zabrać go do Afryki i zaznajomić z rodziną, szczególnie moją matką, a jego babcią. Chciałam, aby poznał coś więcej niż jej imię - przede wszystkim jej bogatą osobowość i mądrość życiową. Jak mógłby być dumny z siebie, gdyby nie był dumny z kraju swojego pochodzenia? Na razie jednak bałam się zabierać mojego ukochanego synka w tak ryzykowną podróż. Miałam tylko nadzieję, że uda się nam bezpiecznie dotrzeć tam i wrócić, choć im więcej Mohammed wspominał o strzałach w Mogadiszu i bandytach na granicy z Etiopią -

tym większym lękiem przejmowała mnie ta perspektywa.

Jeśli Allah pozwoli, zabiorę tam Aleeke następnym razem. Chciałabym, aby matka zobaczyła, jak dalece mój syn przypomina mojego zmarłego brata, Starca. Obawiałam się, że nie uwierzy, kiedy jej to powiem, więc wolałam poczekać, aż sama będzie mogła to zobaczyć; na razie nie miałam po co jej o tym mówić.

Ze śmiechem opowiadałam Dhurze, jakie miałam kłopoty z nabyciem w Nowym Jorku strojów w stylu somalijskim.

- Mohammed nigdy nie pozwoliłby mi się ubrać w taką spódnicę jak twoja - wyznała z żalem.

- A zdawało mi się, że on nie chce już wracać do Somalii - zdziwiłam się. - Mogłabyś się przecież ubierać tak jak kobiety w Holandii?

- To się jeszcze zobaczy - odpowiedziała wymijająco.

Spytałam ją, czy można tu dostać w sklepie takie suknie, jakie nosi. Wyjaśniła, że kobiety somalijskie same szyją swoje stroje narodowe, ale obiecała, że na drogę pożyczy mi kilka takich. Od razu przymierzyłam jedną *dirah*, drukowaną w kwiaty mojego ulubionego żółtego koloru. Do niej Dhura dodała mi halkę wyszywaną srebrnymi i niebieskimi nićmi oraz jedwabny szal w dobrane kolorem kwiaty. Kiedy omotałam sobie nim głowę, zakrywając całą twarz z wyjątkiem oczu - Dhura orzekła, że dopiero teraz wyglądam jak prawdziwa Somalijka. Zsunęłam szal trochę niżej, dzięki czemu zobaczyła mój uśmiech. Przeszłam się po pokoju, ale długa suknia tak plątała mi się wokół nóg, że o mało nie wpadłam na Aleeke, który przybiegł, aby sprawdzić, z czego się tak śmiejemy.

Od dzieciństwa nie cierpiałam tych długich sukien. Którejś nocy ojciec zbudził nas i oznajmił, że przenosimy się na nowe pastwiska. Oznaczało to, że musimy z matką pozwijać maty rozpięte na szkielecie naszego domu. Matka powyrywała z ziemi pręty rusztowania i wszystko to załadowała na wielbłąda. Do grzbietu drugiego przytroczyłyśmy koszyki na mleko i buklaki na wodę. Ojciec poprowadził wielbłądy, a my - dzieci - szłyśmy z matką, zaganiając kozy. Wędrowaliśmy bez odpoczynku, poczynając od środka nocy, dopóki następnego dnia nie zaczęło się zmierzchać. W końcu ojciec wskazał nam miejsce, gdzie mogliśmy się zatrzymać do następnej pełni księżyca. Rosło tam dużo trawy, a do tego ojciec poinformował nas, że wie o bijącym w pobliżu źródle, które leżało na terenie należącym do naszego klanu. W pierwszej kolejności musieliśmy wytyczyć zagrodę dla zwierząt, więc ojciec powiedział:

- Chodź, Waris, natniemy gałęzi na ogrodzenie dla wielbłądów i kóz.

W Somalii chyba wszystkie drzewa i krzewy są kolczaste, więc wiedziałam, że przy tej czynności cała się podrapię. Ojciec ścinał drzewka swoim długim nożem, a mnie kazał

obdzierać z nich gałęzie.

- Zanieś je matce - polecił, kiedy już ogołocił sporą partię drzewek i przeszedł do następnej kępy. Wiał dość silny wiatr, więc moja długa sukienka zaczepiała się o ciernie.

Musiałam uważać, aby jej nie podrzeć, bo nie miałam innej. Odczekałam więc, aż ojciec zniknie mi z oczu, i podwinęłam sukienkę wysoko wokół ud. Swobodnie podniosłam z ziemi naręcze gałęzi i zaczęłam iść w stronę obozowiska, ale ojciec zawołał za mną:

- Waris, poczekaj!

Wiedziałam, że nie pozwoli mi ruszyć się ani na krok z odkrytymi nogami, więc wpadłam na pomysł. Zadrapałam się cierniem i rozmazałam krew po twarzy i ramionach, jakbym była cała zakrwawiona. Ojciec przerażony zapytał:

- Co ci się stało?

- Och, nic takiego, ale popatrz, tato, jak się podrapałam! Nie mogę nieść tych gałęzi, kiedy sukienka zaczepia mi się o każdy krzak.

- No, dobrze już, możesz na razie tak chodzić, ale uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył! -

udobruchał się ojciec. - Tylko pamiętaj, jak skończysz, zaraz zakryj nogi, *Avdohol* - *Avdohol* znaczyło Małe Usta. Tak żartobliwie przezywano mnie w rodzinie.

- Tak, oczywiście! - odkrzyknęłam, zadowolona, że nic nie będzie mi krępować swobody ruchów. W końcu przebiegłam z podwinętą suknią całą powrotną drogę do naszego obozu. Ojciec też dźwigał naręcze gałęzi, więc nie mógł mnie skontrolować.

- W ciągu dwóch dni pozostałych do naszego odlotu Mohammed wyprowadzał mnie z równowagi. Ciągłe słyszałam, jak krzyczy na Dhurę: „Daj mi te koszulę w kratkę! Gdzie jest mój futerał na okulary?”. Nie mógł ani chwili usiedzieć spokojnie, co mnie denerwowało, ale równocześnie było mi go trochę żal. Przez cały dzień biegał po mieszkaniu, coraz to zaglądając do mojego pokoju i wypytyjąc, czy już jestem spakowana. W przeddzień wyjazdu wtargnął z tym samym pytaniem, kiedy akurat trzymałam Aleeke na kolanach i poiłam go mlekiem. Widział, co robię, lecz nie mógł się powstrzymać.

- Spokojnie, dzielny wojowniku! - nie wytrzymałam. - Nie pamiętasz, o której odlatujemy? Jutro o dziewiątej rano, więc mamy przed sobą jeszcze całą noc, a to kupa czasu.

- Jak masz zamiar z tym zdążyć, jeśli wszystko jeszcze masz porzucane? -

gorączkował się.

- Jeszcze się nie spakowałam, ale mam przygotowane to, co chcę zabrać ze sobą.

- Tego nie zabieraj. - Wskazał palcem na brezentową torbę zawierającą podarunki dla rodziny, zakupione w Stanach. - Tam są same rupiecie, nikomu niepotrzebne. Powinniśmy wziąć tylko to, co najniezbędniejsze.

- O to się nie martw, to moje rzeczy i ja je wiozę - zaprotestowałam.

- Ciekawe, jak będziesz to taszczyła z samolotu do samolotu - wzruszył ramionami.

O piątej po południu brązowa waliza Mohammeda była już spakowana, choć na lotnisko wystarczyło nam wyjechać o piątej rano. Kiedy siedział na walizce, ja przystąpiłam do pakowania swoich rzeczy. Potrwało to do wpół do drugiej nad ranem, a kiedy już byłam gotowa, po raz ostatni otuliłam Aleekę kołderką. Pogłaskałam go po główce i zaśpiewałam mu ułożoną naprędce kołysankę: „Mama jedzie do Afryki i nie będzie jej przy tobie, kiedy się obudzisz. Ale nie płacz, mój maleńki, mama wkrótce wróci!”. Spał tak słodko, że nie wiedziałam, jak zniosę rozłąkę z nim. W życiu jednak nieraz bywa tak, że po prostu trzeba postawić ten pierwszy krok. Przed najbliższym wschodem słońca mieliśmy bowiem wyruszyć w podróż.

Nie mogłam zmrużyć oka, a kiedy właśnie zasypiałam, Mohammed już walił w drzwi, żebym wstawała. Ciągle jeszcze nie mogłam się przyzwyczaić do różnic czasu między Europą i Nowym Jorkiem, więc czułam się, jakby mnie obudził w środku nocy.

- Wstawaj, trzeba już jechać! - wołał.

- Powoli, mamy masę czasu - próbowałam perswadować, ale bezskutecznie.

- Waris, naprawdę musimy jechać na lotnisko! - upierał się, coraz bardziej zdenerwowany. Z jakichś powodów bał się, żebyśmy nie spóźnili się na samolot, toteż uległam i jak najszybciej wsiadłam do samochodu. Opuściliśmy dom mego brata przed piątą rano, a że jazda przez uśpione miasto potrwała około półtorej godziny - przybyliśmy na lotnisko dwie godziny przed czasem. Obserwowałam, jak wschodzące słońce przebija się przez chmury o barwie skóry słonia, i modliłam się, aby Allah dał nam szczęśliwą podróż. W

końcu wsiedliśmy na pokład samolotu do Londynu, ale gdy tylko maszyna zaczęła się toczyć po pasie startowym - Mohammed poczuł gwałtowną potrzebę wyjścia do toalety. Mimo że nad kabiną pilotów wyświetlił się komunikat o konieczności zapięcia pasów - zaczął jęczeć:

- Ja muszę wyjść! Chce mi się sikać!

- Poczekaj jeszcze trochę - radziłam. - Niech tylko samolot uniesie się w powietrze, ten znak za chwilę zgaśnie i będziesz mógł wyjść.

- Ale ja nie mogę czekać! - jęczał coraz bardziej rozpaczliwie, kręcąc się na fotelu.

- No więc, jeśli naprawdę nie możesz wytrzymać, to po prostu idź do tej łazienki! -

rzuciłam.

Mohammed podniósł się z fotela, ale zaraz, jak spod ziemi, wyrosła przy nim stewardesa.

- Nie, proszę pana, niech pan siada, nie wolno teraz wstawać - pouczyła.

Mohammed jak niepyszny usiadł, ale przebierał nogami i trzymał się za brzuch. Jęczał

tak głośno, że inni pasażerowie zaczęli się na nas oglądać. Patrząc na niego, myślałam, że mój Aleke zachowałby się w podróży bardziej dojrzałe.

- Przestań, zachowujesz się jak małe dziecko! - syknęłam. - Przynosisz mi tylko wstyd. Jeśli musisz wyjść, to wychodź i gwizdź na tę babę!

- Ale ona mi nie pozwoli! - jęknął.

- Ona nie ma prawa zabronić nikomu korzystać z toalety, jeśli ktoś czuje taką potrzebę

- poinstruowałam brata, ale byłam zła także i na niego. Prawda, że stewardesa potraktowała go jak prymitywnego dzikusa, ale czy musiał czekać z tymi sprawami do ostatniej chwili? Za każdym razem, ilekroć próbował wstać z miejsca, wystarczyło, żeby spojrzała, a już siadał z powrotem. Nie rozumiałam, dlaczego pozwala się tak tresować.

W Londynie, na lotnisku Heathrow, przesiedliśmy się na samolot do Bahrajnu. Po siedemnastu godzinach lotu, nie licząc przesiadek i dojazdu na lotnisko, zatraciłam już zupełnie poczucie czasu. Męczyła mnie ciasnota, niewygodne fotele i niesmaczne jedzenie.

Kiedy wreszcie wysiedliśmy na lotnisku w Bahrajnie, spytałam Mohammeda, jak długo jeszcze potrwa, zanim zobaczę matkę.

- Nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi - uświadomił mi. Pokazał mi to nawet na bilecie. - Tu tylko się przesiadamy i lecimy do Abu Dhabi.

- Nie wiedziałam, że mamy przesiadkę w Abu Dhabi! - przeraziłam się, bo miałam złe wspomnienia związane z tym miastem. Chciałam kiedyś odwiedzić siostrę, która tam mieszka, ale okazało się, że mam niekompletne dokumenty i nie pozwolono mi nawet opuścić lotniska.

- Mamy, ale lot do Abu Dhabi potrwa już tylko godzinę, a stamtąd polecimy prosto do Somalii - uspokoił mnie Mohammed.

Podczas tych długich godzin lotu w moim sercu rodziły się wciąż nowe wątpliwości.

Nie wiedziałam przecież, kogo z rodziny uda mi się spotkać, czy będą zdrowi i kogo w ogóle zastanę przy życiu w kraju ogarniętym rozruchami, nękanym klęskami głodu i burzami piaskowymi. A jak matka zareaguje na wiadomość, że nie wzięłam ślubu z ojcem mojego syna? W Somalii panna z dzieckiem jest automatycznie uważana za prostytutkę.

Przede wszystkim jednak chciałam stanąć twarzą w twarz z ojcem. Moje zdjęcia zdobyły liczne czasopisma, nakręcono o mnie wiele filmów, podczas gdy mój rodzony ojciec nawet się nie zainteresował, jak wyglądam. Cóż, byłam tylko dziewczynką, a dla ojców liczą się przede wszystkim synowie. Córki mogą przydać się najwyżej do tego, żeby podać herbatę i zmykać. Nie wolno mi było odezwać się do mężczyzny, póki pierwszy do mnie nie przemówił, ba, nie mogłam nawet przysłuchiwać się rozmowie dorosłych! Teraz zaś mieszkałam w kraju, w którym mężczyźni i kobiety rozmawiali ze sobą jak równi z równymi i nie wynikało stąd żadne nieszczęście.

- Pamiętaj, Waris, zawsze spuszczaaj oczy, kiedy rozmawiasz z ojcem - upominała mnie matka, ledwo odrosłam od ziemi.

- Dlaczego? - pytałam, patrząc na nią wyzywająco.

- *Ebwaye, ebwaye!* Wstydź się! - To był jedyny argument, jaki od niej słyszałam, tak samo, gdy siadałam z rozstawionymi nogami lub podwinęła mi się spódnica. Nigdy nie odpowiadała wprost na moje pytania ani nie wyjaśniała konkretnie, czego mam się wstydzić.

Takie zwyczaje panowały w Somalii i nigdy nie mogłam do końca się z tym pogodzić, a odkąd zamieszkałam na Zachodzie, mimo że szanowałam naszą kulturę, ta tradycja wydawała mi się szczególnie wstrętna. Właśnie teraz chciałam spojrzeć ojcu prosto w oczy, bo wiedziałam, że on nie unikałby mojego spojrzenia. Wręcz przeciwnie, chciałby, żebym na znak szacunku spuściła wzrok, ale właśnie tej satysfakcji nie miałam zamiaru mu dać. Niech się dobrze przyjrzy swojej córce Waris, którą kiedyś chciał sprzedać staremu ramolowi za kilka wielbłądów, a która teraz sama zarabia na swoje utrzymanie.

- Niech sobie obejrzy dziewczynę, która została pisarką, mimo że nigdy nie posłał jej do szkoły, a teraz wykonuje misję pokojową powierzoną jej przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

Chętnie porozmawiałabym także na temat rytualnego okaleczania kobiet. Wiedziałam, że matka nie chciała zrobić mi krzywdy, kiedy poddała mnie zabiegowi, przez który przeszła tak ona sama, jak jej matka i siostry. Wszystkie te kobiety szczerze wierzyły, że postępują zgodnie z nakazami Koranu, abym zachowała dziewiczą czystość. Nie wiedziały tego, o czym ja teraz już dobrze wiedziałam - że w Koranie na ten temat nie ma ani słowa. Matka nie przeczytała ani Koranu, ani Hadith, ponieważ nie umiała czytać, więc bezkrytycznie przyjmowała taką wykładnię, jaką jej podali szachowie.

Ojciec nieraz mawiał: „Ty, Waris, jesteś zanadto śmiała i pewna siebie. Trzeba będzie cię wydać za mąż jak najszybciej, bo później żaden mężczyzna cię nie zechce”. Uważał

małżeństwo za najlepszy sposób na to, żebym przestała mówić, co myślę i zachowywać się jak chłopak. Oczywiście, nie miało to być małżeństwo z miłości, tylko aranżowane przez rodziców dla uzyskania zabezpieczenia materialnego, wzmocnienia więzi międzyklanowych i wydania na świat potomstwa. Wysokość zapłaty, jaką kandydat na męża oferował za narzeczoną, świadczyła o tym, czy jest w stanie utrzymać żonę. Jeśli nie miał nic do zaoferowania ani nie mógł liczyć na wsparcie ze strony swego klanu - oznaczało to, że nie zostanie zaakceptowany.

- Dostaniesz za nią mnóstwo wielbłądzic i białych kóz - podpuszczały moją matkę ciotki, mając na myśli moją starszą siostrę Halimo. A pewnie! - pyszniła się matka. Jeśli przebywała wśród samych kobiet - podnosiła sukienkę Halimo, aby zaprezentować jej piękne nogi. Ciotki też w żartach zaglądały jej pod spódnicę, a ona kręciła się w kółko, migając zgrabnymi kostkami. - Nie pójdzie taniej niż za dwadzieścia wielbłądów, to wam mówię!

Moimi nogami mama się nie chwaliła, bo też nie było czym. Nie miały pięknego kształtu, lecz były mocne i zwinne. Umiałam szybko biegać, co przydawało się przy prowadzeniu wielbłądów. Trzeba wtedy stawiać duże kroki, aby za nimi nadążyć i przed zmierzchem odprowadzić je poza zasięg hien,

które lepiej od nas widzą po ciemku. Sądziłam, że ojciec będzie ze mnie dumny, bo radziłam sobie z wielbłędami równie dobrze jak mężczyzna, ale zamiast tego wiecznie obrywałam bury, bo za dużo pyskowałam albo za wysoko podkasywałam spódnicę. No cóż, bez względu na to, co robiłam, byłam tylko dziewczyną.

Jako dzieci zwykle chowaliśmy się za plecami matki, kiedy ojciec wpadał w gniew.

Którejś nocy przenieśliśmy się po raz kolejny na nowe pastwiska, ale ledwo zdążyliśmy się rozpakować, ojciec od razu odkomenderował mnie do pasienia kóz. Po całonocnym marszu byłam tak zmęczona, że nie mogłam się opanować i zasnęłam w cieniu drzewa. Zanim się obudziłam - słońce stało już wysoko i drzewo nie chroniło mnie przed jego żarem. Niestety, zaraz po przebudzeniu stwierdziłam, że nie tylko jeden bok ciała mam spieczony i pokryty pęcherzami, ale - co gorsza - moje zwierzęta gdzieś przepadły. Próbowałam wytropić je po śladach racic, ale wokoło pełno było różnych starych śladów, więc nie udało mi się ustalić kierunku ich ucieczki. Przerażona, wdrapałam się na najwyższe drzewo okolicy i dopiero z jego czubka dojrzałam małe łebki gdzieś daleko, w wysokich trawach. Biegłam do nich w podskokach, szybciej niż gazela. Tak się ucieszyłam z ich odnalezienia, że nawet nie sprawdzałam, czy są wszystkie. Przygoniłam stado do obozu, jakby nic się nie stało.

Mój ojciec miał zwyczaj liczyć zwierzęta dwa razy dziennie - wieczorem po powrocie z pastwiska i rano, przed wypędzeniem. Tym razem, ledwo zaczął liczyć, na wszelki wypadek schowałam się za matkę. *Koe, laba, suddah, afra, shun* (jeden, dwa, trzy, cztery, pięć)... - im bardziej zbliżał się do pięćdziesięciu, tym bliżej przysuwałam się do matki, a najchętniej bym w nią weszła. Po dwukrotnym przeliczeniu okazało się, że brakuje jednego jagnięcia i jednej kozy. Wtedy ojciec zawołał mnie:

- Waris, chodź tutaj! - Nie ruszyłam się z miejsca, więc sam podszedł bliżej i dodał: -

Nie słyszałaś, że cię wołam?

- Przepraszam, tatusiu, nie wiedziałam, że chodzi ci o mnie - próbowałam się usprawiedliwić.

- Chodź tu! - powtórzył.

Byłam pewna, że jeśli go posłucham - zetrze mnie na miazgę, więc nie miałam zamiaru odrywać się od matki.

- Nie! - odważyłam się powiedzieć, bo właściwie, jaki miałam wybór? Nikt jeszcze nie ośmielił się powiedzieć „nie” do ojca, ale niczego nie ryzykowałam, bo sądziłam, że tak czy owak mnie zabije.

Przez chwilę wprawdzie myślałam o ucieczce, ale dokąd?

Ojciec złapał za kij, więc mama podniosła rękę, jakby chciała go zatrzymać.

- Nie bij jej - prosiła. - Przecież ona jest jeszcze taka mała! Pomyślmy lepiej, gdzie ta koza i to jagnię mogły się podziać?

Jednak w tej samej chwili ojciec wymierzył matce tak silny cios, że przerzucił ją przez ogrodzenie.

Upadła na ziemię jak zmięta kupka szmat, krwawiąc z nosa i ust. Gdybym w tej chwili była przy niej - pewnie zabiłby nas obydwie.

Ojciec w gniewie przypominał rozjuszonego lwa. Lwy zachowują się jak prawdziwi królowie zwierząt - nawet gdy są głodne, zabijają z gracją i wdziękiem. Przeważnie chwytają ofiarę za nos lub gardło i śmierć następuje natychmiast. Przez większość dnia lwy leżą spokojnie, ale nie znoszą być niepokojone, zwłaszcza przez hieny. Widziałam kiedyś, jak hiena dokuczała pięknemu, złocistemu lwu. Początkowo nie reagował, ale w pewnej chwili miał już dość. Skoczył i jednym ruchem złapał naprzykrzające się zwierzę za grzbiet.

Potrząśnięciem łba złamał hienie kręgosłup i odrzucił ją na bok.

Dlatego teraz chciałam dowodnie zademonstrować ojcu, na co stać kobietę, kiedy zechce sama urządzić sobie życie.

Kiedy schodziliśmy do lądowania w Abu Dhabi, poczułam przykry ucisk w żołądku, gdyż miałam złe wspomnienia związane w tym lotniskiem i w ogóle ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Miałam nadzieję, że tym razem nie spotka nas żadna przykrość. Jednak dziwnym trafem nie mogliśmy dostrzec naszych bagaży, chociaż na taśmie przenośnika ukazała się już ostatnia walizka. O mało się nie popłakałam, gdyż oznaczało to kłopoty i bałam się, abyśmy nie przepuścili lotu do Somalii. Najpierw pomyślałam, że ustawiliśmy się w złym miejscu, bo wszystkie napisy informacyjne były w języku arabskim, którego nie rozumiałam.

- Słuchaj, jesteś pewien, że to ten przenośnik? - spytałam Mohammeda.

- Tak, bo widziałem tu ludzi, którzy lecieli z nami - odpowiedział.

- W takim razie co stało się z naszymi rzeczami?

- Poczekaj, już ja się tym zajmę - zapewnił mnie Mohammed po somalijsku.

- Może ja lepiej z nimi porozmawiam? - zaproponowałam. - Już kiedyś miałam z nimi do czynienia, no i podróżowałam więcej.

- Nie, ja to załatwię - upierał się Mohammed. Podeszedł do urzędniczki rezydującej w małym pomieszczeniu na zapleczu sektora bagażowego. Ja pozostałam na zewnątrz, ale z daleka widziałam, że pani ta najwyraźniej nie jest w najlepszym humorze, a Mohammed nie umie jej wytłumaczyć, o co mu chodzi. Pracownica lotniska tylko potrząsała głową i wskazywała po kilka razy w górę. Domyśliłam się, że nie zajmuje się tym działem i nie umie nam pomóc. W końcu Mohammed stracił cierpliwość, zaczął do niej krzyczeć po somalijsku i wściekły wybiegł z biura.

- Posłuchaj, braciszku - mitygowałam go. - W ten sposób nic nie zwojujemy. Może lepiej ja pójde rozmówić się z tą panią.

Dowiedziałam się tyle, że mam udać się na piętro i szukać tam sto- iska z napisem

„Informacja”. Odnalazłam je i ustawiłam się w kolejce do okienka.

- Nie możemy odzyskać naszych bagaży - zwróciłam się do urzędnika, kiedy nadeszła wreszcie moja kolej. Nie podniósł nawet na mnie wzroku ani się nie odezwał, tylko ruchem ręki wskazał przeciwny koniec hali przylotów.

- Przepraszam, czy pan mówi po angielsku? - naciskałam, ale w odpowiedzi tylko ponownie zamachał ręką. Doszłam do wniosku, że ten człowiek w niczym mi nie pomoże, i spróbowałam *znaleźć* kogoś kompetentnego.

Kolejny umundurowany funkcjonariusz poradził mi, abym się zwróciła do pracowników pełniących służbę przy bramce kontrolnej. Dopiero teraz przekonałam się, że sukienka pożyczona od Dhury jest na mnie za długa. Przy każdym kroku potykałam się, więc strażnik przy bramce popatrzył na mnie jak na wariatkę.

Przepraszam - zwróciłam się do niego. - Skierowano nas tutaj w sprawie naszych bagaży. Może od pana dowiem się, co się z nimi stało?

Wzruszył ramionami, obrzucił przelotnym spojrzeniem Mohammeda i już chciał iść dalej, więc podniosłam głos.

- No więc, co mamy robić? Odprawi nas pan z niczym? Kiedy prześlą tu nasze bagaże?

- Nie wiem, kiedy je prześlą. - Funkcjonariusz kierował swoją odpowiedź pod adresem Mohammeda. - Usiądźcie tam, to ktoś da wam znać.

Wskazał nam rząd twardych, drewnianych ławek. Usiedliśmy, obserwując kolejne przyloty i odloty. Oczekujący witali się z krewnymi, podnosili dzieci... Prawie wszystkie napotkane kobiety były szczelnie okryte czarnymi czadorami, mężczyźni mieli większą swobodę wyboru odzieży. Jedni nosili europejskie spodnie i koszule, inni woleli tradycyjne arabskie chałaty. Tymczasem słońce zaszło i na dworze zrobiło się ciemno.

Mohammed, sprawdź na biletach, o której mamy samolot do Somalii, żeby nam nie uciekł - przypomniałam. Brat nie umiał jednak *znaleźć* na biletach godziny odlotu, więc zaproponowałam: - Daj mi je, spróbuję kogoś spytać.

Naciągnęłam bardziej szal na twarz, ale ponieważ był jedwabny, ześlizgiwał mi się z głowy i nie chciał się trzymać. Podeszłam z naszymi biletami do okienka przedstawicielstwa linii lotniczej.

- Czekamy tu cały dzień na nasze bagaże i chcielibyśmy wiedzieć, kiedy dokładnie mamy samolot do Somalii - powiedziałam.

- Dzisiaj nie ma już żadnego lotu do Somalii - oświadczył urzędnik, grzebiąc w papierach na biurku.

- Chwileczkę! - Szal opadł mi z głowy na ramiona, ale nie obchodziło mnie już, czy wyglądam na prawowierną muzułmankę. - Czy to znaczy, że przepuściliśmy nasz lot? Nikt nie udzielił nam żadnej informacji. Co tu się właściwie dzieje?

- Dziś nie ma żadnych lotów do Somalii - powtórzył, nie patrząc nam w oczy.

Postukałam w biurko, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

- To niemożliwe! Musiała zajść jakaś pomyłka!

- Niech pani pokaże te bilety. - Westchnął, jakbym sprawiła mu straszny kłopot. Kiedy mu je wręczyłam, zaczął przerzucać kartki, aż znalazł wydrukowane ramki i wskazał wpisane w nie liczby.

- O, proszę zobaczyć, dziś jest trzydziesty wrzesnia, a państwo macie *zarezerwowany* lot na drugiego października.

- C- c- c- co takiego? - wyjąkałam.

- Dziś jest trzydziesty wrzesnia - wycodził powoli, jakby mówił do idiotów. - Państwo macie wykupione miejsca na drugiego października, czyli za dwa dni.

Dla dodania wagi swym słowom postukał długopisem w liczby na bilecie i szurnął go do mnie po blacie biurka, jakby się mnie brzydził.

- Mohammed, słyszysz? - krzyknęłam. - Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli przez dwa dni koczować na tym zatęchłym lotnisku? A jeszcze ci ludzie traktują mnie jak śmieć, ledwo raczą się do mnie odzywać, bo jestem kobietą. Przepraszam, aleja też jestem muzułmanką!

Mohammed tylko patrzył na mnie z lękiem, wciskając dłonie między kolana. Wzięłam kilka głębokich oddechów, aby się uspokoić. Już bez emocji przypomniałam sobie, że w Abu Dhabi mieszka nasza siostra, Fartun, zatrudniona jako służąca u rodziny Saudyjczyków.

- Weźmy taksówkę i jedźmy do Fartun - zaproponowałam Mohammedowi. -

Przynajmniej zobaczymy się z siostrą i będziemy mieli gdzie się umyć i przespać przed odlotem.

Pozbieraliśmy nasze rzeczy, które tymczasem się znalazły, a ja poszłam do toalety umyć twarz. Przy okazji umocowałam lepiej szal na głowie i twarzy. Tak osłonięta czułam się okropnie niezręcznie. Nie wiedziałam, czym zasłużyłam sobie na taką karę.

Przy wyjściu sprawdzano paszporty. Mohammed przeszedł bez kłopotów, bo miał

dokumenty wystawione w Holandii i nie potrzebował wizy. Natomiast mój paszport dostał się do rąk funkcjonariusza z haczykowatym nosem, który zaczął skrupulatnie wertować kartkę po kartce.

- Pani nie ma wizy wjazdowej do Zjednoczonych Emiratów Arabskich - obwieścił mi powoli i z namaszczeniem, jakby mówił do dziecka. Nie wierzyłam własnym uszom. Czy to możliwe, żeby znów czekały mnie te same przejścia? W ustach mi zaschło i miałam wrażenie, że się duszę.

- Proszę, niech mi pan pomoże! - błagałam. - Lecimy z bratem do Somalii i chcieliśmy odwiedzić rodzinę, której nie widzieliśmy od lat. Mamy samolot dopiero za dwa dni, więc chciałabym przez ten czas zatrzymać się u mojej siostry.

Oficer postukał tłustymi palcami w mój paszport.

- Pani nie ma zezwolenia na wjazd do tego kraju - oznajmił.

- Przecież wyjeżdżam do Somalii, do mojej matki! Chyba widać, że jestem Somalijką!

- tłumaczyłam, coraz bardziej zdesperowana.

- Urzędnik wprawdzie odwrócił się w moją stronę, ale nie patrzył na mnie, tylko na ścianę. - Chciałam tylko zatrzymać się przez dwa dni u mojej siostry. Błagam, niech mi pan pozwoli!

- Pani nie ma ważnych dokumentów - powtórzył. - Pani nawet nie ma prawa opuścić tego lotniska.

Rzucił mi paszport i zwrócił się do następnego petenta.

Nie mogłam nigdy zrozumieć, dlaczego papiery i dokumenty mają taką władzę nad człowiekiem. U nas w Somalii nikt nie miał ani nie potrzebował żadnych papierów.

Wyprawiając kozy na pastwisko, nie musieliśmy okazywać paszportu, a kiedy chcieliśmy kogoś odwiedzić - po prostu szliśmy lub jechaliśmy do niego. Dla koczownika nie ma znaczenia, skąd przyszedł ani gdzie się w tej chwili znajduje. Kiedyś spytałam matkę o rok mojego urodzenia, ale nie pamiętała dokładnie.

- Wydaje mi się, że to było podczas pory deszczowej - odpowie działa enigmatycznie.

- Ale pamiętasz czy nie? - naciskałam.

- Oj, dziecko - westchnęła. - Chyba nie pamiętam. Ale czy to takie ważne?

Mnie też się wydawało, że musiałam przyjść na świat podczas pory deszczowej. A wiecie dlaczego? Bo lubię wodę, a szczególnie deszcz. Najlepiej się czuję, gdy pada, i dlatego przypuszczam, że musiała to być pora deszczowa, ale nie znam roku swego urodzenia, więc nie wiem dokładnie, ile mam lat.

Niecałe dwadzieścia lat temu, kiedy mogłam mieć około czternastu lat, mój wujek postanowił zabrać mnie do Londynu, aby, jak obiecywał, umieścić mnie tam jako służącą przy jakiejś rodzinie. Najpierw jednak musiał wyrobić mi paszport, a ja nawet nie wiedziałam, co to takiego. Do tego paszportu potrzebne było zdjęcie, więc zabrał mnie w miejsce, gdzie mi je zrobili. Następnego dnia paszport był już gotowy, ale mnie nie interesowało to, co napisano w środku, tylko zdjęcie, bo po raz pierwszy zobaczyłam własny wizerunek. Na obrazku nie patrzyłam nawet w obiektyw, tylko w niebo, ponieważ fotograf kazał mi otworzyć oczy. Prawdę mówiąc, przez cały czas się modliłam, bo nie wiedziałam, co ze mną wyprawiają.

Dopiero po latach, kiedy naprawdę trafiłam do Londynu, zrozumiałam, do czego służą paszporty. W tym dokumencie, który wyrabiał mi wujek, należało wpisać datę urodzenia, więc wujek po prostu ją zmyślił. Do dziś się nie dowiedziałam się, jaka to była data.

Tymczasem zostawiłam brata w tłumie oczekujących, gdyż czułam, że muszę wziąć sprawę w swoje ręce. Wróciłam tam, gdzie byłam przedtem, i dowiedziałam, że lotnisko ma własny hotel.

- Macie państwo wolne pokoje? - spytałam od razu.

- Tak, ale musi pani zapłacić gotówką - podkreślił z naciskiem urzędnik, jakbym wyglądała na osobę, która groszem nie śmierdzi.

- Oczywiście, że zapłacę, ale proszę o pokój - powtórzyłam.

- To będzie kosztowało sto pięćdziesiąt dolarów za noc. Amerykańskich dolarów -
dodał wyzywająco.

Dzięki Bogu miałam przy sobie pieniądze. Zarezerwowałam pokój bez względu na koszty, bo byłam już strasznie zmęczona. Oczywiście, pokój okazał się obskurną norą wyposażoną w liche, najtańsze ręczniki i pojedyncze łóżko przykryte brudnym brązowym kocem. Mimo to rzuciłam się na wyrko i wybuchnęłam płaczem. Może to kara boska, że zostawiłam mojego najmilszego syneczka u obcych, w dodatku nie całkiem zdrowego? Miał

przecież te plackowate łysinki na główce, które nie wiadomo skąd się wzięły! Czyżby Allah w ten sposób chciał mi dać coś do zrozumienia? Poczulałam się jak schwytna w pułapkę.

To, że mimo przykrych wspomnień wiążących się z lotniskiem w Abu Dhabi, znów trafiłam w to miejsce, i to w podobnych okolicznościach, również uznałam za palec Boży.

Wówczas też próbowałam zobaczyć się z matką, która miała pecha i znalazła się na linii ognia podczas starcia dwóch zwaśnionych klanów. Poszła akurat nazbierać chrustu na opał i oberwała dwiema zabłąkanymi kulkami, które zraniły ją w pierś. Oczywiście natychmiast wysłałam Fartun pieniądze, za które udało się przetransportować matkę na leczenie do Abu Dhabi. Sama wsiadłam w pierwszy samolot, aby tam się z nią spotkać. W Nowym Jorku zapewniono mnie, że nie potrzebuję wizy.

Niestety, po osiemnastu godzinach lotu okazało się, że nie mam prawa opuścić lotniska. Jakiś grubas z zakazaną gębą twierdził, że bez wizy nie mam wstępu na terytorium Emiratów, choćby dotyczyło to tylko obszaru w bezpośredniej bliskości hali przylotów. Przy wyjściu z budynku czekały na mnie moja matka i siostra, ale ja nie mogłam się z nimi skontaktować. Tak się zawzięłam, że poleciałam z powrotem do Nowego Jorku i w ambasadzie Zjednoczonych Emiratów Arabskich otrzymałam wizę. Bilet na powrotny lot do Abu Dhabi kosztował dwa tysiące siedemset cztery dolary, a na domiar złego u celu podróży oczekiwał mnie ten sam bezduszny karzeł. Na przodzie brakowało mu dwóch zębów, a chętnie wybiłabym mu resztę. Zabrał mi paszport z podbitą wizą i kazał czekać w sektorze odpraw celnych. Sterczałam tam przez cały dzień, bojąc się, że gdy wyjdę coś zjeść lub skorzystać z toalety - on akurat wróci i mnie nie zastanie. W końcu wywołał moje nazwisko, ale kiedy podeszłam do lady - oznajmił mi z szyderczym uśmiechem, że nie mam prawa wjazdu do tego kraju. Ależ proszę pana, ja specjalnie leciałam do Nowego Jorku po wizę! -

próbowałam go przekonać. - Z czym są jeszcze trudności? Przyleciałam tu specjalnie, żeby odwiedzić matkę, która została ranna. Niech mi pan pozwoli się z nią zobaczyć!

- Przecież mówię, że nie ma pani prawa wyjść poza teren lotniska - warknął. -

Powinna pani odlecieć najbliższym samolotem. Dokąd pani chce się udać?

- Nie ruszę się nigdzie, dopóki pan mi nie wyjaśni, o co chodzi - oświadczyłam stanowczo.

- O, za chwilę odlatuje samolot do Londynu - kontynuował swoją przemowę. - Zaraz wsadzę panią na jego pokład.

- Przecież mieszkam w Nowym Jorku, a w Londynie nie mam żadnego interesu -

zaprotestowałam. Z płaczem próbowałam go uprosić, ale nie zwracał uwagi na moje słowa.

- Widzi pani te funkcjonariuszki? - spytał groźnie, wskazując na antypatycznie wyglądające kobiety w mundurach policjantek. - Albo pani sama odleci najbliższym samolotem, albo każę im wsadzić panią do niego siłą. A nie ręczę, czy przy tym nie stanie się pani krzywda.

I rzeczywiście, policjantki przemocą odeskortowały mnie na pokład samolotu przy akompaniamencie śmiechu przyglądających się temu pasażerów. Te przeżycia pozostały na zawsze w mojej pamięci, a teraz znalazłam się na tym samym lotnisku, gdzie potraktowano mnie jak śmieć i zdarto sto pięćdziesiąt dolarów za obskurną hotelową klitkę. W żadnym znanym mi języku nie mogłam znaleźć słów na opisanie tego, co czułam.

Samo słowo „islam” oznacza pełne podporządkowanie się woli boskiej, a dobry muzułmanin poddaje się jej bez szemrania. Uklękałam więc i błagałam Allaha, żeby mi dopomógł. Nie bardzo sobie wyobrażałam, jak tyle zła, którego doświadczyłam, może obrócić się na dobre, ale wytrwale powtarzałam: „*Inszallah, inszallah*, jeśli Allach zechce, to wszystko jakoś się ułoży”. Szczerze wierzyłam, że nic nie dzieje się bez powodu, i pokładałam w Bogu nadzieję, że jest to dobry powód.

NOCNA JAZDA

Modlitwa odstraszająca złe duchy

Demony, czyhające za naszymi plecami - pozostanie tam!

Demony, czające się przed nami - uciekajcie stamtąd!

Demony, unoszące się nad nami - pozostanie w powietrzu!

Demony, powstające spod naszych nóg - niech osłabnie wasza siła!

Demony, podążające za nami - odepchniemy was precz!

Somalijska pieśń obrzędowa

W moich uszach zabrzmiały dźwięki znajomych pieśni o Afryce, kiedy koła samolotu dotknęły piasku pustyni, którą opuściłam przed z górą dwudziestu laty. „Dzień dobry, Afryko! Jak się czujesz? Bo ja świetnie!” - podśpiewywałam z szerokim uśmiechem. Ledwo zobaczyłam ojczyste niebo, zatańczyłam z radości i w podskokach zbiegłam na pas startowy, ponieważ niebo w Somalii jest tak rozległe, że i człowiek pod nim od razu czuje się kimś wielkim. Starcza w nim miejsca dla słońca i księżyca, a jego nieogarniony przestwór daje każdemu poczucie wolności. W blasku słońca pustyni nawet Ocean Indyjski wydawał się tak blisko, jakbym mogła do niego wskoczyć.

Tak dawno nie słyszałam świstu wiatru na otwartej przestrzeni - prawie już zdążyłam zapomnieć ten dźwięk, podobnie jak szum akacji, brzęczenie chrząszczy, chrzęst termitów w kopcach, ciche „dik-dik” wydawane przez strusie i szuranie wolno przesuwających się żółwi.

Kiedy szliśmy po płycie lotniska, z twarzy mijanych ludzi mogłam rozpoznać, co w tej chwili myślą i czym się zajmują. Było to cudowne uczucie w porównaniu z latami spędzonymi wśród obcych mi ludzi Zachodu, do których próbowałam na siłę się dopasować. Poczulałam znajomy zapach i od razu poznałam, że tak pachnie *angella* - praśny placek, jakie u nas przeważnie jada się na śniadanie. W przeciwieństwie do lekkich, puszystych płatków śniadaniowych, taki placek jest na tyle pożywny, że do wieczora nie odczuwa się głodu. W

oczach zakręciły mi się łzy, ale nie smutku, lecz szczęścia. „Matko Somalio - pomyślałam -

tak mi cię brakowało! Jak mogłam opuścić cię na tak długo?” Tu przynajmniej ludzie wyglądali normalnie i patrzyli na mnie, jak na jedną z nich. Tu poczułam się prawdziwą córą Afryki, a jeśli jeszcze uda mi się spotkać moją matkę - wtedy znowu znajdę się w domu.

Tymczasem słońce stało już w zenicie i zrobiło się strasznie gorąco. Przeżyłam szok, bo w Londynie i Nowym Jorku zdążyłam już odwyknąć od upałów. Żar parował z ziemi i utrudniał oddychanie. Dobrze, że od oceanu powiewał łagodny wiaterek, ale i tak musiałam na nowo się przyzwyczaić, że podczas największych upałów trzeba odpoczywać, a nie w podnieceniu kręcić się w kółko.

Do lotniska nie dojeżdżały autobusy ani pociągi, ale zaraz za budynkiem terminalu parkowały taksówki. Wiele z nich należało do kobiet, które wybrały raczej prostytutkę w Arabii Saudyjskiej niż żebraninę lub śmierć z głodu w obozach dla uchodźców. Za zarobione tam pieniądze kupowały samochody i sprowadziły je do ojczystej Somalii, gdzie zatrudniły mężczyzn jako kierowców i założyły firmy przewozowe. W Somalii kobietom nie wolno było samodzielnie prowadzić samochodów, ale mogły czerpać dochody z ich posiadania.

Zaraz coś załatwię - obiecał Mohammed. Zabrał się do tego w ten sposób, że zaczął się przechadzać wzdłuż rzędu samochodów.

Tak długo przyglądał się kierowcom, aż w końcu wypatrzył wśród nich naszego współplemieńca, którego znał jeszcze z Mogadyszu.

- Pojedziemy z Abdillahim, to nasz człowiek, z Mijertein - oświadczył w końcu.

Mijertein to nazwa klanu, z którego wywodził się nasz ojciec.

- Może lepiej sprawdź, kto ma dobry samochód, żeby nie rozleciał się w drodze... -

podsunęłam nieśmiało, ale brat już podjął decyzję.

- Ludziom z naszego klanu można ufać - zapewnił. - Spytamy go tylko, czy zgodzi się zawieźć nas do Galcaio.

Abdillahi miał stary, wielomiejscowy samochód z poobijaną blacharką, maską związaną drutem i łysymi oponami. Przez okna widać było wytartą i porozpruhaną tapicerkę na siedzeniach. Abdillahi i Mohammed dwukrotnie uścisnęli sobie ręce w muzułmańskim po-zdrowieniu. Stojąc obok siebie, rozpoczęli rozmowę. Ja w tym czasie zauważyłam, że Abdillahi jest wysoki i chudy, nosi rzadką, kozią bródkę, a na sobie ma białą koszulę wyrzuconą na *ma- a- weiss*, somalijski odpowiednik spodni, czyli sztukę wzorzystego materiału udrapowaną wokół bioder i przewiniętą przez środek. Strój taki, długi do połowy łydek, nosili prawie wszyscy mężczyźni znajdujący się na lotnisku.

Potem Abdillahi i Mohammed udali się do budynku lotniska, aby opłacić takse i odebrać nasze papiery, które zatrzymała stewardesa w czasie lotu. W moich brytyjskich dokumentach widniała adnotacja zabraniająca mi poruszania się po terytorium Somalii, więc obawiałam się, że zawrócą mnie tam, skąd przyjechałam, lub osadzą w areszcie, ale Mohammed zaręczał, że to załatwi. Słońce przygrzewało już tak silnie, że pot ściekał mi od karku do krzyża. Zastanawiałam się, co obaj panowie tak długo tam robią. Korciło mnie, aby zerwać z głowy szal, który mi się przylepił do włosów i szyi, no i nie mogłam się już doczekać, kiedy ruszymy w dalszą drogę.

Kiedy w końcu wyszli, zauważyłam, że Abdillahi jest wyraźnie zdenerwowany.

- Twój brat wdał się w bójkę z policją - poinformował mnie.

- Oni nie mają prawa zatrzymywać naszych papierów! Powinni je zwrócić zaraz po tym, jak zapłaciłem takse - gorączkował się Mohammed.

- Co się tam właściwie stało? - zwróciłam się do Abdillahiego, który wyglądał na bardziej zrównoważonego.

- Twój brat pokłócił się z urzędnikiem i zaczął krzyczeć, a kiedy policjant chciał go odciągnąć, o mało go nie pobił - wyjaśnił Abdillahi.

Mohammed, nadal wzburzony, nie przestawał nerwowo chodzić tam i z powrotem, więc Abdillahi zamachał rękami w jego kierunku.

- Uspokój się, musisz się uspokoić!

- Oni nie mają prawa tak mnie traktować! - wydyszał Mohammed. - Przecież opłaciłem specjalną takse!

- Tu nie Europa, przyjacielu. - Abdillahi pogroził mu palcem. - Ci faceci mają broń i potrafią jej użyć. Nieważne, kim jesteś i o co chodzi. Jeśli nie chcesz wpakować się w kłopoty, nie zadzieraj z nikim, kto ma broń, bo możesz oberwać, a nieboszczykowi obojętne, kto miał rację.

Abdillahi odciągnął mojego brata na bezpieczną odległość, żeby już się z nikim nie pobił. Wprawdzie policjanci zwrócili moje dokumenty, ale bałam się, że mogą zmienić zdanie.

- No więc jak, Abdillahi, potrafisz odnaleźć moją matkę? - wtrąciłam się do rozmowy na temat metod postępowania policji i odurzonych narkotykami żołnierzy. Chciałam jak najprędzej wydostać się z tego lotniska i spotkać z rodziną.

- Twoja rodzina mieszka chyba przy granicy z Etiopią? - upewnił się Abdillahi. - To się dobrze składa, bo właśnie stamtąd wracam. Jechałem tu całą noc. Na pewno ich znajdziemy.

- Masz mapę? - dopytywałam się, wciąż nie dowierzając.

- Jestem Somalijczykiem! - parsknął rozbawiony Abdillahi. On nie potrzebuje mapy na papierze, on mają w głowie - dodał ze śmiechem Mohammed.

- Dobrze, a jak długo to potrwa? - chciałam wiedzieć, bo nie mogłam się już doczekać, kiedy uścisknę i ucałuję matkę.

- Osiem albo dziewięć godzin, w zależności od stanu dróg i gęstości wojskowych punktów kontrolnych - ocenił Abdillahi, gładząc bródkę.

- Jakie znowu osiem godzin? - wykrzyknęłam, bo miałam świadomość, że zmarnowałam już trzy dni cennego czasu w samolotach, lotniskach i w jakimś nędznym hotelu, a teraz czeka mnie kolejny dzień podróży. Zbliżało się południe; zaczęłam nerwowo spacerować, płacząc się w przydługiej sukni. Zerwałam szal z głowy, bo dusiłam się od upału.

Chciałam jak najszybciej mieć już tę podróż za sobą, ale osiem godzin w każdą stronę oznaczało, że będę mieć o dwa dni mniej czasu dla rodziny, bo trzeba było uwzględnić drogę powrotną do Bosasso. Tymczasem Mohammed i Abdillahi patrzyli na mnie jak na wariatkę, bo dla nich czas

zdawał się nie mieć znaczenia. Żyli w innym świecie niż ja, przyzwyczajona do dat i terminów. W sumie jednak nie miałam innego wyjścia, niż uspokoić się i zrobić to, co było do zrobienia.

- Dobrze więc, za ile nas tam zawieszysz? - spytał Mohammed Abdillahiego. Ten zażyczył sobie trzysta dolarów, oczywiście amerykańskich. Mohammed zaproponował mu sto, na co Abdillahi nie chciał się zgodzić.

- Mohammed, daj mu, ile chce, i jedźmy już stąd - szepnęłam, bo szkoda mi było każdej chwili. Jednak brat rzucił mi spojrzenie mówiące, żebym się nie wtrącała w nie swoje sprawy, więc odstąpiłam na bok, a on zawzięcie się targował.

- Trzysta to za dużo - oświadczył. - Przecież nie jesteśmy cudzoziemcami, należymy do tego samego klanu.

- Ale ja jestem biedny i potrzebuję pieniędzy dla moich dzieci!

- Słuchaj, Abdillahi, wiesz równie dobrze jak ja, że sto dolarów to kupa forsy, więcej niż normalnie płaci się na takiej trasie. No i sam już widziałeś, że czasem mi odbija. - W

zartobliwej tonacji zakończył swój wywód Mohammed.

- To akurat prawda - zgodził się Abdillahi. - Lepiej już wywozę stąd ciebie i twoją siostrę, zanim zrobisz komuś krzywdę. Nawiazka drożej by mnie kosztowała.

- A więc sto dolarów. - Dobili targu, ściskając sobie dłonie. Wręczyłam więc Abdillahiemu pieniądze, za które miał nas zawieźć do małej wioski, gdzie ostatnio widziano moją matkę. Kierowca wyglądał na inteligentnego i sprawiał wrażenie człowieka, który wie, co robi, ale nie grzeszył nadmierną uprzejmością. Mimo że to ja zapłaciłam za przejazd, odnosił się do mnie tak, jak zwykle somalijscy mężczyźni traktowali kobiety. Obaj z Mohammedem zaczęli się rozglądać za innymi krewnymi i znajomymi i wymieniali niekończące się uściski podczas gdy ja sama ładowałam do wozu nasze bagaże.

Zresztą i Mohammed, gdy tylko wylądowaliśmy w Somalii i odzyskał możliwość porozumiewania się w ojczystym języku, od razu stał się innym człowiekiem. Chodził

dumnie wyprostowany, z uniesioną głową i puszył się jak kogut. Ostatni raz zachowywał się w ten sposób, kiedy byliśmy mali, a on przyjechał z miasta w odwiedzinach do naszego obozowiska. Popisywał się wtedy przede mną swoją znajomością liter.

Hej, mała! - zawołał na mnie. - Chcesz się nauczyć abecadła? Zachowywał się, jakby rządził wszystkimi i znał się na wszystkim, ale z ciekawości podeszłam.

- Siadaj tu! - nakazał, ale wołałam stać, gdyż miał w ręku kij, więc gdyby chciał mnie uderzyć, łatwiej zdążyłabym odskoczyć.

- Z bliska zobaczyłam, że tym kijem wypisał szybko na piasku litery „abcdef”. To znaczy, teraz wiem, że to były litery, ale wtedy nie miałam pojęcia o czytaniu ani o pisaniu.

- Co to jest? - zapytał, wskazując kijem jeden z tych dziwnych znaczków. Oczywiście nie wiedziałam nawet, o czym mówi, więc wydarł się na mnie: - No, co to za litera?!

Machał mi kijem przed oczami, a ja tylko stałam i patrzyłam na niego jak na wariata.

To rozjuszyło go jeszcze bardziej, więc rozwrzeszczał się na całe gardło:

- Ty głupia dziewucho, co się tak na mnie gapisz? Nie widzisz, jakie to litery? No, nazwij je!

Wykrzykiwał tak, że w końcu zaczęłam się z niego śmiać, a kiedy zamierzył się na mnie kijem - uciekłam, więc wołał za mną:

- Wy tępe, leniwe dzikusy, nigdy nie nauczycie się czytać ani pisać! Szkoda mojego czasu dla takiej durnej dziewczuchy!

Rzucił za mną kamieniem i nawet z tej odległości trafił mnie w kostkę i boleśnie zranił. Matka poradziła mi więcej nie *zbliżać* się do niego. Wtedy byłam pewna, że nigdy w życiu nie będę miała do czynienia ze słowem pisany.

Teraz też przywdział maskę wszystkowiedzącego mężczyzny, a na mnie patrzył z góry, jakbym nadal pozostała ciemną dziewczyną z buszu. W samochodzie zrobiło się strasznie gorąco, a kiedy próbowałam otworzyć okno, do środka naleciało much, więc wołałam czekać na zewnątrz w palącym słońcu. Ale Mohammed, kiedy wrócił, kazał mi natychmiast wsiadać do wozu, jakbym to ja opóźniała wyjazd. Usadowił się na przednim siedzeniu, mnie pozostawiając tylne, a kiedy już ruszyliśmy, odwrócił się za siebie i rzucił:

- Zawdzięczasz to mnie!

Nie skomentowałam tej wypowiedzi. Wołałam wyglądać przez okno i kontemplować ojczysty krajobraz. Wiedziałam, że tacy są mężczyźni w Somalii - nie słuchają tego, co kobiety mają do powiedzenia, kimkolwiek by one były. Jeśli chcesz żyć w Afryce, musisz się do tego przyzwyczaić, bo nieprędko to zmienisz.

Przy żwirowanej drodze odchodzącej od pasa startowego znajdowało się coś w rodzaju stacji benzynowej. Abdillahi zatankował samochód, a na wszelki wypadek napełnił

także dwa dziesięciogalonowe kanistry. Obawiałam się jechać tak daleko, nie mając ani mapy ani żadnego zabezpieczenia. Miałam tylko nadzieję, że nie napotkamy trudności ze strony posterunków kontrolnych na drogach, i modliłam się do Allaha o bezpieczną podróż, abym mogła szczęśliwie odnaleźć matkę. Panowała akurat „mała pora sucha”, dlatego wszystko, co nas otaczało, było wysuszone i zbrązowiałe. Za samochodem unosiły się tumany kurzu, który wciskał się przez każdą szczelinę i osiadał wszędzie. Pierwszy odcinek naszej szosy miał

nawet nawierzchnię wyłożoną płytami, która jednak szybko przeszła w rozjeżdżoną drogę gruntową, porytą koleinami rozchodzącymi się w różnych kierunkach. Liczyłam tylko, że Abdillahi będzie się trzymał właściwego traktu, nie ugrzęźnie w piasku ani nie uszkodzi samochodu o kamienie.

Jeszcze nie ujechaliśmy daleko, a już Abdillahi zjechał z szosy w miejscu, gdzie zobaczył kilka małych chat.

- Muszę kupić sobie trochę *khatu*, żeby nie zasnął po całej nocy za kółkiem -
oznajmił.

Rzeczywiście, wprawdzie mieszkańcy chat odpoczywali w cieniu, ale na nasz widok zerwali się i zaczęli biec ku nam z naręczami gałązek *khatu*, „diabelskiego ziela”, jak je nazywałam. Wiedziałam, że to paskudztwo rujnuje mój kraj, a tu, jak na ironię, właśnie ono było pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam po powrocie. *Khat* nie rośnie w Somalii, więc pieniądze, jakie ludzie wydają na ten narkotyk, zasilają budżet Etiopii lub Kenii.

Abdillahi jechał powoli, aby móc dokładnie przyjrzeć się proponowanym gałązkom.

Nie spodobały mu się, więc pojechał dalej. W tyle zostali obdarci, bosi chłopcy, kurzący papierosy. Nie mieli chyba więcej niż sześć lub siedem lat, a ręce i nogi chude jak odnóża pająka, bo oszukiwali głód żuciem *khatu*. Ujechaliśmy jeszcze kawałek i powtórzył się ten sam widok - do samochodu podbiegły dzieci i stare kobiety, proponując pęczki gałązek *khatu*.

Abdillahi przywołał gestem kobietę, która trzymała naręcze gałązek owiniętych w szal.

- Chodźcie no tu, matko! - zawołał z okna. - Macie nowy towar? Świeży? Dzisiaj zrywany?

Problem tkwił w tym, że *khat* nazajutrz po zerwaniu traci swoją moc. Dlatego przemytnicy dowozili go samolotami, których mnóstwo kursowało między Etiopią i Kenią a Somalią.

- U nas teraz susza, ale dopiero co przywieźli to z Etiopii - odpowiedziała. Abdillahi sam rozcierał w palcach liście, badając ich świeżość.

- Urwij sobie całe drzewo i jedźmy dalej! - zdenerwowałam się w końcu.

- To bardzo dobry towar! - zaprotestował. - Możesz dać jej za to dwadzieścia szylingów.

- O, nie, za *khat* płacić nie będę! - zapowiedziałam.

- Dlaczego? To mi pomaga prowadzić. Całą noc jechałem na lotnisko, dzięki temu mogę się skupić. Mamy przed sobą daleką drogę.

- Dałam ci już sto dolarów. Nie wystarczy?

- Żeby nie ja, nie dostałabyś się tam, gdzie chcesz, nawet za dwa dni - zaczął

perorować Abdillahi. - Tylko ja znam drogi i wiem, gdzie możesz znaleźć rodzinę. Gdybyśmy mieli kłopoty z policją albo żołnierzami, mając *khat* będzie można ich przekupić. Oni lecą tylko na narkotyki.

- Zgoda, ale ja za to świństwo nie płacę. Sam je sobie kup!

Abdillahi wrócił do handlarki *khatu*, kupił od niej wiązkę gałązek i położył obok siebie na siedzeniu. Zauważyłam, jak z czułością poklepał pęczek. Co jakiś czas obrywał

jeden liść i pakował do ust. Każdy z nich przeżuwał na miazgę i upychał pod policzkiem, aby móc brać następne. Wiedziałam, że po kilku godzinach torebka policzkowa szczelnie mu się wypełni, a po podbródku zacznie ściekać zielony sok, ale za to będzie tryskał energią. Miał

przy sobie przenośny magnetofon kasetowy i nastawił go na cały regulator. Przez całe popołudnie puszczał stare, somalijskie pieśni i śpiewał im do wtóru: Kto spoczął między jej piersiami, Ten czuł się nasycony I modlił się, by szczęścia tego Nie został pozbawiony...

Śpiewał głosem wysokim i przenikliwym, bo mógł wydawać dźwięki tylko jednym kącikiem ust - drugi miał zapchany miazgą przeżutego *khatu*.

Gdy los tak zrządzi i ześle złe dni,

Zgromadzi się cały klan.

Nawet chmury ustąpią z drogi im,

Bo klątwa dotknęła ten stan.

Z wiekiem chwieją się nogi i słabnie duch,

Daremny starszych znój,

Bo przed okiem przeklętych zakrył Bóg

Mądrości i światła zdroj...

Muzyka ustała, gdy opona w przednim kole wozu pękła na wyboju. Nie można było liczyć na niczyją pomoc, bo tą szosą prawie nikt nie jeździł - zaledwie od czasu do czasu przemykała jakaś ciężarówka. Abdillahi zjechał więc na pobocze, wydobył lewarek i pakując do ust coraz to nowe liście *khatu*, zmienił koło tak sprawnie, jakby robił to codziennie.

Mieliśmy jednak świadomość, że gdyby teraz złapał gumę także w zapasowym kole -

utknęlibyśmy na długo, póki nie doczekalibyśmy się pomocy lub napadu rabunkowego, lub czegoś jeszcze gorszego. Wprawdzie Abdillahi starał się omijać głębsze koleiny, jednak jechaliśmy w najgorętszej porze dnia, kiedy rozgrzana nawierzchnia szosy bucha żarem.

Jazda po takim podłożu w równym stopniu szkodziła oponom jak wyboje, toteż w najbliższej wiosce Abdillahi nabył nową oponę. Dziurawą zostawił, więc tamtejszy domorosły mechanik po załatwieniu przypuszczalnie sprzeda ją następnemu pechowemu kierowcy... A ileż przy tym straciliśmy czasu! Zanim dojechaliśmy na miejsce, zmienialiśmy koło przynajmniej cztery razy. Jazda, zamiast ośmiu,

trwała czternaście godzin z powodu tych wymuszonych postojów.

Przypuszczałam, że Abdillahi na same opony wydał większość tych stu dolarów, które u mnie zarobił.

Na pustyni odległość nie ma znaczenia. Widzisz drogę daleko przed sobą, a wydaje się, że tej drogi nie ubywa. Jedynie obłok kurzu wznoszący się za samochodem utwierdza cię w przekonaniu, że naprawdę się przemieszczasz. Ponieważ samochód podskakiwał na wyboistej drodze, rzucało mną po siedzeniu w górę, w dół i do przodu. Można zatem było powiedzieć, że podróżujemy w trzech wymiarach. W tej szerokiej, otwartej przestrzeni nic nie dało się ukryć.

Niestety, przez całą drogę towarzyszyły nam przykre widoki. Na poboczach szosy stały obdarte dzieci, które ledwo dosięgłyby głową do brzucha wielbłąda. Wyglądały na bezradne i zagubione, a ciekawiło mnie, gdzie się podziiali ich rodzice? Widziałam mężczyzn o zębach poczerniałych od zucia *khatu*, a kiedy po raz któryś z rzędu zmienialiśmy koło, uwagę moją zwrócił starszek przyglądający się nam z małego pagórka. Stał nieruchomo jak posąg, nie odganiał nawet much, które wlażyły mu do oczu. Spodziewałam się ujrzeć karawany okrętów pustyni - złotobrazowych wielbłądów - ale zamiast zwierząt mijaliśmy tylko wynędzniałych ludzi.

Najcięższym przeżyciem było dla mnie spotkanie z wychudzoną kobietą, która z dzieckiem uwiązany do pleców pojawiła się nagle nie wiadomo skąd. Zaczynało się już ściemniać, a od kilku godzin nie przejeżdżaliśmy przez żadną wioskę. Kobieta machała do nas, prosząc o podwiezienie, bo z jednego sandała pozostała jej tylko przednia część. Stopy miała poranione i krwawiące, a skórę na nich popękana i zgrubiała jak u wielbłąda. Nie mogłam znieść tego widoku i zaczęłam błagać kierowcę:

- Zatrzymaj, proszę cię! Pomyśl, że to mogłaby być twoja matka albo siostra!

- O co chodzi? - wtrącił się Mohammed.

Popatrz, odleciała jej pięta od sandała, więc właściwie idzie boso i nogi jej krwawią!

Sama też kiedyś miałam takie stopy - stwardniałe i spękane jak wyschnięte błoto podczas suszy. Ta kobieta na pewno ma przed sobą jeszcze długą drogę, a wkrótce zapadnie zmrok. Jeżeli kogoś noc przyłapie na pustyni, nieraz musi położyć się spać pod gołym niebem, a hieny szybko wywęszyłyby bezbronne dziecko. Kiedy uciekałam od ojca, też wiele nocy spędziłam sama na pustyni, nie mając co jeść ani czym się bronić. Śmiertelnie bałam się zasnąć, bo wiedziałam, że w ciemności czyhają głodne drapieżniki. Kiedyś obudziłam się, czując na twarzy oddech lwa!

- Proszę, zabierzmy ją! - błagałam. - Przecież mamy dużo miejsca, mogłaby usiąść obok mnie z tyłu!

- Też masz się czym przejmować. - Abdillahi strzepnął niedbale ręką, mijając kobietę jak powietrze.
- Po co mielibyśmy ją zabierać?

- Przecież to kobieta, przywykła chodzić piechotą.

Mało się nie popłakałam, ale mężczyźni nie zwracali uwagi na moje słowa. Nieraz jeszcze w ciągu

tego dnia mijaliśmy kobiety z małymi dziećmi, zmuszając je do wdychania wznoszonych przez nasz wóz tumanów kurzu.

Mohammed dowiedział się od swoich współplemieńców, że ojciec może teraz przebywać sam na pustyni. Przed trzema porami deszczowymi mój młodszy brat Rashid pasł

jego wielbłądy w pobliżu studni należącej do naszego klanu. Zwierzęta spokojnie skubały trawę, więc sam położył się w cieniu i zasnął, a obudził go dopiero świst kuł. Zorientował się, że jest na linii ognia, toteż rzucił się do ucieczki, ale kilku walczących mężczyzn zaczęło strzelać także i do niego. Kula ugodziła go w ramię, więc osunął się na murawę i stracił

przytomność.

Kiedy doszedł do siebie - nigdzie nie było śladu ani po napastnikach, ani po wielbłądach, tylko wiatr hulał po pustyni. Zwierzęta, które stanowiły dorobek całego życia mojego ojca, z jednej pary rozrodziły się w liczne stado, przetrwały klęski głodu i suszy, z których miał prawo być dumny - znikły jak kamfora. Rashid jakoś dowlóknął się do naszego obozu, gdzie matka opatrzyła mu ranę. Na szczęście kula nie uszkodziła kości, przebiła tylko na wylot mięśnie więc brat szybko powrócił do zdrowia, ale ojciec był kompletnie zdruzgotany. Wyglądał, jakby wraz z wielbłądami opuściła go także chęć do życia. Całymi dniami przesiadywał z twarzą ukrytą w dłoniach, aż w końcu którejś nocy gdzieś wyszedł i więcej nie wrócił. Somalijskie przysłowie głosi, że człowiek zdesperowany gotów jest szukać swoich wielbłądów nawet w koszyku na mleko, więc możliwe, że udał się na ich poszukiwanie lub w pościg za złodziejami. Niewykluczone jednak, że stracił już wszelką nadzieję i szukał tylko miejsca, aby umrzeć.

MAMA

W imię Boga Miłosiernego, Litościwego(...)

Prowadź nas prostą drogą, drogą tych, których

Obdarzyłeś dobrodziejstwami, nie zaś tych,

na których jesteś zagniewany,

i nie tych którzy błędzą.

Koran, Sura I Otwierająca

Dążyliśmy wciąż w kierunku błękitnych wzgórz na horyzoncie, ale zaczynało mi się już wydawać, że nigdy tam nie dotrzemy. Nie miał końca rozległy przestwór nieba nad nami i upał też zdawał się nie mieć końca. Abdillahi twierdził, że ludzie, którzy przez cały dzień przebywają na słońcu, mogą umrzeć z gorąca. Tymczasem każdy krzaczek i każdy pagórek przypominał mi o dzieciństwie w tych stronach, a szczególnie o matce. Dochodziłam już do wniosku, że jako dziecko musiałam chyba mieć obsesję na jej tle. Modliłam się codziennie, aby nic złego jej się nie stało, i wszędzie chodziłam za nią krok w krok, nawet gdy o tym nie wiedziała. Mama była całym moim światem i do dziś nie wiem, jak zdobyłam się na odwagę, żeby ją opuścić.

Podejrzewam, że w gruncie *rzeczy* nigdy tego nie chciałam, tylko z biegiem lat nasze ścieżki stopniowo się rozchodziły. W języku somalijskim istnieje zwrot *nurro*, co oznacza instynkt. Jest to dar Allaha, charakteryzujący zwierzęta albo tych, którym udało się cudem uniknąć śmierci. Dzięki temu instynktowi termity zlepiają kopce własną śliną, a młoda jaszczurka wie, jak wykluć się z jaja i *znaleźć* pokarm. Chętnie wierzyłabym w swój *nurro*, ale obawiałam się, że przebywałam już zbyt długo z dala od domu, aby zrozumieć, co mi instynkt podpowiada. Kto wie, może odbędziemy tę całą podróż na darmo, bo u jej kresu nie odnajdziemy już matki? Może przepadła na zawsze? Siłą woli powstrzymywałam się od płaczu.

Noc zapadła nagle, czarna jak sadza. Byłam zmęczona upałem i miałam serdecznie dość podskakiwania na wybojach. Obawiałam się ponadto, co się stanie, jeśli Abdillahi, mimo zapewnień, nie znajdzie właściwej wsi. Wtedy zabłądzimy na pewno w tej dzikiej okolicy.

Abdillahi bez uprzedzenia zjechał z szosy i skierował się prosto na mały pagórek. Zaraz za pagórkem wyłączył silnik i ogarnęła nas głucha cisza. Znajdowaliśmy się, co prawda, w obozowisku ludzkim, ale w żadnej chacie się nie świeciło. Mimo to Abdillahi zaanonsował:

- Jesteśmy na miejscu.

Od razu poczułam przyływ energii. Podskoczyłam na tylnym siedzeniu i zasypałam go pytaniami:

- Naprawdę? Jesteś pewien, że to tu? Tu mieszka moja matka?

- Tak, Waris - potwierdził Abdillahi. - To właśnie tu.

- Dzięki ci, Allahu! - zawołałam. Chwała Bogu, że przejechaliśmy praktycznie z jednego końca kraju w drugi bez przeszkód, nie licząc niedogodności wywołanych upałem i częstymi zmianami kół. Natychmiast wysiadłam z wozu i wciągnęłam w płuca dużo powietrza. Od razu rozpoznałam znajomy zapach, dzięki czemu poczułam, że jestem z powrotem w domu.

Abdillahi wskazał na nieco większą, czworokątną chatę na skraju wioski.

- O, tu mieszka wasza rodzina.

Podeszli tam z Mohammedem i zaczęli stukać do drzwi. Po kilku minutach otworzył

im wysoki mężczyzna, zawiązujący w pasie *maa-weiss*. Mohammed poznał swojego kuzyna Abdullaha. Ten już wiedział dobrze, gdzie szukać naszych bliskich, więc podprowadził nas wąską uliczką do innej chaty, także zbudowanej na planie kwadratu. Zastukał w drewniane okiennice i w drzwiach stanęła ciężarna kobieta. Przyglądała się nam zaszpanymi oczami, podczas gdy Abdullah wyjaśniał, kim jesteśmy.

- A kto ty jesteś? - Byłam ciekawa, bo jej nie znałam.

- Jestem żoną twojego brata Burhaana, tylko że akurat nie ma go w domu -

odpowiedziała. - Mam na imię Nhur.

Kiedy Mohammed powiedział jej, że przybyłam tu odnaleźć matkę, zaraz szybko narzuciła szal i złapała mnie za rękę. Poprowadziła nas wydeptaną ścieżką, na której słychać było odgłosy naszych kroków.

Przed nami wyłoniła się z ciemności mała chatka, zbudowana z powiązanych tyczek pokrytych kawałkami blachy. Wstrzymałam oddech, kiedy stanęliśmy przed progiem.

- Nie odzywajcie się przez chwilę - poprosiłam Mohammeda i Nhur - dopóki jej nie uścisnę i nie ucałuję.

W drzwiach, wyciętych z płata cienkiej blachy, nie było oczywiście żadnych zamków.

Trzymały się na zawiasach zrobionych z drutu, więc żeby je otworzyć, musiałam je unieść i pociągnąć po ziemi. Szalas był tak mały, że nogi mamy znajdowały się bezpośrednio przy drzwiach i otwierając - musiałam je potrącić. To obudziło matkę, więc usiadła i rzuciła w ciemność pytanie:

- Kto tam?

W panującym wewnątrz mroku nic nie widziałam, ale podkradłam się na czworakach w kierunku, skąd dochodził głos. Drzwi były tak niskie, że wchodząc, należało się pochylić, ale przy wysokim wzroście Mohammeda i to nie wystarczało. Stuknięcie jego głowy w futrynę powtórnie zaalarmowało matkę, bo ponowiła pytanie: „Kto tam?”. Celowo nie odpowiadałam, bo czekałam na

właściwą chwilę. Dopiero gdy kilkakrotnie powtórzyła: „No, któż tam znowu?” - namacałam jej głowę, ujęłam jej twarz w obie dłonie i ucałowałam.

Przytuliłam się do niej policzkiem, aby wyczuła ściekające po nim łzy. Przez chwilę wsłuchiwała się w mój oddech, zanim wyszeptała: „Kto tu jest?”.

- Mamo, to ja, Waris.

Przysięgłabym, że rozpoznała mój głos, bo przez chwilę jakby wstrzymała oddech.

Potem schwyciła mnie w objęcia i trzymała kurczowo, jakbym była dzieckiem, które zdążyła złapać w ostatniej chwili przed wpadnięciem w ogień.

- Waris? To naprawdę moja córka Waris? - dopytywała, śmiejąc się i płacząc na przemian.

- Tak, mamo, to ja - odpowiedziałam. - i Mohammed też tu jest.

Mama wyciągnęła do niego rękę, którą uścisnęła. Poczułam jej łzy radości, bo pociekły mi na ramię.

- Skąd przybyliście? Myślałam, że już nie żyjecie. O Allahu, moja córka i mój syn wrócili do mnie! - Gwałtownie zmieniła ton głosu, udając, że mnie łaje: - Waris, czy chcesz mnie zabić? Co ty sobie myślisz, żeby tak na mnie włączyć? Wracajcie lepiej, skąd przyszliście, jestem już za stara na takie przeżycia!

Wiedziałam, że żartuje, bo zaraz znowu mnie przytuliła i spytała:

- A co ty tu robisz, dziecko?

Parsknęłam śmiechem. Rzeczywiście, jak miała zareagować, kiedy po pięcioletnim niewidzeniu (od czasu mojej krótkiej wizyty w Etiopii) niespodziewanie zjawiałam się u niej w środku nocy. Chyba pod tym względem upodobiłam się do niej.

Mogłam się od razu domyślić, że to musi być mój Mohammed.

- *Dehrie* - powtarzała z czułością, tuląc go do siebie. - Kto inny mógłby tak walnąć głową w futrynę?

Dehr, czyli „wysoki”, to było domowe przydomkowanie mojego brata. Wzięło się stąd, że wzrostem dorównywał stojącemu wielbłądowi.

Zauważyłam, że u boku matki śpi jakiś mały chłopczyk, ale podczas naszej rozmowy nie obudził się ani nie odezwał słowem.

- Co to za dziecko? - spytałam.

- To najstarszy synek twojego brata Burhaana, Mohammed *Inyer*, czyli Mały Mohammed - objaśniła mama, gładząc śpiącego malca po główce.

Abdillahi zaproponował, że zabierze Mohammeda na noc do domu mojego wujka, bo wszyscy nie zmieścilibyśmy się w tej małej chatce.

Po ich wyjściu Mały Mohammed spał dalej, a matka zapaliła małą lampkę, którą u nas nazywano *feynuss*. W jej przytłumionym świetle 'mogłam się przyjrzeć najdroższym w świecie rysom ze zgrabnie wyrzeźbionym nosem i oczami barwy cynamonu. Przyciskała mnie do siebie tak mocno, jakbym była snem, który mógłby prysnąć, gdyby się obudziła.

Do naszej rozmowy przyłączyła się Nhur. Opowiedziała nam, że obudził ją warkot samochodu i głosy nieznanymi jej osób. Na przemian to ścisnęła mnie, to wodziła dłońmi po moich ramionach i sukience. Matka też kołysała mnie w objęciach i zanosila się nerwowym śmiechem, jakbyśmy z Mohammedem przylecieli tu na latającym dywanie.

- Przepraszam cię, Nhur. Pytałam, kim jesteś, bo nie wiedziałam w ogóle o twoim istnieniu. Nie miałam pojęcia, że mój brat w ogóle się ożenił, nawet pierwszy raz, a co dopiero drugi! Skąd miałam wiedzieć, że jesteś jego drugą żoną i masz już jedno dziecko, a drugie jest w drodze.

Czułam się zakłopotana, choć w Somalii takie sytuacje są na porządku dziennym.

Nhur uspokajająco poklepała mnie po ramieniu, ale wołała się upewnić.

- Naprawdę? Wyszłam za twojego brata już dawno, a ty dotychczas nie wiedziałas o moim istnieniu?

- Przykro mi, ale mój niepoprawny brat Mohammed nie powiedział tym ani słówka - wyjaśniłam.

- To znaczy, że nie przywiozłaś dla mnie żadnego prezentu? - zachichotała Nhur.

- Jeszcze raz cię przepraszam, ale tak wyszło - przyznałam. Rzeczywiście, nie miałam żadnego upominku ani dla niej, ani dla żadnego z jej dzieci. Chcąc wyjść z sytuacji, wskazałam swoją torebkę. - Jeśli ci się spodoba coś z tego, co tam jest, możesz to wziąć. A co się stało z pierwszą żoną Burhaana?

Zapadło kłopotliwe milczenie, które w końcu przełamała matka wymijającą odpowiedzią:

- Jest już w raju Allaha.

- Naprawdę bardzo mi przykro. A jak to się stało?

- Skąd mogę wiedzieć? - ucięła szorstko matka. - Widocznie nadszedł jej czas i Allah wziął ją do swojej chwały.

Somalijczycy zapytani, jak ktoś zmarł, odpowiadają zwykle: „Czy myślisz, że jestem Bogiem? Bogu jednemu wiadomo, co się stało”. O takich sprawach się po prostu nie mówi -

kiedy nadejdzie czas, trzeba odejść i kwita. Somalijczycy wierzą, że na księżycu rośnie drzewo, które

jest drzewem życia. Człowiek umiera wtedy, kiedy z drzewa spadnie jego liść.

Potem idzie do nieba i nie mówi się o nim więcej - śmierć jest sprawą między nim a Allahem.

Dlatego nikt nie uważał za stosowne poinformować mnie, co się stało z matką małego chłopca, którym teraz opiekowała się moja matka. Z radością zajęła się wnukiem, bo miała nareszcie kogoś, kto jej potrzebował. Widać było, że uwielbia chłopczyka, który mógł mieć około trzech lat. Spała z nim na jednej macie, a on leżał spokojnie przytulony do niej, uko-

łysany jej łagodnym głosem.

Mama prawie się nie zmieniła od czasu, kiedy ją widziałam po raz ostatni. Jej skóra przypominała natłuszczony heban, a w uśmiechu widać było brakujący ząb na przodzie.

Przypuszczałam, że wybił go ojciec, kiedy raz ją uderzył, ale nigdy nie przyznałaby się do tego. Wiele w życiu wycierpiała i te przejścia poznały jej twarz bruzdami, ale nie wyglądała przez to starzej, przynajmniej dla mnie. Zmarszczki na czole tylko dodawały jej dostojeństwa i świadczyły, że cierpienia nie są tym samym co zmartwienia.

W pewnej chwili usłyszałam dziwne bębnienie o blaszany dach chatki. Aż podskoczyłam, gdyż początkowo nie domyśliłam się, co mogą oznaczać tak głośne dźwięki.

- Co to jest? - zapytałam, na co moja matka i bratowa roześmiały się i odpowiedziały jak na komendę:

- To deszcz, Waris. Nareszcie deszcz!

- Chwała Allahowi! - dodała matka, wznosząc wzrok do nieba.

Trzeba wiedzieć, że deszcz w Somalii nie jest tym samym co siąpiący kapuśniaczek w Europie Zachodniej. Rozpoczyna się nagle, jakby znikąd, i przypomina kubek wody niespodziewanie chluśnięty na głowę. W zetknięciu z blaszanym dachem wydaje dźwięk podobny do brzęku tłuczonych talerzy.

- Świetnie, mamó! - ucieszyłam się. - Przynajmniej się ochłodzi. Rzeczywiście ładnie pada.

- Dziecko, u nas nie padało już ponad rok! - zgasła mnie matka.

- O, to znaczy, że przyniosłam wam deszcz - podchwyciłam, ale klasnęła językiem o podniebienie, co miało oznaczać dezaprobatę. .

- Wypluj te słowa, Waris. Nie jesteś Bogiem, więc nawet nie mów takich rzeczy.

Deszcz spadł, bo Allah go zesłał, a z tobą to nie ma nic wspólnego.

- Przepraszam, mamó. Już nic nie mówię - zreflektowałam się. Jednak dobrze było przypomnieć sobie hierarchię wartości, jaka panowała w domu matki. Sama cieszyłam się z tego deszczu, bo

wyczuwałam w nim błogosławieństwo Allaha.

- Wiedziałaś, że przyjedziesz. - Matka uśmiechnęła się z satysfakcją. Zdziwiła mnie pewność, z jaką to mówiła.

- Skąd wiedziałaś? - zagadnęłam.

- Jakieś dwa dni temu miałam sen. Przyśniła mi się twoja siostra. Niosła na plecach cały bukłak wody i śpiewała taką piosenkę, jaką się śpiewa przy pojeniu. Głos jej niósł się coraz dalej i mocniej, więc odgadłam, że jedna z moich córek wróci do mnie. Nie wiedziałam tylko która.

- Och, mammo! - Westchnęłam. Łzy stanęły mi w oczach, bo zdałam sobie sprawę, że łącząca nas więź nie zerwała się nigdy, nawet podczas najcięższych przejść. Bardziej niż czegokolwiek innego brakowało mi jej wrodzonej siły ducha, którą zdążyłam dobrze poznać.

- Doszłam do wniosku, że powinnam była przyjeżdżać do niej częściej, aby nie tracić kontaktu z atmosferą panującą w jej domu. Da Bóg, że nie będę musiała już nigdy pozostawać tak długo z dala od swoich korzeni. Teraz, kiedy znałam drogę, mogłam wracać do rodzinnego domu, ilekroć zechcę.

Prawdę mówiąc, nigdy nie poznałam matki do końca, gdyż opuściłam ją, będąc właściwie jeszcze dzieckiem. Bardziej wyczuwałam ją instynktownie, chociaż nie umiałam tego sprecyzować. Ostatnim razem, kiedy widziałam ją w Etiopii, prosiłam:

- Mammo, jedź ze mną do Nowego Jorku. Dam ci wszystko, co ze chcesz.

Spojrzała na mnie wtedy z pobłażliwą wyższością.

- O czym ty mówisz, dziecko? Wszystko, to znaczy co? To, czego potrzebuję, mam tutaj.

Wcześniej uciekłam od niej, bo czułam przez skórę, że nie odpowiada mi życie koczownicze. Teraz jednak próbowałam zrozumieć matkę, odnaleźć wartości, które były dla niej cenne, i nigdy się ich nie wyrzekać.

- Mammo... - zaczęłam z innej beczki. - Wiesz, gdzie przebywa ojciec? Mohammed mówił mi, że gdzieś wywędrował, odkąd ukradli mu wielbłądy. A jak się czuje Rashid?

- Ach, więc słyszałaś o tym nieszczęściu? Z Rashidem już wszystko w porządku. Kula nie utkwiała mu w ramieniu jak te, co do dziś siedzą u mnie w piersi. Ojciec próbował za wszelką cenę odzyskać wielbłądy, ale większość ich przepadła. Pewnie złodzieje wywieźli je do Arabii Saudyjskiej albo po prostu zjedli. W końcu dał sobie spokój i wrócił. Mieszka gdzieś tam... - Machnęła ręką w stronę buszu.

Nhur wyjaśniła, że ojciec żyje teraz z inną kobietą niedaleko wioski, w której przebywaliśmy. Uparł się, że zamieszka w buszu wraz z tymi zwierzętami, które zdołał

odnaleźć. Przy pomocy krewnych udało mu się część z nich odzyskać, gdyż miały wypalone jego piętna. Nhur przypuszczała, że może dysponować obecnie pięcioma wielbłądami i niedużym

stadkiem kóz oraz owiec. Mój młodszy brat Rashid pomagał mu opiekować się nimi. Przypomniałam sobie opustoszałe okolice, jakie mijaliśmy po drodze, i zastanawiałam się, czy potrafimy odnaleźć także i ojca. Matka nadal go kochała, ale już dosyć dawno temu wziął sobie drugą, młodszą żonę i większość czasu spędzał z nią w buszu.

- Słyszałam, że ma także trzecią żonę - chciałam sprawdzić, jak mama zareaguje na tę rewelację.

- A miał, miał, ale odeszła od niego albo może ją odprawił... - odrzekła obojętnie moja matka.

- Dlaczego? Co się stało? - wyjąkałam.

- A skąd ja, dziecko, mogę wiedzieć? Pewnie była leniwa.

Mama, jakby nigdy nic, wyciągnęła rękę, aby poprawić knot kaganka, który zaczął

dymić. Mówi się u nas, że z kłębow dymu można odgadnąć to, co ukryte, ale nie umiałam rozszyfrować stosunku matki do innych żon ojca. Często, kiedy jest dużo pracy, kobiety cieszą się, że przybyła dodatkowa siła robocza, ale matka nie chciała poruszać tego tematu, tak samo jak przyczyn śmierci pierwszej żony Burhaana.

- Twój ojciec był dwa dni temu operowany - szepnęła mi tymczasem Nhur. - Podobno źle z nim, więc Burhaan pojechał, żeby się nim zająć.

Operowany tutaj, w buszu?

- *Hiyea*, tak.

- Dwa dni temu? - wydyszałam. Boże, czemu nie dotarliśmy tu prędzej? Gdybyśmy nie zmarnowali tyle czasu w tym parszywym hotelu na lotnisku w Abu Dhabi... - A co to była za operacja?

- Coś z oczami, Waris - wyjaśniła Nhur półgłosem..

- O Allahu, z oczami? - jęknęłam. Słyszałam skądinąd, że miał jakieś kłopoty ze wzrokiem, ale nie sądziłam, że aż takie. Przypuszczałam, że ostatnio zaczął widzieć trochę gorzej i mógł potrzebować okularów, ale żeby aż operacji? W każdym razie na pewno potrzebował pomocy, a mnie wtedy nie było przy nim!

Słyszeliśmy, że ośleplł i cierpiał straszne bóle - ciągnęła dalej Nhur- - Burhaan wyruszył w drogę, aby go odnaleźć i odwieźć do najbliższego szpitala, w Galcaio. Na razie nie ma od niego żadnej wiadomości, ale mam nadzieję, że wszystko się udało.

Od razu obleciał mnie paniczny strach. Jak mogła udać się operacja przeprowadzona w samym środku buszu? Kto i jakim sposobem mógłby ją wykonać? A jak ojciec sam sobie radził, jeśli niedowidział? Jak zdobywał wodę i obrządzał swój inwentarz? Z opisu Nhur wywnioskowałam, że musiał cierpieć na zaćmę, powstałą wskutek oślepiającego działania promieni słońca odbitych od piasku.

- Jutro spróbuję go odszukać - postanowiłam. Nawet gdyby miało to oznaczać następną podróż w nieznane, nie mogłam postąpić inaczej. - Mamo, czy zmieścimy się we troje na tym łóżku?

Matka jednak była zdania, że nie wystarczy miejsca dla wszystkich- Istotnie, za posłanie służyła jej pleciona mata przykryta płachtą i wystrzępioną moskitierą, która z trudem dawała osłonę jej i Moham- medowi *Inyerowi*.

W dzieciństwie chętnie kładliśmy się spać pod gołym niebem, gdyż w małych chatkach bez okien trudno było wytrzymać z gorąca. Po zachodzie słońca na dworze zawsze powiewał orzeźwiający wiaterek i pojawiały się gwiazdy. Z przyjemnością i dziś zasnąłabym pod gwiazdami, najwyżej z jakąś płachtą do przykrycia, ale obawiałam się, że po deszczu komary nie dadzą mi oka zmrużyć.

Kiedy deszcz nieco ustał, poszłam więc nocować do domu mojej nowo poznanej bratowej. Miałam dzielić posłanie z Nhur i jej małą córeczką, i tak już zostało do końca mojego pobytu. Dom Burhaana był zbudowany na planie kwadratu, z mułowych cegieł

wysuszonych do białości. Brat zdążył już wykończyć dwa pokoje, a w trzecim podciągnąć ściany na wysokość pasa. Miałam nadzieje, że po ukończeniu budowy matka zgodzi się tam zamieszkać, chociaż na razie wołała gnieździć się w szałasie, który sama zbudowała. Przez całe życie mieszkała w domach stawianych własnoręcznie.

Tej nocy, mimo zmęczenia podróżą i zdenerwowania pojawiającymi się wciąż problemami, nie udało mi się zasnąć. Nie mogłam się doczekać, kiedy nareszcie zobaczę moich bliskich w świetle dziennym. Leżąc obok bratowej i małej bratanicy, próbowałam uspokoić szaloną gonitwę myśli. Jednak słuchając bębnienia ostatnich kropel deszczu o blaszany dach, powoli odzyskiwałam spokój ducha. Najważniejsze, że udało mi się odnaleźć matkę. Wiedziałam też, że ojciec, choć w szpitalu, to jednak żyje, a wokół siebie mam krewnych.

Nagle poczułam coś dziwnego, a kiedy spojrzałam w tym kierunku, z trudem dostrzegłam czarny kształt na mojej nodze poniżej kolana. Miałam szczęście, że w tych ciemnościach w ogóle coś zauważyłam, od razu pomyślałam, że to może być skorpion.

Przyglądałam się temu przez jakiś czas, zanim ledwo dosłyszalnie wyszeptałam do Nhur: Czy to jest to, co mi się wydaje?

Starałam się nie ruszać i zachować spokój, ponieważ uczono nas od dzieciństwa, aby w takich sytuacjach nie wpadać w panikę. Atak mógł przecież nastąpić szybciej, niżbym się zorientowała, a kto wie, czy ten skorpion po prostu nie przechodził sobie obojętnie koło mnie.

Można by przypuszczać, że zdąży się go strząsnąć szybciej, niż ukłuje, ale wiedziałam, że nie należy wykonywać żadnego ruchu, dopóki nie ma się pewności, że jest się do tego przygotowanym. Na razie wpatrywałam się tylko w nieprzeniknioną ciemność i ponowiłam pytanie: - Czy to jest to, co mi się wydaje?

- Tak, to - szepnęła mi prosto w ucho.

Skorpiony nazywają u nas *hangralla*. Kiedy to paskudztwo obróciło się do mnie swoim kolcem jadowym, nabrałam pewności, że to tego gatunku, i to tak wyrośnięty, jakby był ojcem czy matką wszystkich skorpionów. Najwyraźniej wyszedł mi na spotkanie, aby powitać mnie w Somalii, ale nie uszanowałam tego gestu, tylko podskoczyłam i rozdeptałam go.

Mimo to nie bałam się położyć z powrotem na tym samym miejscu. Po prostu odsunęłam daleko od siebie wszystkie lęki i stesy. Pozwoliłam, aby otoczyły mnie ciemność i cisza somalijskiej nocy. Zgodnie z panującą obecnie obiegową opinią Somalia należy do najniebezpieczniejszych miejsc na świecie, aleja w żadnym innym miejscu nie zaznałam takiego spokoju ducha.

Chyba też nigdzie nie spało mi się tak wygodnie jak na podłodze w chacie mojej bratowej. W gruncie rzeczy lubię spać na podłodze, bo nawet jeśli sturlam się z posłania - nie zrobię sobie krzywdy. Jeśli kopnę coś przez sen - nie uszkodzę niczego wartościowego.

Twarde podłoże jest też zdrowsze dla kręgosłupa. W Nowym Jorku nie spałam tak dobrze, bo albo miałam za dużo pracy, albo zmartwienia spędzały mi sen z powiek. Na pustyni czuję się jak w domu, więc łatwiej mi się zrelaksować, bo wiem, że jestem bezpieczna. Przespałam spokojnie wszystkie noce, chociaż słyszałam złośliwy śmiech hien za wzgórzami. Jednak my w Somalii nie boimy się ich, gdyż wiemy, że nie przyjdą do wioski. Ich przeznaczeniem nie jest porywanie ludzi, a nad naszym snem czuwa Allah, roztaczając nad nami swoje opiekuńcze dłonie. Dlatego nie musimy martwić się dniem jutrzejszym ani przejmować wczorajszym.

SPEŁNIENIE MARZEŃ

Przepis na potrawkę z wątroby:

2 filiżanki krwi

1/2 kg wątroby

2 tytki subaq- ghee.

Wątrobę myjemy i kroimy na drobne kawałki. Wkładamy ją razem z krwią i masłem do rondelka i stawiamy na żarze ogniska, przez cały czas mieszając. Nie rozdmuchujemy żaru, żeby popiół nie dostał się do potrawy. Dusimy na małym ogniu do miękkości.

Obudziłam się w zupełnie innym świecie. Wczorajsza spękana, szara skorupa ustąpiła miejsca ciemnoczerwonej glebie z kałużami stojącej wody. Oczywiście w domku mojej matki wszystko przemokło, bo przez szpary w zardzewiałym dachu tego prymitywnego szałasów można było zobaczyć niebo. Nie był to właściwie dach, tylko kawałki blachy poukładane w miejscach zwieńczenia powiązanych ze sobą tyczek, tworzących wewnątrz tak ciasne, że mama musiała układać się do snu po przekątnej. Obie z Nhur musiały wstać przed wschodem słońca, bo Nhur zdążyła już wrócić z targu, podczas gdy matka porozwieszała swoje nieliczne łaszki na płocie uplecionym z kolczastych gałęzi, aby przeschły. W opartej o ścianę zużytej oponie od ciężarówki zebrała się woda, którą radośnie chleptała koza, spoglądając na mnie kątem żółtobrazowego oka.

W Somalii nikt nigdy nie narzeka, jeśli zmoknie do nitki. Deszcz ; jest darem Boga, bo zgodnie z nauką Koranu wszystko, co żyje, powstało z wody. Deszcz sprawia, że trawa się zieleni, zwierzęta mają pełne brzuchy, a co za tym idzie - i my też. Na pustyni ceni się wodę, którą nazywamy błękitnym złotem. Czekamy na deszcz, modlimy się o niego i obmywamy się wodą z nieba, bez której nie byłoby życia. Roku nie dzielimy na zimę i lato, tylko na porę suchą (*jillal*) i deszczową (*gu*). Gościa wita się, ofiarowując mu wodę, która jest oznaką uszanowania i życzliwego przyjęcia. Miło mi więc było pomyśleć, że Allah zgotował mi tak serdeczne przywitanie w rodzinnych stronach. Darem wody wynagrodził mi trudy podróży w spiekocie, a nam wszystkim - długotrwałą suszę. Oznaczało to, że moja wizyta u rodziny szczęśliwie się zaczęła.

Na dzień dobry serdecznie objęłam i ucałowałam matkę.

- Niech cię Bóg błogosławi, mamó - przywitałam ją. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę, i jak się stęskniłam za tobą. Kochani cię, mamó, wprost nie umiem powiedzieć, jak bardzo!

- Och, Waris, nie ściskaj mnie tak, bo mnie udusisz! - jęknęła. Udawała, że się gniewa, ale uśmiechała się kącikami ust, a w jej oczach błyszczały dumą i zachwytem. - Aleś mi zrobiła niespodziankę! Ktoś mi mówił, że umarłaś, a kto inny, że zesłaś na złą drogę, ale

- Allah mi cię wrócił. Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty.

Mama miała szczególne podejście do życia, które zawsze mnie zadziwiało. Na szyi nosiła sznurek czarnych paciorków ze specjalnym amuletem, składającym się ze skórzanego woreczka z zaszytymi wewnątrz wersetami z Koranu. Dawno już sporządził go dla niej świątobliwy człowiek, *wadaddo*, więc nie rozstawała się z tym talizmanem, „O miał ją chronić przed działaniem złych duchów.

- Chodź, mamó, pokażę ci prezenty, które przywiozłam wam Wszystkim z Nowego Jorku - zaproponowałam.

Najpierw idź przywitać się ze swoim stryjkiem! - nakazała, machając mi ręką przed nosem, jakby oganiała się od much. To była cała mama - nie myślała o sobie, tylko o innych.

Sama chciałam zobaczyć się ze stryjem Ahmedem, bratem ojca, bo słyszałam od Nhur, że nie czuje się najlepiej. Według słów Nhur lewą stronę jego ciała zajął zły duch. Nie wierzyłam oczywiście w taką interpretację, bo przypuszczałam, że stryja, który był starszy od mojego ojca, mogła trafić niejedną chorobą. W dzieciństwie nieraz pasałam jego kozy i pamiętam, że moim największym marzeniem było wtedy posiadanie pary butów. Dopiero teraz, kiedy wróciłam w rodzinne strony jako dorosła osoba, zrozumiałam dlaczego.

Jako mała dziewczynka miałam w sobie tyle energii, że chciało mi się ciągle biegać i skakać. A wokoło pełno było ostrych kamieni i cierni, niekiedy tak długich, że potrafiły przebić stopę na wylot! Można więc wyobrazić sobie, jak wyglądały moje stopy po całym dniu biegania boso za kozami. Zazdrościłam im twardych raciczek, których nie raniły do krwi kamienie i ciernie. Dlatego uprosiłam stryja, aby jako zapłatę za opiekę nad jego kozami kupił

mi parę butów. Przecież pilnowałam tych zwierząt od rana do wieczora, wyprowadzając je nieraz na

oddalone pastwiska. Często wracałam do domu po ciemku i wtedy najbardziej kaleczyłam sobie nogi. Do dziś pozostała mi obsesyjna dbałość o stopy. Nie przykładam zbytnej wagi do strojów, ale chętnie kupuję buty, byleby były wygodne. Nigdy nie noszę pantofli na wysokich obcasach, bo wydaje mi się, jakbym miała kamienie pod piętami. Nie rozumiem, jak można chodzić w czymś takim, jeśli się nie musi.

W końcu stryj Ahmed zgodził się przywieźć mi z Galcaio jakieś buty. Śniłam o nich po nocach i wyobrażałam sobie, że będzie to coś w rodzaju latającego dywanu. Pozwolą mi dotrzeć wszędzie, bo nie będę już sobie raniła nóg, i biegała równie szybko jak struś lub gazela! Nic więc dziwnego, że gdy stryj wrócił z miasteczka, tańczyłam wokół niego, wykrzykując radośnie: „Buty, buty!”. Ojciec skrzyczał mnie i kazał zamilknąć, ale nie potrafiłam opanować podniecenia. Wreszcie stryj sięgnął do swych pakunków i wręczył mi...

nie, nie porządne, skórzane sandały, jakich się spodziewałam, ale tanie, gumowe klapki.

Byłam na niego tak wściekła, że cisnęłam mu je w twarz.

Nhur rozpała już ogień i zaparzyła herbatę. Rano na targu kupiła wątrobę, z której przygotowała specjalną potrawkę dla matki.

- Mama nie może jeść wszystkiego, bo te kule nadal w niej tkwią. Ciągłe jeszcze wymiotuje i pewnie dlatego jest taka chuda. - Zgodziłam się z nią, jak również z jej następnymi słowami.

- Mam nadzieję, że ta wątroba pomoże jej odbudować krew.

Postawiła miskę na ziemi przed matką, która zaczęła dzień od modlitwy przed posiłkiem. Tymczasem do chaty wbiegł tanecznym krokiem Mohammed *Inyer*, który był

głodny i też miał ochotę na kawałek wątróbki. Nie wkładano mu jeszcze spodenek, więc przykucnął gołą pupcią na ziemi tuż przed babcią, która na chwilę oderwała się od swoich modlitw i upomniała go spokojnie:

Dziecko, odsuń tyłek od mojego śniadania.

Pobudziło mnie to do tak huraganowego śmiechu, że nie uspokoiliam się nawet wtedy, kiedy do domku wszedł Ragge, syn stryja Ahmeda. Matka przywitała go wylewnie i przy okazji przypomniła mi, abym odwiedziła stryjka.

Lepiej już idź - ponagliła - bo inaczej stryjek pomyśli, że faworyzujesz rodzinę z mojej strony.

Ragge był małym chłopcem, kiedy opuszczałam dom rodzinny. Z tamtego okresu zapamiętałam tylko, że kiedyś pomagałam ciotce go bawić. Teraz miał chyba ze dwadzieścia dwa lata, był wysoki, szczupły i płynnie mówił po angielsku. Od razu go polubiłam. Cesał

się staromodnie, strzygąc krótko włosy po bokach głowy, a dłuższe zostawiając na czubku. W

tylnej kieszeni spodni nosił grzebyk i co chwila przyglądał ten czub.

Ragge przespacerował się ze mną przez całą wioskę, aby pokazać mi drogę do swojego domu. Osada składała się mniej więcej z sześćdziesięciu domków, wykończonych lepiej lub gorzej. W najlepszych mieszkali gospodarze, którzy mieli pieniądze na zakup materiałów budowlanych. Ci stawiali chaty z mułowych cegieł suszonych na słońcu i kryli je blaszanymi dachami. W biedniejszych rodzinach kobiety stawiały szałas z gałęzi, łątając je starymi oponami, matami plecionymi z trawy, kawałkami zardzewiałej blachy i wszystkim, co tylko udało im się znaleźć. Chaty z tyczek budowano zwykle na planie kwadratu, ale tradycyjne budowle somalijskie były okrągłe, plecione z nagiętych korzeni akacji pokrywanych matami i płachtami z plastiku. Na zewnątrz sterczały powtykane w ściany stare plastikowe reklamówki, bo nie wyrzucano niczego, co mogłoby się przydać.

Minęliśmy dom, z którego pozdejmowano maty, aby zalane wodą wnętrze mogło lepiej wyschnąć. Gdzie indziej znowu ściany były ulepione z błota wysuszonego na słońcu i przykryte stożkowatymi trzcinowymi strzechami. Członkowie każdego klanu budowali domki w określonym stylu, ale w żadnym z nich nie przewidziano wody bieżącej, kanalizacji ani elektryczności. Ktoś tylko dobudował sobie szałasik dla kwoki wysiadującej kurczęta.

Siedziała w nim czerwonawo ubarwiona kura i próbowała odstraszyć mnie gdakaniem. Za nami natomiast przez cały czas podążał mniej więcej dwuletni chłopczyk w samej koszulce, ledwo przykrywającej gołą pupę. Chodził sobie, gdzie chciał, bo co mogło mu *zagrozić* w takiej wiosce. W jego czarnej buzi, rozdziawionej w nieśmiałym uśmiechu, błyszczały nieskazitelnie białe zębki.

Nie inaczej wyglądała ta wieś za czasów mojego dzieciństwa. Przypominała żółwia, który potrafi wciągnąć głowę i łapy głęboko do wnętrza skorupy i nie reaguje, nawet gdy stukać w nią kijem. Czeka raczej, aż natręt się znudzi i pójdzie sobie, a wtedy podejmuje przerwany marsz w obranym kierunku. Tak samo na życie tej wioski nie miały wpływu wydarzenia w otaczającym świecie. Od czasu kiedy tu mieszkałam, nie zmieniło się nic poza mną.

W dzieciństwie wydawało mi się, że mam wszystko, czego mi potrzeba, z wyjątkiem sandałów. Nie zdawałam sobie sprawy, że żyję w biedzie. Do dziś trudno mi przyjąć do wiadomości, że Somalia należy do piątki najuboższych krajów świata. Cieszyłam się, że rano budzi mnie gdakanie kur i płacz dzieci, czuję zapach dymu z ognisk i suszących się mokrych mat, ale dopiero teraz zaczęłam także dostrzegać, że żadne z napotkanych dzieci nie ma butów.

Stryj mieszkał razem ze swą córką Ashą i zięciem w kwadratowym domu z wysuszonych na słońcu cegieł mułowych, pokrytym zardzewiałym blaszanym dachem.

Zdobiły go drzwi pomalowane na kolor jaskrawoniebieski, z dużym, czerwonym rombem w środku i dwoma mniejszymi, ciemnoniebieskimi po bokach.

Gdy nadeszliśmy, stryj Ahmed siedział akurat przed domem na trójnożnym stołku z siedzeniem obciągniętym napiętą skórą. Odkąd wdziałam go po raz ostatni, posiwał jak gołąb. Miał na sobie somad strój narodowy *maa- a- weiss* z kraciastego materiału udrapowanego w pasie i przewiniętego w środku. Na głowie nosił okrągły kapelusz z płaską główką, jakie przysługiwały mężczyznom, którzy odbyli obowiązkową pielgrzymkę do Mekki.

O, Avdohol, Avdohol! - przywitał mnie stryjek, kiwając się w przód i tył na stołku.

Pamiętał moje domowe przezwisko, oznaczające Małe Usta. - Siadaj tu, przy mnie, niech ci się przyjrzę. Aleś ty, dziecko, schudła! Czy ty w ogóle coś jesz? A może jesteś chora?

- Stryjku, nie trzeba mieć wielkiego tyłka, żeby być zdrowym. - Roześmiałam się.

- W każdym razie wyglądasz strasznie mizernie - powtórzył. - Nie jesteś przypadkiem głodna?

- O, tak, stryjku, chętnie zjadłabym *angellę* - potwierdziłam. Rzeczywiście, od czasu kiedy zesłam z pokładu samolotu, wciąż wiercił mi w nozdrzach cudowny zapach *angelli* -

placka z sorgo. Ziarno na te placki kobiety tłuką w stępie z wydrążonego pnia, dopóki nie utną go na mąkę. Przed udaniem się na spoczynek zalewają tę mąkę wodą i ubijają, aby weszło w nią dużo powietrza. Wieczorem ze wszystkich chat we wsi słychać charakterystyczny odgłos tego ubijania, bo kobiety współzawodniczą ze sobą, która głośniej tłucze - im głośniej, tym ciasto jest lepsze. Do rana ciasto jest już wyrośnięte, a wtedy trzeba rozpaść ognisko między trzema dużymi kamieniami. Na tych kamieniach układa się płaskie blaszane denko i kiedy się rozgrzeje - rozsmarowuje się na nim porcję ciasta jak na naleśniki. Każdy taki placek smaży się około trzech, czterech minut.

Stryjek Ahmed polecił swojej córce:

- Podaj *Avdohol* placków i herbaty, bo tego nie da rady jeść na sucho. Tylko przynieś dużo placków, z dziesięć, bo widać, jaka jest głodna. A myślałem, że w tej Ameryce mają pod dostatkiem jedzenia.

- Ależ, stryjku, ja nie zjem dziesięciu placków! Wystarczą cztery! - zaprotestowałam.

Asha podała mi aromatyczną herbatę zaprawioną kozim mlekiem i placki na pogiętym blaszanym talerzu. Polałam placek herbatą, żeby był miękniejszy. U nas nie używa się widelców ani noży, je się palcami. Od lat już nie miałam w ustach charakterystycznego, kwaskowatego smaku *angelli*, więc z wrażenia nawet nie wiedziałam, kiedy ułamałam pierwszy kawałek.

Jednak stryjek aż podskoczył, gdy zauważył, jak zabieram się do jedzenia.

- Poczekaj, dziecko, co ty robisz? - krzyknął na mnie. - Przecież to twoja lewa ręka, a lewą ręką nie dotyka się jedzenia!

- Och, przepraszam, stryjku, zupełnie zapomniałam. - Zawstydziałam się. Rzeczywiście jestem leworęczna, ale na Zachodzie nikomu to nie przeszkadza. Natomiast w Somalii wielkim wstydem jest nie pamiętać, która ręka do czego służy. Prawą ręką nie wolno dotykać intymnych części ciała, na przykład przy korzystaniu z toalety. Nie używa się u nas papieru toaletowego, tylko podmywamy się przy użyciu lewej ręki. Jest ona przeznaczona tylko do tego celu, dlatego nie wolno nią dotykać jedzenia. Jemy i wszystkie inne czynności wykonujemy prawą ręką.

Stryjek z oburzeniem potrząsał siwą głową.

To aż tak długo nie było cię w domu, że zdążyłaś zapomnieć, czego się nauczyłaś? Jak można zapominać o zachowaniu czystości?

Rzeczywiście, w Somalii można zapomnieć raczej o wszystkim innym, tylko nie o tym. Chciałam jak najszybciej nasycić głód, ale zabrałam się do tego tak, jakbym znajdowała się w Nowym Jorku. W Somalii nie istnieje *pojęcie fastfood*, bo jedzenie się celebruje i nie wolno robić w tym czasie nic innego. Uczono mnie, że pokarm jest darem Allaha i należy spożywać go z szacunkiem, nie dlatego że nam smakuje, ale żeby nie umrzeć z głodu.

Niedopuszczalne jest bezmyślne pakowanie potraw do ust; trzeba najpierw usiąść, odmówić modlitwę i powoli smakować, delektując się każdym kęsem. Ja natomiast popełniłam kilka gaf naraz - nie tylko przystąpiłam do jedzenia bez modlitwy i należytego uszanowania, ale jeszcze łamałam placek lewą ręką!

Wzięłam więc głęboki oddech i zaczęłam od początku. Najpierw podziękowałam Allahowi za dobrego stryjka, miły początek dnia i smaczne jedzenie. Dopiero potem, powoli i z rozmysłem, zaczęłam kontemplować cudowny smak *angelli*. Podczas jedzenia przygląda-

łam się stryjkowi. Miał cienki wąsik i kępkę siwych włosów na brodzie, nosił *maa- a- weiss* w szaro- czarną kratkę, ale kiedy przyjrzałam się dokładniej - uderzyła mnie dziwna poza, w jakiej opierał się o ścianę domu. Ponadto jeden kącik ust miał opuszczony i mówił bardzo powoli, jakby składanie słów sprawiało mu trudność. Mohammed chwila musiał prosić, aby stryjek powtórzył to, co powiedział.

Co się dzieje z twoim ojcem? - zagadnęłam Ashę, kiedy podała herbatę. - Dlaczego się tak dziwnie porusza?

- Któregoś wieczoru położył się spać jak zawsze, a kiedy obudził się rano - nie mógł poruszać ani lewą ręką, ani nogą. Jedna strona była w porządku, ale drugą mógł tylko powłóczyć.

- O Boże - przeraziłam się. - A co na to lekarz?

- Nie mamy tu lekarza.

- A nie zabraliście ojca do szpitala?

- Nie, bo to za daleko, a on przecież nie może chodzić. Jak można ciągnąć chorego człowieka taki kawał drogi?

- Co takiego? - Nie wierzyłam własnym uszom. Człowiek obudził się ze sparaliżowaną połową ciała, a nie było komu zawieźć go do szpitala. - Kiedy to się stało?

- Kilka dni temu. Dziś już mu trochę lepiej, *alhamdillah* - wymówiła Asha z rezygnacją, jednak dziękując Allahowi przynajmniej za tę drobną poprawę. Wiedziałam, że zgodnie ze światopoglądem wyznawanym przez moją rodzinę na każdego przychodzi jego czas, kiedy

- Allah powołuje do siebie, a my musimy zaakceptować śmierć jako nieodłączną część życia. Szkoda tylko, że moi bliscy nie zdawali sobie sprawy, że choroba nie jest wyrokiem śmierci, ale można ją leczyć. Może dlatego, że nie mieli zaufania do lekarzy?

- Stryjku, opowiedz mi, jak to się stało - poprosiłam.

- Ano, obudziłem się rano i poczułem, że nie mogę ruszać całą lewą stroną ciała -

tłumaczył cierpliwie, lecz z rezygnacją w głosie. - To nie boli, ale nie mogę podnieść lewego ramienia i powłóczę lewą nogą.

- *Hiyea.*

- Twoja matka podawała mi napar ze sproszkowanej skorupy strusiego jaja i kory drzewa chinowego.

Wprawdzie wiedziałam, że leki mojej matki pomagają na wiele schorzeń, ale mimo to chciałam dowiedzieć się dokładnie, co dolega stryjowi. Zaproponowałam więc Raggemu:

- Zabierzemy go do szpitala, kiedy pojedziemy po ojca.

- Po co? Czy tam mu coś pomogą? - Ragge wzruszył ramionami.

- Przynajmniej powiedzą nam, co właściwie się stało, i dadzą stryjowi jakieś lekarstwo albo zrobią operację, jeśli będzie trzeba - przekonałam go.

Asha pomogła ojcu się umyć czy raczej sama obmyła mu twarz i ręce szmatką namoczoną w miseczce wody. Pomogła mu także wtłoczyć bezwładną rękę w rękaw niebieskiej koszuli, a potem dżinsowej kurtki. Uprosiłam krewniaka męża Ashy, który miał

taksówkę, aby zawiózł nas do szpitala w Galcaio. Mohammed i Ragge usiedli na przednim siedzeniu, a stryj, przy pomocy Ashy, wgramolił się na tylne, obok mnie. Czekало nas więcej niż trzy godziny jazdy, ale nie dbałam o to, mimo że miałam za sobą cały dzień wyczerpującej podróży. Grunt, że w szpitalu mogłam odnaleźć ojca i byli tam lekarze, u któ-

rych także mój stryj mógł szukać pomocy.

Pustynia w Somalii nie składa się z takiego piasku jak na plaży - jest to raczej ciemnoczerwona ziemia, upstrzona sterczącymi, białymi skałkami i niskimi, kolczastymi krzewami. Po deszczu cała przyroda błyskawicznie budzi się do życia, z ziemi wybijają kielki, a na krzewach i drzewkach akacji rozwijają się młode listki. Dopiero dziś potrafiłam docenić piękno rodzimego krajobrazu, bo wraz z ustaniem ulewnego deszczu znikł też obojętniający upał, a ziemia przybrała barwę krwi. Świeże powietrze działało tak orzeźwiająco, że dziwiłam się, dlaczego dziennikarze nigdy nie uwieczniają takich miłych chwil, tylko gonią za ludzkim nieszczęściem. Wprawdzie w moim biednym kraju nie brakowało nieszczęścia, ale mimo to nie przestawał być piękny. Gdyby tak łzy mogły zamienić się w deszcz...

Po drodze trafiliśmy na punkt kontrolny obsadzony przez mężczyzn uzbrojonych w karabiny. Ragge wytłumaczył mi, że siły bezpieczeństwa strzegą granic między terytoriami należącymi do poszczególnych klanów.

- Mam nadzieję, że nie użyją tych karabinów - powiedziałam szeptem.

- Jeśli zechcą, to użyją. Będą sprawdzać, co wieziemy i kto jedzie z nami, albo po prostu możemy im się nie spodobać. Jeśli są z innego klanu niż my i zażądają pieniędzy albo czegokolwiek innego - lepiej dać im, czego chcą. Oni z tego żyją, bo wojsko im przecież nie płaci.

Z bijącym sercem modliłam się, żeby żołnierze dali nam spokój, kiedy zatrzymaliśmy się przy posterunku, jeden z nich zajrzał do wozu ale inni nawet się nie zainteresowali.

Wystarczyło, że zapłaciliśmy, a podnieśli szlaban i dali nam znak, że możemy jechać dalej.

Jako dzieci drżeliśmy na dźwięk słowa *Aba*, czyli ojciec, dlatego J teraz sama myśl o nim przejęła mnie niepokojem. Za dużo miałam wspomnień z nim związanych, a mimo to usilnie pragnęłam go zobaczyć. Chciałam, żeby dobrze się przyjrzał kobiecie, którą kiedyś traktował

jak popychadło, a której twarz znana była całemu światu z licznych filmów i okładek czasopism. Chętnie przypominałabym mu je- i go własne słowa: „Nie wiem, skąd się tu wzięłaś, bo nie jesteś jedną z nas”. Tym powiedzeniem kiedyś zranił mnie najboleśniej i może dlatego tak długo nie wracałam w rodzinne strony.

Nie wiem, czego się spodziewałam po szpitalu w Galcaio, ale przeraził mnie jego widok. Większość budynków miała ściany podciągnięte zaledwie do połowy wysokości, działała tylko niewielka przychodnia. Całość sprawiała wrażenie, jakby rozpoczęto budowę, lecz przerwano ją na długo przed końcem robót. Przy nieukończonych budynkach piętrzyły się stopy cegieł. Mohammed i Ragge pomogli stryjowi wysiąść z samochodu i poprowadzili go między sobą do przychodni. Poruszał się bowiem w taki sposób, że jedną nogę stawiał, a drugą dociągał do niej, opierając się na ramionach syna i bratanka.

Podczas oczekiwania na lekarza rozglądałam się po przychodni. I Tylko dwa pomieszczenia były wykończone i w jednym z nich znajdowało się skromne wyposażenie -

mikroskop i kilka butelek z lekarstwami. W świetle wpadającym do środka przez uchylone okiennice widziałam porozrzucane tu i ówdzie puste buteleczki i tacki, na różowo pomalowanej ścianie z niebieską lamperią wisiała tablica do badania wzroku. W łazience leżały stopy nieulożonych płytek, a muszla i klozetowa na niczym się nie trzymała. I tak wyglądał jedyny punkt pomocy medycznej w promieniu kilku godzin jazdy samochodem.

Ciekawe, jak w tych warunkach lekarze mogli udzielać pomocy chorym, bo nie wyobrażałam sobie wykonania tu zdjęcia rentgenowskiego lub choćby transfuzji krwi.

W końcu przyszła do nas pielęgniarka i zaproponowała, że pokaże, gdzie leży mój ojciec. Przez chwilę bałam się tej konfrontacji, bo pamiętałam ojca takiego, jaki był przedtem, a nie byłam pewna, w jakim stanie go zastanę. Wzięłam się jednak w garść i podreptałam za mężczyznami.

W pokoju ojca kłębił się tłum jego krewnych, którzy z miejsca rozpoznali Mohammeda i wylewnie go przywitali. On zaś ogłosił obecnym: To moja siostra Waris.

Oczywiście wszyscy natychmiast zwrócili się do mnie, ale w tej ciasnocie ledwo mogłam złapać oddech.

Nic nie mów - poprosiłam Mohammeda. - Chcę pierwsza pozdrowić ojca.

Prześliznęłam się między odwiedzającymi, aby dopchać się do wąskiego łóżka, na którym oprócz ojca siedziało dwóch jego krewniaków. Chory leżał bez ruchu, pogrążony w drzemce, z zabandażowanymi oczyma i rękoma skrzyżowanymi na piersi jak u nieboszczyka.

Nie mogłam już dłużej powstrzymać łez, ale nie chciałam płakać przy obcych, więc szybko usiadłam przy ojcu, wzięłam go za rękę i przytuliłam się do jego policzka. Wyglądał fatalnie, ale i tak dziękowałam Allahowi za to, że *Aba* żyje i że go odnalazłam. Byłam wściekła na siebie, że w ciężkich chwilach, jakie przeżywała moja rodzina, byłam z dala od niej i nie mogłam jej pomóc. Biedny tatuś całkiem posiwiiał, z brody została mu tylko kępka, policzki zapadły, wyglądał na wycieńczonego i załamane chorobą.

Nareszcie *Aba* rozbudził się i zapytał:

- Kto tu jest? Pocałowałam go i wyszeptałam:

- To ja, tato, Waris.

- Kto taki? - nie zrozumiał.

- Waris, tatusiu.

- Waris? - wymówił przeciągle. - Owszem, miałem córkę o takim imieniu, ale już nie mam. Nie wiemy, co się z nią stało. Nie żartujcie sobie ze mnie.

- Tato, ale to naprawdę ja.

- Kto, Waris? Niemożliwe! Tyle czasu jej nie było, a nagle się objawiła?

- Kiedy to ja, tatusiu.

- Co? Naprawdę jesteś Waris? Córeczko kochana, myślałem, że wyjechałaś. - Obrócił się do mnie twarzą i mocno ścisnął moją rękę.

- Co się stało z twoim okiem? - zapytałam, chociaż bałam się usłyszeć odpowiedź.

Wszystko w porządku, *alhamdulillah*, tylko dwa dni temu miałem operację - odpowiedział spokojnie, jakby to była zwykła historia.

- Gdzie ci zrobili tę operację? Byłeś w szpitalu?

- Nie, to było w buszu.

- Ktoś w buszu robił coś z twoim okiem? - nie mogłam uwierzyć. _ Naciął je nożem i zdjął łuskę, która je zasłaniała.

- Czy to był lekarz? - Nie mogłam sobie wyobrazić, że można poza szpitalem dobierać się z nożem do czyjegoś oka.

- Mówił, że jest lekarzem - wymamrotał ojciec.

- Dobrze, dobrze. - Poklepałam go po rękę. - Dał ci przynajmniej jakiś środek przeciwbólowy?

- Co ty sobie wyobrażasz, dziecko? Jasne, że czułem ból. I tak jednym okiem widziałem już tylko cienie, a na drugie w ogóle nic. Musiałem się położyć i czułem, jak mnie nacina.

- Ależ to śmieszne! - jęknęłam. - Żeby pozwolić komuś obcemu grzebać sobie nożem w oku?

- Tak, teraz wiem na pewno, że ty jesteś Waris - orzekł z zadowoleniem ojciec. - To cała moja córka, wiecznie zbuntowana i sprzeciwiająca się wszystkiemu. Nie zmieniłaś się ani trochę.

Wypowiedział te słowa takim tonem, że znowu zobaczyłam swojego dawnego ojca -

silnego i władczego, prawdziwego wojownika. Nie mogłam powstrzymać łez.

Dziecko, będziesz mnie opłakiwać, kiedy umrę - zaprotestował stanowczo ojciec, ściskając moje dłonie. - Na razie żyję i niedługo wezmę sobie nową, tłustą żonę!

To był cały mój ojciec. Taki, jakiego zapamiętałam. Nawet w tak żalonym stanie, ślepy i bezradny, miał jeszcze chęć do żartów. Dla mnie pozostał nadal przystojny, mimo wieku i ciężkich przeżyć. Z idealnym owalem jego twarzy dobrze harmonizowały głębokie bruzdy, biegnące PO obu stronach policzków i podkreślające ich kształt.

Ojciec był urodzonym koczownikiem, który wciąż szukał nowych źródeł i pastwisk, ale nigdy nie opuszczał Rogu Afryki. Nie widział w życiu miasta, samochodów ani telefonów. Nie miał też pojęcia o nowoczesnej medycynie, więc postąpił tak, jak czynili ojcowie i dziadowie. Oddał się w ręce znachora i wierzył, że ten za pomocą noża i modlitwy do Allaha uratuje mu wzrok. Nie miał też do niego pretensji o nieudany zabieg i ze stoickim spokojem, bez skargi, przyjmował jego konsekwencje. Myślę, że współcześni lekarze nie mogą zapewnić swoim pacjentom takiej pogody ducha.

Głos, który usłyszałam obok siebie, należał do mojego brata Burhaana, mężczyzny tak przystojnego, że gdyby był dziewczyną, ojciec nie mógłby się opędnąć od kandydatów na zięcia. Twarz miał gładką jak u dziecka, co poczułam, kiedy uścisnęłam go na przywitanie.

Był nieco niższy od Mohammeda, ale miał regularniejsze rysy, więc łączył w sobie najlepsze cechy ojca i matki.

Burhaan opowiedział mi, jak znalazł ojca w strasznym stanie - w gorączce, z nabrzmiałymi żyłami na

całej głowie, cierpiącego straszne bóle. Obawiał się, że *Aba* umrze lub powędruje na oślep w busz, gdzie czekały już hieny. Zawiózł go więc od szpitala, gdzie stale pozostawał przy nim ktoś z krewnych. W Somalii bowiem nie zostawia się chorych w szpitalach pod wyłączną opieką personelu - przy łóżku koczują całe rodziny, odmawiając modlitwy i przyrządzając pacjentowi jego ulubione dania.

- Zabierzemy cię do domu, tato - zaproponowałam. - Tam będziemy się tobą opiekować. Nie możesz przecież chodzić, a my przyjechaliśmy samochodem.

- Do jakiego domu? - zapytał *Aba*.

- Tam gdzie mieszka nasza matka. Mohammed i ja zostaniemy przy tobie.

- Nie pojedę do domu tej kobiety! - sprzeciwił się.

- Ależ, tato! - przekonywałam. - Musimy cię zabrać ze sobą, żeby móc cię należycie dogłądać. Mohammed i ja możemy tu zostać jeszcze tylko przez dziesięć dni, więc chcielibyśmy, żebyś przez ten czas był z nami, bo wszyscy bardzo cię kochamy.

- Nie, tam nie pojedę - zaciął się w uporze. - Lepiej wy *przyjedźcie* do mojego domu.

Burhaan przypomniał mu, że tam nie miałby się kto nim zająć, a Mohammed prosił

ojca tak długo, aż w końcu go ubłagał. Lekarz godził się go wypisać, więc umówiliśmy się, że zabierzemy staruszkę po południu, kiedy będziemy wracać do domu.

Przy okazji spytałam doktora, czy nie mógłby zbadać mego stryja, więc pielęgniarka poleciła zaprowadzić go do przychodni w tym samym budynku. Zauważyłam, że nosi biały fartuch, a głowę i ramiona okrywa szafranowożółtym szalem. Zdziwiło mnie, że kobieta nawet w pracy zasłania twarz. Wprowadziła nas do gabinetu lekarskiego i przez cały czas asystowała przy badaniu, na wypadek gdyby doktor czegoś potrzebował.

Lekarz pobrał stryjkowi krew do analizy, ale stryj nawet nie drgnął przy ukłuciu.

Znosił wszystkie zabiegi z cierpliwością i spokojem, ale zwróciłam uwagę, że żyły na skroniach nabiegły mu krwią. Doktor zajrzał mu w oczy, zmierzył ciśnienie i postukał

młoteczką w kolano. Stryjek przez ten czas spoglądał nie na niego, tylko na mnie. Skoro ja godziłam się na wszystko, to i on nie protestował.

Lekarz miał okrągłą twarz poznaczoną dziobami po ospie, z brodawkami na obu policzkach. Nosił okulary przyczepione do łańcuszka na szyi i nieproporcjonalnie wielki złoty zegarek, którego bransoletka była za luźna i zsuwała się przy każdym ruchu ręki. Doskonale władał językiem angielskim, więc mogłam swobodniej porozumiewać się z nim, niż gdybym mówiła po somalijsku. Nie znam bowiem terminologii medycznej w moim ojczystym języku.

- Co dolega mojemu stryjkowi? - zapytałam. - Czy może pan to zdiagnozować?

- Mogę mu przepisać kurację - odpowiedział.

- A kiedy mu się polepszy?

- Miał wylew krwi do mózgu z powodu nadciśnienia...

- O Boże! - jęknęłam, choć nie wiedziałam dokładnie, co to znaczy, ale te tajemnicze nazwy brzmiały poważnie.

- To był ograniczony wylew, ale spowodował porażenie połowicze, całej lewej strony.

- Poleciał stryjkowi podnieść lewą rękę, co się częściowo udało, ale niezdarnie i tylko do wysokości ramienia.

Allah cię wyleczy! - starałam się podnieść go na duchu.

- Poprawa będzie wyraźniejsza, kiedy tylko ustąpi obrzęk mózgu- pocieszył mnie doktor. Wypisał receptę i wręczył nam słoiczek tabletek. - Niech to zażywa codziennie -

pouczył z naciskiem. Zauważyłam, że zarówno instrukcja dawkowania na etykiecie słoika, jak i na ulotce wewnątrz są wydrukowane po niemiecku i francusku. Nikt w naszym obozowisku nie znał tych języków.

- A co zrobimy, kiedy te tabletki się skończą? - spytałam, bo przecież jazda do Galcaio trwała kilka godzin w jedną stronę, a w miejscu zamieszkania mojej rodziny nie było ani jednej apteki. Można było oczywiście dać komuś pieniądze, aby przywiózł lekarstwa, ale zawsze istniała obawa, że zabierze więcej, niż zamówienie było warte, a i tak nie przywiezie tego, co trzeba.

- W Galcaio mamy kilka aptek, które sprowadzają leki z Europy - wyjaśnił mi doktor.

Miałam nadzieję, że stan zdrowia stryjka poprawi się, zanim zużyje całe opakowanie leku, bo nie wierzyłam, że zechce wykupić następne.

A czy jest coś takiego, czego nie powinien jeść? - Zasięgałam szczegółowych informacji, bo przestrzeganie diety było stosunkowo najłatwiejsze. - Na przykład cukier?

Miałam wrażenie, jakbym ciągnęła go za język, ale i tak nie powiedział mi wszystkiego, co chciałam wiedzieć - na przykład jak to możliwe, żeby człowiek nagle obudził

się sparaliżowany do połowy. Jednak doktor starannie dobierał słowa, jakby wydzielał mi je po jednym.

- Nie powinien używać cukru ani soli. Wszystko inne może jeść.

- Czy można spytać, od jak dawna pan doktor tu pracuje? - dociekałam. Przeczytałam bowiem ręcznie wypisaną wizytówkę przyklejoną za jego plecami taśmą do ściany: „Dr Ahmed Abdillahi”. Byłam ciekawa, czy wie, że koczownicy spożywają tyle mleka i tłuszczu zwierzęcego, ile im się trafia, bo

warzywa i owoce nie są dla nich dostępne przez większość roku.

- Tu, w Puntlandzie? - uściślił. Nie użył nazwy „Somalia”.

- Tak, tutaj.

- Ukończyłem studia we Włoszech, w roku 1970. Jestem neurochirurgiem.

- Przepraszam - wygarnęłam mu otwarcie - ale jak możecie pomagać ludziom praktycznie bez żadnego wyposażenia?

- To będzie jeden z najlepiej wyposażonych szpitali w całym Rogu Afryki! -

odpowiedział całkiem poważnie. - Budujemy go dzięki pomocy z Anglii. Kiedy uruchomimy wszystkie oddziały, będziemy w stanie przeprowadzać zabiegi chirurgiczne.

- A z jakimi chorobami macie największe problemy? - zadawałam kolejne pytania.

- Naprawdę trudno mi powiedzieć - wykręcił się.

- Może z AIDS? - podsunęłam.

Owszem, występuje, ale nie jest to zjawisko masowe.

Więc nie może mi pan doktor powiedzieć, jakie tu panują choroby?

- Jestem chirurgiem. Musi pani spytać kogoś bardziej kompetentnego.

Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej od innych pracowników szpitala, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Zaczepiłam w końcu młodego lekarza w masce chirurgicznej, zagadując, od jak dawna tu pracuje.

- Dopiero od miesiąca - odpowiedział.

- A z jaką chorobą macie tu największe kłopoty?

- Z gruźlicą - rzucił, odwracając się do palnika Bunsena, przy którym pracował.

Przy okazji pobytu w Galcaio chcieliśmy zrobić zakupy. Od czasu przyjazdu do Somalii nie potrafiłam przestać myśleć o jedzeniu, gdyż nie widziałam go tu zbyt wiele.

Zdążyłam już zapomnieć, co to znaczy nie mieć zapasu mąki, cukru i makaronu w kredensie, a chleba, mleka i jajek w lodówce. Rozglądałam się za sklepikiem, w którym można by nabyć przynajmniej chleb, ser i konserwy, ale nie mijaliśmy niczego w tym rodzaju. Napotkane sklepy świeciły pustkami, bo nie ma tu lad chłodniczych, więc wszystkie produkty należało spożytkować w dniu dostawy. Mohammed poprosił przechodnia, aby wskazał nam *suq*, czyli targ.

Och, tam już wszystko pozamykane. Kupcy dawno poszli do domu - oświadczył

napotkany mężczyzna. Był tak wysoki, że musiał się schylić, aby *zajrzeć* do wnętrza naszego samochodu, a przyglądał się dosyć długo. - Kto to jest? - zapytał Mohammeda, zgorzony widokiem mojej odkrytej głowy. Poczułam się niezręcznie, więc mimo gorąca nałożyłam szal, przynajmniej dopóki obcy mężczyzna nie odszedł. Właściwie sama nie wiedziałam, dlaczego tak wzięłam sobie do serca słowa jakiegoś starego koczownika, którego przypuszczalnie już nigdy nie zobaczę. Widocznie w głębi duszy pozostałam rodowitą Somalijką.

Zatrzymaliśmy się przed małym sklepikiem, w którym drzwi były otwarte, a od frontu wały się puste blaszane beczki. Za ladą siedział zaspany mężczyzna w turbanie, który wstał

na nasz widok. Miał na półkach niewiele towaru - kilka sztuk materiału, pudełko z bateriami i kilka par plastikowych kłapek - ale wyglądał, jakby nie ufał obcym.

Jeszcze w Abu Dhabi zmieniliśmy w banku sto dolarów na somalijskie szylingi. Za każdego dolara wypłacili mi 2620 szylingów w brudnych, zmiętych i wystrzępionych banknotach z wizerunkiem Siada Barre. Sądziłam, że to ostatnia partia oficjalnych środków płatniczych wypuszczonych do obiegu przez ten rząd. Sklepikarz nie chciał przyjąć tych pieniędzy.

- Takimi szylingami płaci się w innych częściach Somalii - wyjaśnił, zwracając je Mohammedowi. - U nas w obiegu są pieniądze Puntlandu, z portretem naszego przywódcy Mohammeda Egala.

Jak to możliwe, że jedni ludzie przyjmują jeden rodzaj pieniędzy, a u innych nic nie można za nie kupić? - spytałam Mohammeda, kiedy już wsiedliśmy do samochodu.

- U nas tak jest - odrzekł lakonicznie Mohammed. Znaleźliśmy w końcu kobietę, która miała na sprzedaż zielone pomarańcze, herbatę i przyprawy w małych paczuszkach.

Kupiliśmy od niej trochę ryżu zawiniętego w rożek skrecony z gazety.

Zdążyliśmy tymczasem zgłodnieć, więc wstąpiliśmy coś zjeść w małej knajpce mieszczącej się w budyńcu podobnym do garażu. O dziwo, mimo późnej, popołudniowej pory oferowali tam jeszcze jagnięcinę lub koźlęcinę, ryż, makaron, a do picia wodę, herbatę, sok z melona lub papai. Dla osób tak głodnych jak my stanowiło to wspaniałe posiłek, toteż zamówiłam spaghetti i wysoką szklanekę soku z melona. Wolałam nie jeść mięsa, którego sama nie przygotowałam, ale mimo to kucharz dołożył mi na talerz płat mięsa. Zdziwiło mnie, że jest twarde - przecież gdyby udusili je w sosie, rozplęwałoby się w ustach.

Pozostałam więc przy swoim spaghetti, a ponieważ obawiałam się infekcji, spytałam, czy mają butelkowaną wodę. Okazało się, że mieli, nawet mineralną, z somalijskich źródeł!

Kelner przyniósł mi butelkę wody stołowej ze źródła „Ali Mohammed Jama”.

Moglibyśmy produkować coś takiego - podsunęłam Mohamedowi, ale nie zainteresował się tym pomysłem. Poganiał, by jeść szybko, bo musieliśmy jeszcze zabrać ze szpitala mojego ojca i Burhaana.

Mohammed trzymał kasę, a przynajmniej tak mu się wydawało, więc zapłacił

rachunek. Podzieliliśmy się tak, że ja zostawiłam sobie dolary, a on zaopiekował się walutą somalijską. Dużo kłopotu przysparzał fakt, że w obiegu krążyły dwa rodzaje pieniądza -

drukowany na Północy i na Południu przez klan Darod. Mało tego - różna była ich wartość, więc wciąż wypytywałam, ile co kosztuje.

Mohammed za każdym razem zbywał mnie: „Niech cię o to głowa nie boli, już ja się tym zajmę!”. Odpowiadała mi ta sytuacja, bo nie chciałam, aby mnie oszukano. Tymczasem stryjek zmęczył się upałem, więc postanowiliśmy zatrzymać się w domu naszego kuzyna, aby mógł odpocząć przed drogą powrotną. Podczas gdy odpoczywał, miałam zamiar wymienić pewną sumę pieniędzy w miejscowym banku. Oczywiście Mohammed zaraz się ze mną pokłócił, bo nie chciałam, żeby tam ze mną szedł.

- Sama nie wiesz, co robisz, Waris - dowodził z błyskiem w oku. - Powinienem jechać z tobą.

- Ależ nie martw się o mnie! - przekonywałam. - Lepiej zostań ze stryjkiem, a ja pojedę z Raggem. Ty zaraz wpakowałbyś się w kłopoty.

Mohammed obraził się, a kiedy próbowałam z niego wydobyć, o co chodzi, burknął pod nosem, żebym nie ufała Raggemu.

Kuzyn to nie to samo co rodzony brat - tłumaczył. - Nie dawaj mu pieniędzy do rąk, bo nie wiesz, ile ci odda.

Jednak mieliśmy z bratem zbyt podobne charaktery. Trafiła kosa na kamień! Obrzydły mi jego ciągłe próby dyktowania mi, co mam robić. Po prostu wyszłam więc razem z Raggem i pojechaliśmy do banku.

W krajach muzułmańskich nie jest przyjęte, aby kobiety wchodziły do banku, więc dałam Raggemu czterysta pięćdziesiąt dolarów, a sama czekałam w samochodzie, kiedy poszedł je wymienić. Bank mieścił się w prostokątnym budynku przypominającym raczej magazyn. Ragge szybko wrócił i przyniósł wymienioną walutę, rozłożoną tak, jak prosiłam, na trzy kupki. Przeznaczyłam bowiem wcześniej równowartość stu dolarów dla ojca, dwieście pięćdziesiąt dla matki, a sto - na drogę powrotną. Ragge rozliczył się ze mną co do szylinga, nawet zaopatrzył każdą transzę w karteczkę z napisem, na jaki cel jest przeznaczona. Na wszelki wypadek kazał sobie wypłacić w obu walutach używanych w róż-

nych częściach kraju, w razie gdyby odmówiono przyjęcia którejś z nich.

Mohammed czekał na nas w domu kuzyna, ale był na mnie obrażony i przez pierwszą godzinę w ogóle się nie odzywał, ba, udawał, że mnie nie zauważa. Nie przejmowałam się tym, bo akurat zaczęli się schodzić różni bliźsi i dalsi krewni, którzy dowiedzieli się o naszym przybyciu. Nawet nie przypuszczałam, że mam tak liczną rodzinę! Każdy chciał się ze mną przywitać, co było nawet miłe, ale gorzej, że niektórzy chcieli też czegoś ode mnie, a ja, niestety, niewiele mogłam dla nich zrobić.

Na przykład wujek Ali zawołał małą dziewczynkę. Kazał jej podejść i usiąść obok mnie.

- To dziecko jest bardzo chore i potrzebuje twojej pomocy oznajmił.

- A co jej jest? - spytałam, biorąc małą za rączkę.

- No, ma jakąś taką paskudną chorobę.

- Nie wie wujek jaką?

- Nie wiem, ale widać, że ona schnie w oczach. Wszystkie włosy jej wypadły i przestała rosnać.

Zewnętrzny wygląd dziewczynki nie zdradzał żadnych objawów chorobowych, ale trudno było cokolwiek zauważyć, gdyż miała na sobie długą sukienkę, a głowę i twarz okrywaną szalem według zwyczajów somalijskich.

- Mogłabyś zabrać ją do Stanów Zjednoczonych, tam by jej na pewno pomogli -

zażądał wujek.

- Chciałabym jej pomóc, wujku, ale naprawdę nie dam rady - broniłam się.

- A niby dlaczego nie możesz jej pomóc? Tam u ciebie na pewno by ją wyleczyli, a u nas nie ma lekarstw na takie choroby. Powinnaś wziąć ją do siebie i zrobić wszystko, żeby ją uratować!

- Proszę cię, wujku! - przekonywałam. - Mam dosyć własnych kłopotów i obowiązków, o jakich nie masz pojęcia. To, że mieszkam na Zachodzie, nie oznacza, że żyję w luksusie.

Widziałam, że moja argumentacja do niego nie trafia.

Jakie ty tam możesz mieć kłopoty? - szydził. - To u nas toczą się walki i żołnierze biegają z karabinami jak opętani! To u nas nie ma porządnego szpitala, a często brakuje także jedzenia! Co jeszcze może być gorszego?

Nie potrafiłam mu wytłumaczyć, że nie mogę zabrać chorego dziecka do Nowego Jorku, musiałabym za nie odpowiadać.

Wujku, będę się za nią modlić, ale naprawdę nie mogę jej zabrać ze sobą. Spróbuj to zrozumieć.

Pogłaskałam małą po rączce, uścisnęłam serdecznie i szybko wstałam, wymawiając się, że już późno, a musimy jeszcze wrócić po ojca.

W samochodzie usiadłam obok stryja na tylnym siedzeniu, bo Mohammed nadal się na mnie gniewał. Nawet się nie odwrócił, tylko patrzył na drogę przed sobą. Pojechaliśmy prosto do szpitala, ale zanim zabraliśmy ojca i Burhaana, zrobiło się ciemno, a do pokonania mieliśmy ponad sto mil. Ledwo wyjechaliśmy z Galcaio, ojciec nagle zapytał, dokąd jedziemy. Kiedy mu wyjaśniłam, oświadczył, że zmienił zdanie i nie ma zamiaru wracać do domu mojej matki.

Tam nie pojedę! - powtarzał, chociaż był stary, osłabiony chorobą i bezradny, gdyż nic nie widział. Stryj próbował go przekonać i w tym celu usiadł przy nim, otoczył go ramieniem i coś mu cicho tłumaczył. Po raz pierwszy widziałam, jak ci dwaj starsi mężczyźni, w końcu rodzeni bracia, siedzieli tak, podtrzymując się nawzajem. Mimo powagi sytuacji miło było widzieć, jak zbliżyli się do siebie.

Ojciec jednak nie ustępował, więc z kolei ja zaczęłam go prosić, żeby został z nami choć kilka dni.

Nie widziałam cię od dwudziestu lat - naciskałam. - Mohammed i ja niedługo musimy wracać, więc jeśli nie zostaniesz z nami, już się nie zobaczymy.

W końcu dał się ubłagać, ale prosił, żebyśmy zajechali do jego domu i zabrali stamtąd jego *rzeczy*.

- A gdzie to jest? - zapytałam.

- Gdzieś tam... - Pomachał lewą ręką w powietrzu.

- Ależ, tato, jest już ciemno i nic nie widać.

Od razu wpadł w złość i podniesionym głosem zaczął komenderować: Jedź, dziecko, gdzie ci każe! Chyba wiem, co robię! Zarówno moi bracia, jak i ja nie mogliśmy powstrzymać śmiechu, nawet Mohammed musiał zaprzestać dąsów, bo dostrzegął

komizm sytuacji. Oto nasz ojciec, chociaż ślepy i bezradny, nadal chciał rządzić i wskazywać nam drogę, chociaż jej nie widział. Przednie światła samochodu oświetlały jedynie kamienistą i zapyloną nawierzchnię. Kiedy ojciec nakazał skręcić w lewo - zjechaliśmy prosto na pustynię. Po chwili znów zawołał:

- Skręcajcie tutaj! - Nie było nic widać, ale dopytywał: - Widzisz kopiec termitów?

- Tak, widzę - odpowiedział zaskoczony Mohammed.

- No to skręcaj w lewo.

Ojciec wydawał polecenia z taką pewnością siebie, jakby codziennie jeździł tą drogą, i to po ciemku. Trudno było przewidzieć, jak to się skończy, bo nie widzieliśmy przed sobą dalej niż na sześć stóp i jechaliśmy po bezdrożach, kierując się tylko wskazówkami udzielanymi przez ślepego.

Mniej więcej po piętnastu minutach takiej jazdy ojciec zapytał:

- Widzisz go?

- Co mam widzieć, tato? - nie rozumiał Mohammed.

- No, mój dom! - oznajmił ojciec z niezachwianą pewnością siebie. - O, tam jest!

Rzeczywiście, w światłach wozu zamajaczyły dwie małe chatki ukryte za pagórkiem.

Jesteśmy na miejscu - ucieszył się ojciec.

Który z tych domów jest twój? - zapytałam. Ojciec zmarszczył brwi.

- Chyba ten z czerwonymi drzwiami... - zaczął, ale przerwał i po namyśle zmienił

zdanie: - Zaraz, czy one były czerwone?

- Tato, my naprawdę nie wiemy, jak wyglądał twój dom - zniecierpliwiłam się, więc w końcu zdecydował:

Chyba jednak były czerwone. Weźcie latarkę i szukajcie czerwonych drzwi.

Nie mieliśmy wyboru, więc po prostu podeszliśmy do pierwszego f z brzegu domku.

Mohammed otworzył drzwi i poświecił latarką do 'środku. W smudze światła zobaczyliśmy ubogą kobietę z trojgiem dzieci, więc rzuciliśmy jej tylko: Przepraszamy, pomyliliśmy się.

Kiedy w końcu znaleźliśmy właściwy dom, wewnątrz nie było nic oprócz brudnej podłogi. Wróciłam do wozu i zapytałam ojca:

Tato, co mieliśmy stąd zabrać?

Moje koszule - wyjaśnił, a kiedy się dopytywałam, gdzie mam ich szukać, dodał

niecierpliwie - Nie wiem, dziecko. Muszą być gdzieś w kącie.

Obeszłam więc całą chatkę na czworakach, obmacując po ciemku podłogę z ubitej ziemi. Rzeczywiście, znalazłam w kącie dwie koszule i wojskową bluzę. Były wyplamione, zatechłe i przepeczone, a śmierdziały niesamowicie. Zostawiłam je więc na miejscu i spróbo-wałam tłumaczyć ojcu:

- Tato, te rzeczy na nic ci się nie przydadzą, bo są strasznie brudne.

- Przynieś je! - warknął, toteż zabrałam to, co kazał, a że w drzwiach nie było żadnego zamka - po prostu je przymknęłam.

- Chcieliśmy już jechać dalej, gdy przy samochodzie zauważyłam troje dzieci, które rozprawiały o czymś z moim ojcem. Zagadnęłam, skąd one się wzięły, i usłyszałam odpowiedź:

- Przywitaj się z nimi, to twoi bracia.

Wyjaśnił, że dzieci te ma z kobietą, którą w zeszłym tygodniu odprawił. Poprosiłam, żeby stanęły w światłach wozu, abym mogła je zobaczyć. Chłopcy byli drobni, chudzi, o ufnych oczach, najstarszy miał nie więcej niż dziesięć lat. Nie miałam jednak dużo czasu, by przyjrzeć się moim przyrodnim braciom. Mogliśmy tylko polecić ich opiece Allaha i zostawić na miłosiernej pustyni. Ojciec nie poczuwał się do żadnych wyjaśnień, a i ja wołałam o nic nie pytać. Miałam nadzieję, że więcej

dowiem się od matki.

Przez całą drogę do domu siedziałam między ojcem i stryjkiem przytulona do nich.

Było mi dobrze, bo świadomość, że jestem w swojej ojczyźnie i mam przy sobie ojca, stryja i dwóch braci, działała na mnie kojąco. Znaczyło to dla mnie tyle, że nie myślałam o zmęczeniu. Nie mogłam przestać porównywać mojego życia w Nowym Jorku, w komforcie i obfitości pożywienia, z niewygodami, jakie musiała znosić moja rodzina w Somalii. Ludzie na Zachodzie są tak zarzuceni różnymi rzeczami, że sami dokładnie nie wiedzą, co mają. Moi rodzice bywają czasem głodni i mogliby łatwo policzyć wszystkie przedmioty będące ich własnością, a mimo to są weseli i szczęśliwi. Ludzie na ulicach naszych miast uśmiechają się do siebie i zagadują przyjaźnie.

Natomiast ludzie na Zachodzie sprawiają wrażenie, jakby ustawicznie szukali czegoś, czego im brakuje. Próbuje zrekompensować to sobie zakupami bądź oglądaniem telewizji. W

jednym domu widziałam specjalny pokój przeznaczony do modlitw i medytacji, a wypełniony samymi świecami. Macie pojęcie, cały pokój pełen świec! Tymczasem w naszym domu z trudnością się mieścimy na matach do spania, ale nikt nie narzeka - wręcz przeciwnie, dziękujemy Allahowi, że możemy być razem. W Somalii nie trzeba wydzielać specjalnych miejsc do modlitwy, bo u nas modlitwą jest nawet pozdrowienie. Wtedy, kiedy w Nowym Jorku mówi się: „Cześć!”, co przecież nic nie znaczy - my mówimy: „Allah z tobą!” Na Zachodzie ludzie rozstając się mówią: „Miłego dnia!”, ale to tylko taka zdawkowa formułka.

My w Somalii żegnamy się słowami: „Zobaczymy się, jeśli Bóg pozwoli”. Widocznie Bóg pozwolił, bo mój pierwszy dzień spędzony z rodziną był bardzo miły.

SPRAWY PLEMIENNE

Uroda kobiety nie mieszka w jej twarzy.

Przysłowie somalijskie

Po powrocie do wioski zastaliśmy matkę, siedzącą przy ognisku, głaszczącą kozy i opowiadającą różne historie Nhur, swojej wnuczce i Mohammedowi *Inyerowi*. Kiedy się zorientowała, że moi bracia prowadzą między sobą ojca, zawołała zdziwiona:

- O, Allahu, czy to możliwe? Przywieźliście go tutaj? Jak on się czuje?

- Najlepiej sama go zapytaj - poradziłam. Podeszła więc do mężczyzn i zagadała z właściwym jej poczuciem humoru:

- No, i kogóż my tu widzimy? Odnalazł się nasz zaginiony wielbłąd? A co tu się znowu dzieje? - dodała, delikatnie dotykając bandaża na oczach męża. Na mnie zaś skinęła, abym poszła z nią pomóc jej i przynieść jakieś płachty na posłanie.

Dziwię się, że twój ojciec zgodził się tu z wami przyjechać - powiedziała na wstępie, kiedy znalazłyśmy się tylko we dwie.

- Dlaczego? Myślisz, że nie chciał, abyś go zobaczyła w takim stanie?

- Nie, Waris, to nie to. Widzisz, Burhaan nigdy nie zapłacił rodzicom Nhur wykupu za nią - szepnęła mi do ucha. - Twój ojciec obiecał, że zapłaci, kiedy będzie miał pieniądze.

Tymczasem ona jest zamężna z Burhaanem od dwóch lat, nosi jego drugie dziecko, a jej ojciec i bracia dotąd nie powąchaliby ani grosza, więc się upominają.

- Nie dziwię się. Ona jest taka urocza, że od razu ją pokochałam.

- To prawda, bardzo dba o mnie i o Burhaana, ale jej ojciec domaga się pieniędzy na zabezpieczenie jej przyszłości, w razie gdyby Burhaan chciał ją oddać. Uważa, że jest warta tego, bo była czystą dziewczyną. Twój ojciec obiecał, że da Burhaanowi pięć wielbłądów na wykup, tymczasem zamiast tego zaczął rozpowiadać, że niewarta jest tej ceny, bo nie chce się jej pracować.

- Coś podobnego! Przecież Nhur wstaje najwcześniej ze wszystkich i robi więcej niż inni. To święta kobieta - oburzyłam się.

- No, właśnie, ale te plotki doszły do jej krewnych, którzy zawzięli się, że odnajdą twego ojca i spuszcza mu łanie. Nhur też słyszała, co o niej gadał, i dlatego on teraz wstydzi się spojrzeć jej w oczy. - Moja matka westchnęła. Rozumiała, że ojciec nie może się rozstać ze swoimi ostatnimi wielbłądami, ale to nie usprawiedliwiało faktu, że nie dopełnił

zobowiązania.

W Somalii panna młoda w noc poślubną sama rozcina sobie nożem miejsca, które wcześniej miała zaszyte, aby umożliwić mężowi skonsumowanie małżeństwa. Nazajutrz rano teściowa sprawdza, czy synowa krwawiła, a mimo to wypełniła obowiązek małżeński. Jeśli na potwierdzenie tego znajdzie między udami synowej świeżą krew - wraz z innymi kobietami wykonuje triumfalny taniec przez całą wieś, obwieszczając wszystkim o tym radosnym wydarzeniu. Moja matka też opiewała odwagę i cnotę Nhur. Słyszeli to wszyscy mieszkańcy wioski, podobnie jak na co dzień byli świadkami jej ciężkiej pracy. Cała wioska wiedziała również, że przy urodzeniu córki rozcięto Nhur krocze, a potem zaszyto na nowo. Jasne było, że mój ojciec po prostu nie chciał zapłacić zwyczajowego wykupu, a więc okrzyknięto go tchórzem i skąpcem.

Powinien był powiedzieć im prawdę, że nie ma pieniędzy, gdyż ukradziono mu wielbłądy, a nie rozpuszczać plotki o własnej synowej oświadczyłam.

Wróciłyśmy z naręczami poduszek akurat wtedy, kiedy Nhur witała się z mężem.

Oczywiście nigdy nie pocałowałyby go przy ludziach, ale z jej oczu można było wyczytać, jak bardzo kocha mojego brata. Zaraz od niego przeszła wprost do mojego ojca, który stał

podtrzymywany przez Mohammeda.

Witaj, ojcze - pozdrowiła teścia, spuszczać oczy na znak szacunku, chociaż i tak nie mógł tego zobaczyć. Poznał jej głos i cofnął się, ale sama wyszła mu naprzeciw i wzięła go za ręce, zachęcając łagodnie: - *Aba*, musisz być zmęczony. Chodź, przygotowaliśmy ci wygodne łóżko.

No, proszę, jaką wspaniałą kobietę poślubił mój brat! Ile w niej było godności i wdzięku - powinniśmy się cieszyć, że trafiła do naszej rodziny. Matka sporządziła posłanie dla ojca na dworze, z wszystkich płacht i poduszek, jakie przyniosłyśmy. Nhur powoli i delikatnie pomogła mu się położyć. Do tej pory nie dawał poznać po sobie, jak był zmęczony

- zdradził się dopiero wtedy, gdy padł jak kłoda na poduszki.

Moi bracia położyli się spać obok ojca, jak bywało w latach naszego dzieciństwa.

Kobiety z małymi dziećmi zostawały wtedy na noc w chacie, podczas gdy mężczyźni i chłopcy czuwali na zewnątrz, aby pilnować stad.

Nie mogłam się doczekać następnego ranka, bo nareszcie spełniło się moje marzenie -

obudzić się na łonie rodziny. Właściwie zebraliśmy się prawie w komplecie - brakowało jedynie moich sióstr i Aleeke. Mężczyźni spali dłużej niż my, więc zaśmiewałam się na widok trzech par długich nóg wystających spod przykrycia i tak splecionych ze sobą, że trudno było odróżnić, która jest czyja. W nocy trochę padało, a ponieważ nasi mężczyźni nie mieli gdzie się schować - próbowali przykryć się plastikową płachtą, ale i tak brzegi ich posłania zamokły.

Matka tymczasem poszła nazbierać chrustu na opał, a Nhur wyskoczyła na targ, aby kupić produkty na śniadanie. Zerwała się jeszcze przed świtem, żeby móc wybrać najlepszy towar, ale już wróciła i smażyła *angelle*, której apetyczny zapach kręcił mi w nosie. Mama Wydoiła kozy i przyniosła nam do

porannej herbaty mleka w blaszanym kubku z niebieskim brzegiem. Obrzuciła spojrzeniem płataninę pod kocem i przycięła ironicznie, jak zwykle na cały głos:

Czy te chłopcy mają zamiar spać przez cały dzień?

Słysząc ją było wszędzie, więc błyskawicznie zerwała wszystkich na nogi. Ja ze swej strony zaczęłam dzień od wyprania brudnych koszul ojca. Musiałam dobrze je szorować, bo miałam do dyspozycji tylko płaską miskę i niewielką ilość wody, którą trzeba było nosić z daleka. Postarałam się jednak oczyścić je z brudu jak najlepiej, potem dobrze je wykręciłam i rozwiesiłam do wysuszenia na gałązkach kolczastego krzewu. Ojciec leżał na płachcie rozesłanej pod ścianą chaty, a że już nie spał, usłyszał odgłosy mojej krzątania i zapytał:

- Kto tu jest?

- To ja, ojczy, Waris - odpowiedziałam.

- Podejdź bliżej, Waris. Muszę z tobą porozmawiać.

Okazało się, że tato chciał zamienić ze mną parę słów na temat mojej wczorajszej kłótni z Mohammedem. Chodziło szczególnie o Raggego. Pamiętałam z dzieciństwa, że nigdy nic nie uchodziło uwagi ojca, słyszałby nawet to, co szepnęłabym komuś wprost do ucha. Tak samo było i teraz.

- Słyszałem wczoraj, jak kłóciliście się z Mohammedem o Raggego i pieniądze -

oznajmił. - Chciałem ci powiedzieć, żebyś nie ufała

- Raggemu, zwłaszcza jeśli chodzi o pieniądze.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Przecież to twój bratanek, a z Mohammedem wychowywali się razem jak rodzeni bracia. Czy brat mojego brata nie jest także moim bratem?

- Niby tak - zgodził się ojciec - ale ty, Waris, nie wiesz o nim wszystkiego. Dopiero co przyjechałaś, więc poznałaś tylko jedną jego twarz. Posłuchaj mnie, Waris, nie chcę, żebyś miała z nim cokolwiek wspólnego.

- Nie rozumiem, co masz przeciwko niemu - obruszyłam się. Lubiłam rozmawiać z Raggem, bo świetnie mówił po angielsku, a Mohammed i Burhaan nie znali tego języka.

Podejrzewałam, że to ich najbardziej złościło - że mogę rozmawiać z kimś tak, iż oni tego nie rozumieją, a więc nie mogą mnie kontrolować. Ja zaś zbyt długo już żyłam na własny rachunek, aby pozwolić mężczyznom dyktować mi, co mam robić.

Ojciec podciągnął się nieco, podpierając się na rękę, choć wyraźnie sprawiało mu to ból.

- Pamiętaj, Waris - pouczył. - Na pierwszym miejscu stawiaj zawsze rodzonych braci przed przyrodnymi, przyrodnich przed kuzyna- i, swój klan przed obcym klanem, a swoje plemię przed

innym plemieniem.

- *Aba*, nie obchodzą mnie te wszystkie klany i plemiona - próbowałam przemówić mu do rozsądku, siadając przy nim i biorąc go za rękę. - Co konkretnie masz przeciwko *Raggemu*? Co takiego uczynił, aby nie można mu było ufać?

- Jest złym synem i nie traktuje swego ojca jak należy - odparł stanowczo mój ojciec. -

Powinien opiekować się nim i strzec jego stad.

- Ty poznałaś go tylko z lepszej strony i nie wiesz, jaki jest dwulicowy !

Tymczasem wrócili *Mohammed* i *Burhaan*, więc dotarło do nich, o czym rozmawiamy. Oczywiście stanęli po stronie ojca i zaczęli prawić mi kazanie:

- Ty głupia, zaślepiona dziewczyno, dlaczego sprzeciwiasz się ojcu? Masz słuchać, co on mówi!

Zaprotestowałam i poprosiłam ich grzecznie, żeby nie zwracali się do mnie w taki sposób. Oczywiście każdy uważa swoją najbliższą rodzinę za najbardziej godną zaufania, ale nie zawsze jest to zgodne z prawdą. Nie każdy, kto nie jest naszym krewnym, automatycznie ma wobec nas nieczyste zamiary. Nie rozumiałam, dlaczego właśnie ten problem jest dla moich panów tak ważny, że aż trawią cały poranek na jego roztrząsaniu. Jednak w Somalii dyskusja dla samej wymiany argumentów jest niezmiernie ważnym składnikiem życia rodzinnego.

Mama przysłuchiwała się zza węgła naszej rozmowie z dziwnie tajemniczą miną. Od razu się domyśliłam, że ma coś ważnego do powiedzenia.

- Czemu tak się uśmiechasz, mamó? - zaatakowałam. Matka obejrzała się za siebie z takim błyskiem w oku, jakby miała dla mnie niezwykłą niespodziankę. Spojrzałam w tym samym kierunku i dostrzegłam za jej plecami mężczyznę prawie równie wysokiego jak *Mohamed*. Spoglądał na mnie osłupiałym wzrokiem, a ja też wytrzeszczyłam oczy, co szalenie rozśmieszyło matkę.

- Nie poznajesz swojego małego braciszka? - spytała. Rzeczywiście, kogoś mi przypominał, ale nie od razu skojarzyłam kogo. Dopiero kiedy mrugnął figlarnie na mnie i pokazał mi język, domyśliłam się, że to mój młodszy brat *Rashid*. Wyrósł na wysokiego, postawnego mężczyznę z małym wąsem i krótką bródką, w uśmiechu pokazującego dwa rzędy równych, białych zębów. Nosił zielony burnus drukowany w złoty deseń, narzucony na brązową, kraciastą koszulę. Na co dzień przebywał w buszu, gdzie doglądał tych wielbłądów ojca, które mu jeszcze pozostały, a do wsi zajrzał tylko po prowiant. Nie wiedział więc o przyjeździe *Mohammeda* ani moim, toteż oboje byliśmy mile zaskoczeni. To dlatego mama tak tajemniczo się uśmiechała! Przez całe moje dzieciństwo tak się jakoś składało, że nigdy rodzina nie była w komplecie, zawsze kogoś brakowało. *Mohammed* mieszkał w mieście, ktoś wyprawiał się na poszukiwanie żywności i wody, kto inny strzegł wielbłądów w buszu, a ja uciekałam z domu, kiedy *Rashid* biegał jeszcze bez majteczek.

Uściskałam go serdecznie, czując, jakie ma mocne ramiona. Z *Mohammedem* przywitali się równie wylewnie, ale zaraz zaczęli stroić sobie żarty. Skorzystałam z okazji i zapowiedziałam:

- Poczekajcie, zaraz przyniosę aparat i zrobię zdjęcia moim wspaniałym braciom.

Czym prędzej czmychnęłam do chaty i zaczęłam gmerać w moich bagażach. Zanim jednak wybiegłam na dwór z aparatem - obaj chłopcy gdzieś znikli. Matka poszła wysypać kozom skórki pomarańcz i resztki niezjedzonych rano placków, a ja udałam się na poszukiwanie braci.

Na tyłach naszego domu, w pewnej odległości od zabudowań, wyrósł wielki kopiec termitów, sterczący z ziemi pod kątem prostym jak wystawiony palec. Na jego czubku siedział Rashid. Jako mała dziewczynka lubiłam wdrapywać się na takie kopce i pamiętam, jak matka opowiedziała mi, że te wielkie budowle powstały ze śliny malutkich termitów.

Podawała mi to jako pouczający przykład zgodnej współpracy całego plemienia.

- Właziłam już na pięć razy wyżej niż ten! - zawołałam do niego, a Rashid znów pokazał mi język. Chętnie wspiełabym się tam, gdzie on, ale miałam na sobie tylko długą somalijską suknię, która krępowała mi ruchy, więc dodałam: - Zaraz bym ci pokazała, gdyby nie ta cholerna kiecka!

Jako dziecko radziłam sobie w ten sposób, że przeciągałam tylny rąbek sukienki między nogami i zatykałam go za pasek. Powstawało wtedy coś w rodzaju spodni. Korciło mnie, żeby i teraz tego spróbować, ale doszłam do wniosku, że w moim wieku za późno na takie wygłupy- Nie chciałam zresztą nikogo prowokować.

Patrząc z dołu na Rashida siedzącego na kopcu termitów, dopiero teraz zauważyłam, że jest bosy. Żeby dorosły mężczyzna, i to mój l brat, nie miał butów? Nic dziwnego, że podeszwy stóp miał zgrubia- • je i spękane jak skóra słonia. Wszędzie walało się pełno ostrych kamieni, a pamiętałam, jak potrafiły ranić stopy. Ja biegałam na bosaka j jako dziecko, ale mój brat nie dorobił się butów nawet po dwudziestu latach życia. Postanowiłam więc, że sprawię mu porządne, skórzane sandały, bez względu na to, skąd je wezmę. Jeśli nie dostanę ich w sklepie, to zamówię u szewca, ale mój brat nie będzie musiał biegać boso po pustyni! Zapowiedziałam więc:

- Rashid, zanim wrócisz do buszu, dostaniesz ode mnie buty.

- Lepiej daj mi pieniądze, to sam sobie kupię - zaproponował.

Obawiałam się jednak, że otrzymane pieniądze przeznaczyłby na *khat*, więc sprzeciwiłam się stanowczo:

- Nie, pójdziemy razem na targ i wybierzesz sobie takie, jakie zechcesz.

Dziękowałam Allahowi, że stać mnie na kupno butów dla Rashida, lekarstw dla ojca i stryja. Wróciliśmy razem do matki, która użyła przyniesionego chrustu do rozpalenia ogniska i przyrządziła nam na śniadanie ryż, fasolę i herbatę.

- Co zrobili w szpitalu ze stryjkiem Ahmedem? - spytał mnie Rashid po drodze. -

Słyszałem, że zły duch zajął mu połowę ciała.

- Lekarz zbadał go i dał mu słoiczek pigułek - odparłam. - Nie powiem ci dużo więcej, bo i ze mną nikt tam nie chciał mówić.

- A co to był za lekarz? - chciał wiedzieć Rashid.

- Jeżeli o to ci chodzi, to powiedział, że jest neurochirurgiem i studiował we Włoszech.

- Dobrze, ale z jakiego był klanu?

- Skąd mam wiedzieć? A zresztą co to ma do rzeczy?

- Jeśli jest z innego klanu niż my, to nie poświęci nam tyle czasu ani nie otoczy taką opieką jak swoich współplemieńców.

- Przede wszystkim jest lekarzem, więc klany i plemiona nie powinny mieć dla niego znaczenia - sprostowałam. - Podejrzewam, że raczej nie chciał rozmawiać z kobietą.

Przyzwyczał się do obcowania głównie z mężczyznami i pewnie, tak jak wszyscy tutaj, sądzi, że kobiety są głupie.

- *Hiyea*. - Rashid musiał zgodzić się z tą argumentacją. Akurat przechodziła obok nas moja matka, więc zagadnął ją, kto w tej chwili używa butów.

Sęk w tym, że w całym naszym domu znajdowała się tylko jedna para obuwia zdatna do użytku i wszyscy wrywali ją sobie nawzajem. Bez przerwy słychać było przekrzykiwanie się: „Kto ma buty? Gdzie one są? Muszę za potrzebą... Zbliży się pora modlitwy i muszę się umyć...”. Cztery osoby na zmianę używały jednej pary tanich, gumowych kłapek z rodzaju takich, jakie rozpadają się po dwóch dniach noszenia. Były to bowiem „japonki” z paskiem między palcami, który prędko się odrywał, a wtedy nie trzymały się na nogach. Matka, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy po przyjeździe, nosiła takie kłapki nie od pary, każdy w innym kolorze, a w jednym brakowało już połowy podeszwy. Zaproponowałam więc Rashidowi:

- Chodźmy na targ i kupmy jeszcze kilka par butów, żeby nie marnować czasu, czekając na nie.

- Przecież czas nie jest twoją własnością, Waris, jakże więc możesz go marnować? -

Rashid zaśmiał się, błyskając perłową bielą zębów.

Od razu wyczułam, że to urodzony żartowniś, więc odwzajemniłam mu się tym samym:

- Owszem, na przykład rozmowa z tobą to strata czasu.

W końcu jednak i on, i Ragge zgodzili się towarzyszyć mi na targ. Ragge zażyczył

sobie ni mniej, ni więcej tylko wysokich, czarnych kaloszy! Spojrzałam na niego ze zdziwieniem i próbowałam wyperswadować mu ten pomysł:

- Na co ci kalosze w takim upale? Przydałyby ci się raczej w Londynie.

Jednak mój kuzyn miał oryginalne podejście do spraw mody, więc kupiłam mu to, co chciał. Nabyłam jeszcze dwie pary kłapek, kadzidło, moździerz do rozdrabniania przypraw.

Rashidowi nie podobało f si? nic z obuwia oferowanego tego dnia do sprzedaży, więc uzgodniliśmy, że wybierzemy się po zakupy kiedy indziej. Spodobały mu się 'natomiast moje okulary przeciwsłoneczne, toteż mu je dałam. Będą • chronić jego oczy przed słońcem podczas pasania stad ojca.

Wieczorem wdałam się z braćmi i resztą rodziny w burzliwą dyskusję o klanach i plemionach. Ojciec reprezentował klan Darod, jedno z najważniejszych plemion środkowego południa Somalii. Po części przynależał także do klanu Mijertain. Moja rodzina zamieszkiwała Haud - terytorium przy granicy z Etiopią. Pełne imię i nazwisko ojca brzmiało Dahee Dirie. Matka natomiast należała do innego ważnego klanu, Hawiye. Wychowała się w Mogadiszu - mieście, które kiedyś było stolicą całej Somalii. Kiedy ojciec starał się o jej rękę

- dostał kosza, bo przyszła teściowa uważała członków klanu Darod za dzikich koczowników i obawiała się, że taki zięć nie utrzymałby jej córki. Jednak matka uciekła z nim i nigdy nie oglądała się wstecz. Jej bracia i siostry rozproszyli się po całym świecie i tylko ona jedna została na pustyni.

Najbardziej liczącymi się klanami w moim kraju są: Dir, Darod, Issaa i Hawiye.

Przeważająca część mieszkańców Somalii należy do któregoś z nich, posługuje się językiem somalijskim i wyznaje islam. Mieszkańcy południa, zwłaszcza okolic Kismayu, należą także do mniejszych klanów, jak Rahanwayn i Digil. Członkowie naszego klanu prowadzili tradycyjnie pasterski tryb życia, dopiero ostatnio wielu z nich osiadło w miastach. A dla koczowników bardziej liczy się przynależność klanowa niż adres, który ciągle się zmienia.

Nie jest to sytuacja w pełni zrozumiała dla Europejczyków, dlatego granice Somalii wytyczone zza biurka pozostawiły wielu rdzennych Somalijczyków poza obrębem kraju. I tak, pięć gwiazd na fladze somalijskiej oznacza: Somalię, Somaliland, Dżibuti, Ogaden i diasporę somalijską w Kenii.

Kiedy byłam jeszcze dorastającą dziewczynką, niezbyt przemawiały do mnie zawilości podziału klanowego. Oczywiście byłam dumna z przynależności do klanu Darod, gdyż jego członkowie cieszyli się opinią nieustraszonych - nawet nazywano ich *La'Bah*, czyli Lwami. Teraz jednak chciałam zrozumieć, dlaczego te kwestie znaczą tak wiele dla mojego ojca i braci, tym bardziej że odgrywają istotną rolę również w skali kraju.

Siad Barre na początku swoich rządów zapowiadał, że zlikwiduje system plemienny, a potem sam zaczął prowokować konflikty między plemionami, aby odwrócić uwagę społeczeństwa od innych problemów. Po roku 1991, kiedy Siad Barre opuścił kraj i upadł

jego rząd, klany zaczęły zwierać własne szeregi, aby wyłonić spośród siebie ośrodek dyspozycyjny. Wynikłe stąd walki o władzę pogrzyżyły kraj w narastającym chaosie.

Uważałam to za niepoważne i powiedziałam braciom, co o tym myślę.

- Podziały plemienne niszczą Somalię - oznajmiłam.

- Darod jest w tej chwili najpotężniejszym i najbardziej liczącym się klanem -

zareplikował Burhaan.

- Tak, wiem, że jest znany z dumy i odwagi - przyznałam. Wiedziałam przecież, że członkowie innych klanów próbowali podawać się za ludzi z Darod, ale zawsze ich demaskowano. - Ale w przyszłym rządzie każdy powinien mieć prawo głosu.

- Zobaczymy, jak to wszystko dalej się potoczy, ale ja osobiście wolałbym nie dzielić się władzą z innymi klanami.

- Właśnie ten obłęd na punkcie klanów rujnuje nasze społeczeństwo - sprzeciwiłam się. - Z zewnątrz lepiej widać, że wszyscy w tym kraju jesteśmy tacy sami. Wyglądamy podobnie, mówimy tym samym językiem i myślimy tymi samymi kategoriami, więc najwyższy czas zjednoczyć się i zaprzestać tych sporów.

Ten temat doprowadzał mnie do szału, bo dla reszty świata byliśmy wszyscy po prostu Somalijskimi, a między sobą nie mogliśmy się dogadać.

Matka przyniosła nam herbatę, a Rashid zaczął sobie stroić ze mnie żarty.

- Waris, a ty za kogo się uważasz? Potrafisz wyrecytować swój rodowód?

- Należę do klanu Darod - zaczęłam.

- Dobrze, a co więcej?

- No, więc nazywam się Waris Dirie, mój ojciec był Dahee, a dziadek Mohammed Suliman Dirie... - Bracia przyjęli śmiechem tę wyliczankę, bo dalej następowało około trzydziestu imion dalszych przodków, a ja, po wymienieniu pierwszych trzech, zakończyłam:

- inni już dawno nie żyją!

Moja matka, której pełne imię i nazwisko brzmiało Fattuma Ahmed den, potrafiła wymenić całą genealogię swojej rodziny poprzez ojca, dziadka, pradziadka i tak dalej. U nas dzieci otrzymywały nazwisko ojca, ale kobieta, wychodząc za mąż, zachowywała swoje nazwisko rodowe. Moi bracia próbowali nauczyć mnie drzewa genealogicznego naszej rodziny, ale recytowali je tak szybko, że nie potrafiłam nawet powtórzyć ich wymowy.

Przypominało to utwory rapowe, zaczynające się od wspólnego przodka, do których w każdym pokoleniu dochodziło nowe nazwisko. Moi krewni uważali, że prestiż rodziny bądź

klanu zależy od liczby znanych pokoleń przodków. Spróbowałam polemizować z tą tezą.

- Żebyście wiedzieli, że poza granicami Somalii nikogo to nie interesuje. Komu jest potrzebna taka wyliczanka? Mohammed, czy tobie w Amsterdamie to się na coś przydało? Bo ja z tego chleba nie miałam.

Mohammed przycichł, jakby przypomniawszy sobie coś strasznego.

- Kiedy *Afweyne* doszedł do władzy, miał wiele różnych pomysłów. Zdecydował, że w Somalii ma być stosowany alfabet łaciński, i kazał otworzyć mnóstwo szkół. Potem zabrakło mu pieniędzy na opłacenie nauczycieli i nakazał uczniom, aby sami szli w busz i podejmowali nauczanie koczowników. Miała to być wielka akcja walki z analfabetyzmem.

- Pamiętam, to w ramach tej akcji próbowałeś nauczyć liter mnie i Starca -
przypomniawszy.

- Tak, ale wtedy byłem bardzo dumny, że mieszkam w mieście, a was uważałem za ciemnych koczowników i wcale nie chciałem was niczego nauczyć.

- Pamiętam także i to, że uderzyłeś mnie kijem, którym pisałeś litery - dodałam.

- Tymczasem *Afweyne* sam stał się największym zwolennikiem podziałów plemiennych. - Mohammed z westchnieniem powrócił do

- Poprzedniego tematu. - Jeśli dziewięciu mężczyzn chciało się z nim spotkać, zgadzał

się rozmawiać tylko z przedstawicielem każdego klanu oddzielnie. A wielu członków klanu Issaq zamordowano jedynie dlatego, że należeli do tego klanu... - Urwał, jakby nie chciał już powracać do tych bolesnych spraw.

- Za to, kiedy jesteś w potrzebie, ludzie z twego klanu zawsze ci pomogą -

przechwycił pałeczkę Burhaan. - Ten doktor w szpitalu nie chciał z nami gadać, bo to nie nasz człowiek.

- A powinien tak samo traktować każdego - zwróciłam uwagę.

Przypomnij sobie, jak się tu dostaliśmy - ponownie włączył się Mohammed. -

Kierowca zgodził się nas przywieźć, bo był z nami spokrewniony. Wiedział, że jeśli będzie czegoś potrzebował, to i my mu nie odmówimy.

Zanim w roku 2000 przyjechałam do kraju, cieszyłam się, kiedy po raz pierwszy od 1991 Somalijczycy wybrali nowego prezydenta. Teraz na własne oczy zobaczyłam, że to niczego nie zmieniło.

- Jak więc macie zamiar utrzymać niepodległe państwo, jeśli klany nie potrafią ze sobą współpracować? - zapytałam.

- Mamy dwa państwa - odparował Burhaan.

- No i jak to się sprawdza?

- To, co jest na północy, nazywa się Somaliland, a na południu właściwa Somalia.

Wyróżnia się jeszcze Puntland, na północnym wschodzie, to terytorium otaczające Galcaio, ale używane są tylko dwa rodzaje walut. Na południu w obiegu są jeszcze pieniądze wprowadzone przez Siada Barre, a na północy banknoty Somalilandu, z wizerunkiem Mohammeda Ibrahima Egala.

W latach mojego dzieciństwa wszelkie problemy rozwiązywała starszyzna plemienna.

Jeśli na przykład pobili się dwaj przedstawiciele różnych klanów i jeden z nich wybił

drugiemu oko - jego klan żądał odszkodowania od klanu, z którego pochodził sprawca. Wtedy pod wielkim drzewem gromadzili się mężczyźni z obu klanów i tak długo dyskutowali, aż ustalili wysokość nawiązki, czyli *diya*. Oczywiście okaleczenie kobiety szacowano niżej niż mężczyzny, ale w spłacie nawiązki uczestniczyli wszyscy członkowie zainteresowanego klanu. Teraz nie spotykało się już takiej solidarności. Ktoś, kto mieszkał, na przykład, w Mogadiszu, mógł się odcinać od problemów, które go nie dotyczyły.

- Potrzebne nam państwo prawa, a nie plemienne - wyraziłam swój pogląd, ale moi bracia nie wiedzieli, co to takiego. Mohammed ubolewał, że dawne tradycje odeszły w niepamięć.

- Nikt już nie słucha starszych, a samozwańczy przywódcy wójtowi nie panują nad własną armią...

Dalej dyskutowali w tym duchu, więc wolałam usiąść z kobietami przed chatą i podziwiać wschód księżycy nad chmurami. Zauważyłam, że mama zaniósła sąsiadce kubek mleka z ostatniego udoju. Miała wszystkiego cztery kozy, ale dzieliła się ich mlekiem z innymi. Widziałam, jak szła między rzędami chat otoczonych płotkami z ciernistych krzewów, pieczołowicie piastując w dłoniach blaszany kubek wymalowanym czerwonym kwiatkiem. Nosiła stale tę samą suknię i połamane, niedobre kolorem klapki, a głowę nakrywała wystrzępionym szalem. Nachyliła się w niskich drzwiach domku sąsiadki i spędziła tam kilka minut, a potem dyskretnie wyszła. Na chwilę zatrzymała się, zakładając ręce za plecami i kontemplując barwne smugi, pozostawione przez zachodzące słońce. Potem ruszyła z powrotem, wymachując pustym kubkiem założonym na palec, aby następnie zawiesić go na gwoździu przy drzwiach. Moja mama zawsze miała dobre serce.

- Mamo, usiądź tu ze mną, pokażę ci, co dla ciebie przywiozłam - zaproponowałam.

Przecież ta kobieta od rana do nocy nie spoczęła ani na chwilę. Gdybym tak mogła dać jej to wszystko, czego nigdy nie miała w życiu!

- Już sobie wyobrażam, coś ty tu przywiozła. - Westchnęła żartobliwie, ze swoim zwykłym półuśmiechem. Najwyraźniej nie wierzyła, że z Nowego Jorku można przywieźć coś pożytecznego. Rozejrzała się jeszcze i dodała: - Tylko nie tutaj, Waris, dobrze? Jeśli ktoś zobaczy, że rozdajesz jakieś rzeczy, cała wioska się tu zbiegnie, obsiada nas wkoło i nie ruszą się, dopóki czegoś nie

dostaną.

Oczywiście matka miała rację. Moi krewni nie poprosiliby mnie o nic, ale siedzieliby i patrzyli mi na ręce, dopóki nie dałabym im jakiegoś podarunku. Weszliśmy więc z Nhur i mamą do jej domku i zapaliłyśmy lampkę. Nhur natychmiast zaczęła patroszyć moje rzeczy, zarzucając mnie gradem pytań:

- A co to jest? A do czego to służy?

- Zaraz, zaraz - powstrzymałam ją. - Powiem wam wszystko, co jest co, jeśli poczekać chwileczkę.

Najpierw wyjęłam słoiczek masła kakaowego.

- To taki *subaq* - zapowiedziałam i odkręciłam wieczko, ale za nim zdążyłam uprzedzić obie kobiety - powsadzały palce do środka i oblizwały je.

- Tfu, paskudztwo! - wybrzydzała moja matka. - To takie rzeczy jada się w Nowym Jorku? Nic dziwnego, że jesteś taka chuda.

- Ależ to nie jest do jedzenia! - sprostowałam. - Tym się smaruje ręce i ciało.

- To nie można na tym gotować? - upewniała się moja matka.

- Nie, ale to dobrze robi na skórę. Twarz, nogi i w ogóle...

- Ładnie pachnie. Dlaczego nie można tego jeść?

- Bo tego się nie je. To jest tylko do skóry.

- W takim razie *subaq ghee* jest dużo lepszy, bo można go jeść, smażyć na nim i używać do skóry. Co tam masz jeszcze? - Wzruszając ramionami, zwróciła mi słoiczek. - A to znów co?

Podsunęłam jej buteleczkę oliwki dziecięcej Johnsona, mówiąc:

- To jest taki olejek, którym możesz smarować sobie twarz, włosy i wszystko, co chcesz. Działa podobnie jak tamto masło kakaowe.

Matka obróciła w rękę buteleczkę, ale ścisnęła ją za mocno i zamiast wydusić kropelkę - opryskała całą podłogę z ubitej ziemi. Wystraszyła się tego i odskoczyła, upuszczając butelkę.

- Co to za płyn? - indagowała, rozcierając odrobinę między palcami.

- Powąchaj, mamó - zaproponowałam. - Wetrzyj to w skórę sobie albo dziecku.

Mama powąchała swoją rękę i widocznie spodobało jej się to, bo powąchała znowu.

- Uch! - cmoknęła z aprobatą. - To mi się podoba. Pachnie naprawdę pięknie.

Natarła olejkiem dłonie i podziwiała, jak w świetle lampki od razu zrobiły się błyszczące.

- Muszę to dobrze schować - zdecydowała.

- Ależ po co, mam? - zdziwiłam się. - To przecież nic wielkiego. Gdyby ktoś chciał trochę tego, daj mu śmiało. Mogę przywieźć ci takiego olejku, ile zechcesz.

Nie wiem, kiedy cię znowu zobaczę, i wolę nie ryzykować - orzekła stanowczo.

Zaczęła szperać w swoich ubogich „skarbach”, aż znalazła klucz i podniszczoną, drewnianą skrzynkę. Zamknęła w niej oliwkę i z satysfakcją poklepała skrzynkę, odstawiając ją do kąta.

- To bardzo cenna rzecz, przynajmniej będzie tu bezpieczna!

Przywiozłam także kilka małych lusterek. Jedno, ozdobne, przeznaczyłam dla matki, żeby nareszcie zobaczyła, jaka jest piękna. Niektórzy także mnie uważają za piękną, ale nie mam nawet połowy jej urody. Owszem, jestem do niej trochę podobna i przez dłuższy czas pomagało mi to w życiu. Dużo zawdzięczam jej urodzie, więc chciałam, aby po raz pierwszy w życiu zobaczyła swoje odbicie w lustrze ze srebrną rączką, ramką rzeźbioną w liście i kwiatowym wzorem na odwrocie.

- Zobacz, mam, mam tu dla ciebie coś specjalnego.

- Nie wykazała zbytniego entuzjazmu.

- Och, Waris, nie potrzebuję niczego specjalnego.

- Ależ chodź tu i zobacz! - zachęciłam. Podałam jej lustro, ale wzięła je nie z tej strony, co trzeba, gdyż nie miała pojęcia, do czego to służy. Musiałam podsunąć jej lustro właściwą stroną pod nos. - Popatrz tu, a zobaczysz, jaka jesteś piękna.

Kiedy matka w końcu zauważyła własne odbicie, początkowo myślała, że to twarz kogoś obcego i odskoczyła ze strachem.

- Mamo, tam nie ma nikogo. To ty! - uspokoiłam ją. Przytrzymałam lustro na wysokości jej oczu, a wtedy mama przyjrzała się swemu odbiciu raz, potem się odwróciła, spojrzała po raz drugi, i jeszcze raz, i jeszcze... Dotykała ręką swojej twarzy i włosów, odciągała sobie policzki, przyglądała się zębom, kręciła głową na wszystkie boki... Trwało to przez pewien czas, wreszcie jęknęła:

- O, Allahu, to ja już jestem taka stara? Nie wiedziałam, że tak okropnie wyglądam.

- Ależ, mam, jak możesz tak mówić? - wyszeptałam przerażona. Tylko spójrz na mnie! - wybuchnęła. Powiodła wzrokiem ode mnie do Nhur, mrużąc oczy w przyćmionym świetle lampki. - Co się porobiło z moją twarzą? Byłam kiedyś taką piękną kobietą... To wy i wasz ojciec wyszaliście ze mnie życie!

Odwróciła lustro w drugą stronę i zwróciła mi je, zaskakując mnie i sprawiając mi przykrość. Wiedziałam jednak, że mama była zawsze mną szczerą i nie potrafiłaby udawać, że podoba się jej mój prezent. Szybko wepchnęłam lustro do torby i żałowałam, że w ogóle z tym wyskoczyłam. Matka

nie przyjęłaby czegoś, co nie byłoby jej potrzebne, bo koczownicy nie chcieli się obciążać zbędnymi przedmiotami. Dla niej liczyła się tylko rodzina, zwierzęta i opowieści, które znała, bo to dawało jej życie i radość. Wydawała mi się piękna, bo opromieniona dobrocią i czułością dla swojej rodziny, przyjaciół i zwierząt. Prawdziwe piękno bowiem nie jest tym, co widać w lustrze lub na okładce ilustrowanego pisma - raczej wyraża się w tym, jak człowiek przeżywa swoje życie.

MEŹCZYŹNI I OJCOWIE

Mężczyzna może być głową domu,

ale kobieta jest jego sercem.

Przysłowie somalijskie

Następny dzień okazał się tak piękny, jakby Allah specjalnie go pobłogosławił. Już poranek zapowiadał się pogodny, tylko wysoko po niebie przesuwały się lekkie obłoczki. Nad ranem kilka razy błysnęło, co wróżyło deszcz. Dzięki temu zelżał także upał, a najważniejsze, że wreszcie moja rodzina była w komplecie! Czy to nie cud? Jakiś cichy, wewnętrzny głosik szeptał mi do ucha: „A nie mówiłem, że wszystko obróci się na dobre?”. Wiedziałam, że to Starzec czuwa nade mną z nieba.

Matka wysłała Rashida i Mohammeda, aby złapali i zarznęli kozłą, bo chciała wydać dla nas ucztę. Wybrali małego, białego koziołka, bo i tak nie dawałby mleka. Mama obcięła mu łeb, ułożyła w koszyku, dokładnie obrała ze skóry i wydłubała oczy. Zamierzała przyrządzić z niego specjalny lek dla ojca, gdyż wierzono, że łeb kozłęcia posiada magiczne właściwości uzdrawiania oczu i mózgu. W domu był jednak tylko jeden garnek, który matka przeznaczyła na danie główne więc nie miała w czym ugotować wywaru z łba. Udała się przeto na wysypisko śmieci i przyniosła stamtąd starą puszkę.

- Mamo! - przeraziłam się. - Chyba nie chcesz gotować w puszcze wygrzebanej ze śmietnika? Przecież jest okropnie brudna i pełno w niej zarazków! Zabiłabyś ojca, gdybyś dała mu takie świństwo!

Matka popatrzyła na mnie wyzywająco, trzymając się pod boki.

- A niechby nawet i umarł, nie dbam o to. Z takiego starego dziada i tak nie ma żadnego pożytku.

- Mamo, pozwól mi, żebym poszła i pożyczyła od kogoś jakiś garnek! - błagałam.

- Już ty się nie bierz do tego! - pogroziła mi palcem. - Wiem lepiej od ciebie, co mam robić i jak. Nie bój się, ojciec nie umrze, bo złego diabli nie wezmą.

Zza węgła domu usłyszałam śmiech ojca. Zresztą sama w tej chwili zdałam sobie sprawę, że wrzątek zabije wszystkie zarazki.

- Zejdź mi z drogi, dziecko! - przykazała matka. - Ugotuję, jak należy, a on to potem wypije.

Wyszorowała zardzewiałą puszkę piaskiem i starannie wypłukała. Wsadziła do środka łeb kozłęcia, zalała wodą i dodała ususzonych liści jakiejś rośliny, które trzymała w małym koszyczku. Zawartość

puszki przez cały dzień pyrkała na małym ogniu, aby przemienić się w leczniczą zupę dla ojca.

Tymczasem matka obdarła ze skóry pozostałą część tuszy koziołka. Skórę zachowała, bo z niej wyrabiało się plecione liny i siedzenia do zydli. W ziemi wygrzebała jamę na tyle dużą, aby zmieściło się nasze pieczyste, i wystarczająco głęboką, aby móc na dnie rozpalić ognisko. Nhur i ja rozpaliliśmy je, podsycając ogień grubymi polanami. Kiedy wypaliły się do białego żaru - matka rozsunęła je, aby na żarze ułożyć koźlecinę. Nóżki nacięła, aby móc podgiąć je pod tuszę.

Tak przygotowane koźlę można nadziać, czym się chce, ale moja matka nafaszerowała je chlebem, czosnkiem, cebulą, pomidorami, ryżem i swoimi tajemniczymi przyprawami.

Razem z Nhur zasznurowały tuszkę i ułożyły na żarze. W powietrze buchnęła para i obłok cudownego zapachu. Mama wyczuła chwilę, kiedy należało obrócić koźlę na drugą stronę, aby równomiernie się zrumieniło, od zewnątrz pozostając suche. Nhur zakopała je głębiej w rozgrzanym popiele, a matka rozdmuchała węgielki, aby się lepiej żarzyły. Potem odpędziła wszystkich od paleniska, aby nas nie korcił apetyczny zapach.

- Uciekajcie stąd! - warknęła. - Powiem wam, kiedy będzie gotowe. Sterczycie tu nade mną jak sępy nad padliną.

Gotowe mięsiwo rozplęwało się w ustach - prawdziwe niebo w gębie! Niestety, biednemu ojcu trudno było jeść, bo miał całą twarz spuchniętą. Zanim wygrzebaliśmy pieczeń z żaru ogniska, matka doszła do wniosku, że gotowe już jest lekarstwo, które przygotowała dla ojca. Głowa koźlecia tymczasem rozgotowała się na galarete, więc matka przelała ją do kubka i poleciła mi zanieść ją choremu. Przysiadłam obok niego.

- Ojczy, to zupa dla ciebie.

- Ta, o którą tak się kłóciłyście z matką?

- Tak, ale ona ma ci pomóc na oczy.

- Jakoś nie mam na nią ochoty... - mruknął ojciec, ale dotarło to do uszu matki.

- Co on powiedział? - krzyknęła od strony ogniska.

- Tato mówi, że na razie nie będzie tego pić - przekazałam matce.

- A to marudny dziad! - syknęła mama scenicznym szeptem, dobrze słyszalnym w każdym zakątku naszego obozu. - Przygotowałam mu specjalne lekarstwo, a on nie chce go wypić? Waris, przynieś je tutaj.

Zacząłam już wstawać, kiedy zmieniła zdanie.

- Albo nie, zostaw. Nie dostanie nic innego, dopóki nie wypije lekarstwa.

Ojciec wydał wargi jak rozkapryszony dziecko, ale nie miał wyjścia i wypił cudowny specyfik do

dna. Matka jednak nie zaprzestała kazania wygłaszanego pod jego adresem.

- No, teraz mam cię w ręku! Znalazłeś się na moim terenie, stary, ślepy i bezradny, więc musisz mnie słuchać, rozumiesz?

Rzeczywiście, jaki miał wybór? Był zdany na jej łaskę i niełaskę, musiał więc pozwolić jej się pielęgnować i przyjmować lekarstwa i z jej ręki.

- Kim są tamte żony ojca i co się z nimi dzieje? - spytałam matkę.

- On twierdzi, że jedną oddalił niedługo przed twoim przyjazdem, ale słyszałam, że to ona od niego odeszła.

- Dlaczego? Co się tam stało?

- Nie wiem, nie zwierzał mi się - odrzekła dobitnie matka. - Ostatnio mieszkał ze swoją drugą żoną. Głowę dam, że wkrótce tu przybędzie jego śladem i będzie próbowała przymówić się o prezent od ciebie. - Odwróciła się do swoich garnków, dając mi niedwuznacznie do zrozumienia, że nie usłyszę od niej ani słowa więcej na ten temat.

- Burhaan... - zwróciłam się do brata. - Czy nasz ojciec żyje nadal z tą kobietą, którą kiedyś powiesiliśmy głową w dół?

Miałam nadzieję, że nie, bo nie widziałam jej od tamtego czasu. Pamiętałam, jakim szokiem dla nas było, kiedy ojciec przed laty sprowadził do naszego obozu nową żonę. Miała mniej więcej tyle lat co ja wtedy, ale bynajmniej nie czuła się niepewnie w tej roli. Od razu przejęła ster rządów i komenderowała mną i moimi braćmi, jakby była królową, a my -

służbą. Oczekaliśmy więc, kiedy ojciec gdzieś wyjechał, a wtedy rzuciliśmy się na nią, związaliśmy i przewiesiliśmy za nogi przez gałąź drzewa, głową na dół. Po tym incydencie znikła i nie widziałam jej już więcej, ale jeśli nadal pozostawała w związku małżeńskim z naszym ojcem - wyobrażałam sobie, jak zareaguje na mój widok.

- Nie przypuszczam, żeby jeszcze o tym pamiętała - pocieszył mnie Burhaan.

- Ciekawe, jak też ojciec daje sobie radę z trzema żonami... - zastanawiałam się głośno, na co Burhaan odpowiedział mi starą legendą:

- Żył raz pewien człowiek, który miał trzy żony. Były zazdrosne o siebie nawzajem, więc w końcu przysły do męża i zażądały, aby im powiedział, którą z nich kocha najbardziej.

On zaś obiecał im, że gdy zamkną oczy - dotknięciem wskaże swoją ukochaną. Wszystkie trzy żony zamknęły oczy, a mąż dotknął każdej z nich po kolei.

Ze wszystkich stron schodzili się do nas goście przyznający się do pokrewieństwa z nami. Byli ciekawi zobaczyć krewnych przybyłych z daleka, przywitać się z nimi, a przy okazji przewąchać, co ze sobą przywieźli. Nie wiedziałam, czego tutejsi ludzie mogą potrzebować, więc kupowałam, co mi

przyszło na myśl - oliwkę dziecięcą, masło kakaowe, mydła, grzebienie, szampony, szczoteczki i pastę do zębów... Rashidowi chciałam dać w prezencie niebieską szczoteczkę i pastę do zębów Colgate z fluorem.

- Co to takiego? - spytał Rashid.

- To się nazywa szczoteczka do zębów - wytłumaczyłam. - O, widzisz, tu nakładasz trochę tej pasty i czyścisz zęby, o, tak. - Zademonstrowałam odpowiednie ruchy.

- A potem od tego usychają dziąsła i wypadają wszystkie zęby? - zapytał z udaną powagą, chrząkając znacząco.

- Żebyś wiedział, że tak! - wymamrotałam, komicznie przewracając oczami.

- No, więc popatrz, czym ja czyszczę zęby - zareplikował, wyciągając z kieszeni koszuli kawałek gałązki, gruby może na pół cala i długi na jakieś trzy. - To jest *caday*.

Pomaga także na ból zęba. Czy twoja szczoteczka to potrafi?

- Nie - musiałam przyznać.

- Wielbłądy i kozy chętnie to jedzą. Czy jadłyby także tę niebieską rzecz?

- Nie, to służy tylko do mycia zębów.

- A to, co jest w tej tubce, można jeść?

- Nie, to się wypluwa, bo może zaszkodzić, gdybyś to połknął.

- Więc po co mam brać do ust coś, co może zaszkodzić?

- Nic ci nie będzie, jeśli wypłuczesz usta wodą.

- A jeśli zabraknie wody? Nie zawsze mamy jej tyle, żeby ją marnować na płukanie.

Na to nie miałam już odpowiedzi, za to Burhaan zaczął snuć wywody na temat licznych walorów „krzewu szczoteczkowego”. Z młodych gałązek wyrabiało się pręciki do czyszczenia zębów. Starsze doskonale się nadają do wyrobu włóczni, a grube gałęzie - na opał lub do budowania wiatrochronów. Z kory obdzieranej z korzeni uzyskuje się środek drażniący, a z liści - wywar, którym nasza matka leczy bóle mięśniowe. Po ich zmieleniu powstaje pasta do odkażania ran.

- Nasiona tej rośliny zawierają olej i są jadalne - kontynuował swój wykład, przyglądając się żłobkowanej nakrętce na tubce z pastą. - Dzięki nim możemy utrzymać się przy życiu, gdy nie ma nic innego do jedzenia. A jaki pożytek miałybyś z tej twojej pasty podczas suszy?

- Dobra, dobra. - Machnęłam ręką i schowałam przybory z powrotem do torby.

Zamiast nich ofiarowałam bratu maszynkę do golenia, ale nie był nią zbytnio zachwycony.

Próbowałam podarować szczoteczkę do zębów Nhur, ale także odmówiła.

Burhaan uświadomił mi jeszcze, że młode gałązki krzewu używanego do czyszczenia zębów zawierają żywicę, która zabija zarazki.

- A plamy na zębach, od *khatu* czy czegoś podobnego, czyścimy węglem drzewnym - .

dodał, błyskając równym rzędem nieskazitelnie białych zębów.

- Wiem, wiem! - Zamachałam rękami ze zniecierpliwienia. - Przecież tu się urodziłam.

Najpierw żuje się węgiel drzewny, a potem sam czubek pręcika. Jeśli jeszcze zostaną jakieś drobinki, usuwa się je pręcikiem i ma się takie piękne zęby jak ty.

- Najpiękniejsze zęby na świecie! - dodał wyzywająco Rashid. Postanowiłam w końcu, że rozdram przywiezione szczoteczki komu innemu. Kupowałam je w ciemno, bo wyobraziłam sobie, że przydadzą się w okolicach, gdzie nie ma dentystów, a nie byłam pewna, czy w obecnym miejscu pobytu mojej rodziny rosną odpowiednie krzewy. Teraz już wiedziałam, że powinnam była przywieźć przede wszystkim obuwie i odzież. Tego, czego moi bliscy potrzebowali najbardziej, a mianowicie żywności, dostarczyć im nie mogłam, ponieważ zepsułaby się, zanim trafiłaby do ich rąk.

Po południu przysiadłam się do ojca, aby poprawić mu poduszki i koc. Przy okazji zapuściłam mu krople do chorego oka, ale na sam jego widok chciało mi się płakać. Wskutek infekcji było sine i zapuchnięte. Zdawałam sobie sprawę, że cudem chyba kiedykolwiek na nie przejrzy. W głowie mi się nie mieściło, jak można pozwolić komuś niepowołanemu nacinać sobie oko nożem. Dobrze, że przynajmniej mogłam mu ulżyć w cierpieniu, gdyż przywiozłam ze sobą środek przeciwbólowy tylenol. Natomiast kiedy dałam mu sandały, które kupiłam w Nowym Jorku specjalnie dla niego - obmacał skórzane paski, powiódł

palcem po grubej, gumowej podeszwie i rzekł:

- Już wiem, kto je będzie nosił. Zachowam je dla twojego brata Rashida.

Nawet za potrzebą ojciec nie mógł wychodzić sam. Ktoś musiał mu asystować, bo był

zbyt osłabiony, aby ustać na nogach, no i nic nie widział. Zawołał matkę, ale byłam akurat w pobliżu, więc zaproponowałam:

- Tato, ja cię zaprowadzę.

- Są tu gdzieś jakieś buty? - spytał.

Znalazłam białe klapki i podsunęłam mu pod same nogi.

- Pomogę ci - ofiarowałam się. - Podaj mi ręce.

- Nie, aż taki ślepy nie jestem! - obruszył się. - Połóż te buty na ziemi, sam je znajdę.

Przykucnął i macał przed sobą palcami u nóg, aż trafił na klapki i nasunął je na stopy.

- Zawołaj mi matkę - zażądał.

- Kiedy nie ma jej tu, ojciec. Nie wiem, dokąd poszła.

- Poczekam na nią - oświadczył, oplatając ramiona wokół kolan.

- Przecież ja też mogę ci pomóc - przekonywałam. - Jestem twoją córką i mam już własne dziecko...

Ojciec jednak zawziął się i nawet nie słuchał, co mówiłam. Siedział pod ścianą domu chyba przez godzinę, póki nie wróciła matka. Taki właśnie był mój ojciec - dumny i uparty.

Chciałam się zdrzemnąć, bo zmęczyłam się ciągłymi podróżami. W tym celu wyciągnęłam sobie matę na dwór i położyłam się, ale na dłuższą metę nic z tego nie wyszło, bo ciągle ktoś koło mnie przechodził. W pewnej chwili usłyszałam głos kobiety, która najpierw zamieniła kilka słów z matką, a potem podeszła do mnie.

- Jak się miewasz, Waris? - przywitała mnie radośnie.

Jeszcze nie całkiem oprzytomniałam i nie bardzo chciało mi się wstawać, bo sądziłam, że pozdrawia mnie jakaś przechodząca sąsiadka. Oczywiście nie poznałam tej kobiety.

- Nie pamiętasz mnie, Waris, prawda? - Nieznajoma przechyliła filuternie głowę, jakby uważała, że powinnam ją znać.

- Od tamtych czasów dużo się zmieniło - odpowiedziałam wymijająco, ale usłyszałam za sobą śmiech ojca. Przyjrzałam się dokładniej kobiecie, która na oko mogła być w wieku mojej matki.

- Zapytaj ojca, kim jestem - zachęcała mnie. Od razu odezwał się ojciec:

- A co dziś porabia moje dziecko?

Zastanawiałam się, o jakim dziecku on mówi, ale tylko bezgłośnie trząśł się ze śmiechu.

- Przyniosłam je - oświadczyła tajemnicza kobieta i zaraz wróciła z małym dzieckiem na rękę.

- Daj mi mojego syna - poprosił ojciec i dopiero wtedy zorientowałam się, że mam do czynienia z jego drugą żoną. Teraz wyglądała tak staro jak moja matka, ale kiedy wychodziła za mojego ojca - była mniej więcej w moim wieku.

Uściskałam ją i zauważyłam:

- Kiedy stąd wyjeżdżałam, miałaś małe dziecko, a teraz, gdy po tylu latach wróciłam, znów masz małe dziecko.

W duchu modliłam się tylko, żeby nie przypomniła sobie, jak kiedyś powiesiliśmy ją za nogi. Tymczasem ona pozostała u nas przez trzy dni i ani razu nie wspomniała o tym zdarzeniu. Miała za sobą długą drogę, przez cały czas szła z dzieckiem na plecach, więc była głodna i zmęczona. Stopy jej krwawiły, ponieważ szła bosą. Dzięki niej dowiedziałam się, że mam jeszcze jednego przyrodniego brata. Jeden mój brat dobiegał czterdziestki, a drugi miał

zaledwie trzy tygodnie.

- Po co żyć, jeśli się nie ma dzieci ani rodziny? - wygłosił sentencję mój ojciec.

- To nie całkiem jest tak - poprawiłam. - Nie o to chodzi, ile się ma dzieci, ale o to, żeby rodzina była zdrowa, silna i zgodna.

- Nie mów mi takich rzeczy! - zachnął się ojciec. Wieczorem przy ognisku wywiązała się dyskusja na tematy damsko- męskie. Zapoczątkował ją Burhaan, powiedział, że jego żona chciałaby wiedzieć, dlaczego nie jestem zamężna.

- To nie takie proste - odpowiedziałam. - Dla mnie mąż to nie to samo co wielbłąd albo koza, które się kupuje i można sprzedąć, kiedy nam się znudzą.

Nhur spoglądała na mnie wzrokiem, z którego wywnioskowałam, że nie rozumie, o czym ja właściwie mówię. Tak ona, jak jej matka i moja, zostały wychowane w przeświadczeniu, że muszą być posłuszne mężczyznom. Nhur i jej matka spytały jeszcze, czy mam dziecko.

- Tak, mam ślicznego chłopczyka - potwierdziłam.

- A czy jest podobny do ciebie? - zaintrygowała się moja matka.

- Pod każdym względem - zapewniłam. Matka podniosła tylko oczy do nieba, aby podziękować Allahowi. Nie skomentowała mojej odpowiedzi, westchnęła tylko: „Ho, ho!” - i dopiero wybuch chóralnego śmiechu zebranych, z moim ojcem na czele, skłonił ją do dalszych wynurzeń.

- No, jeśli choć trochę ciebie przypomina, to będziesz jeszcze z nim miała sądny dzień, i dobrze ci tak - powiedziała, potrząsając głową.

- A gdzie jest jego ojciec? - zainteresowała się Nhur.

- Nie wiem, bo wyrzuciłam go z mojego życia - skwitowałam krótko.

- Dlaczego? - wykrzyknęli wszyscy zgromadzeni jednocześnie.

- Ponieważ nie był do niczego potrzebny ani mnie, ani mojemu synowi.

Ta odpowiedź wprawdzie rozśmieszyła, lecz i zaszokowała słuchaczy.

- Jak tyś to zrobiła? - zapytała mnie Asha. - To nie on ciebie wyrzucił? Zawsze myślałam, że tylko mężczyzna może oddalić kobietę.

- Jak widzisz, nie tylko.

Moja bratowa przestała się śmiać i całkiem poważnym tonem powiedziała:

- W naszym kraju nic by z tego nie wyszło. Nasze kobiety są jeszcze bardzo słabe.

- Siostró - zwróciłam się do niej - przecież ja też urodziłam się w tym kraju. I nauczyłam się tu wielu rzeczy, między innymi pewności siebie. Także tego, żeby liczyć tylko na siebie, zamiast czekać, aż ktoś inny coś za mnie zrobi. Tego nauczyłam się właśnie tutaj!

Przez cały czas ojciec siedział przy mnie, a i matka przyłączyła się do nas, ciekawa, z czego wszyscy się śmiejemy. Tymczasem wesołość kobiet wywołały moje słowa, że pewności siebie nauczyłam się w Somalii.

- Spytajcie moich braci - dodałam. - Oni tu siedzą i mogą zaświadczyć, jaka jestem i jaka zawsze byłam. Spytajcie moich rodziców, oni mnie znają najlepiej.

Tu zabrał głos ojciec.

- A pewnie, gdyby ona postanowiła, że na przykład ta kobieta ma się zamienić w kamień, to tak by musiało być. Sama już ma kamienną głowę.

Żarcik spodobał się wszystkim, a szczególnie stryjowi Ahmedowi.

- To na pewno przyjechałaś tu, żeby złapać męża! - zaryzykowała Nhur. W głowie się jej nie mieściło, że można mieć pieniądze, nie będąc mężatką ani żebraczką.

- Nie - oświadczyłam stanowczo. - Wystarczy, że mam dziecko, a mężczyzny na razie nie potrzebuję. Jeżeli poznam kogoś odpowiedniego, to może wtedy pomyślę o małżeństwie.

Trudno i darmo, taka już jestem.

Założyłam ręce na piersiach, spoglądając wyzywająco. Nie obchodziło mnie już, co ktoś o mnie pomyśli.

- Jesteś taka, jaka jesteś, prawda? - zawtórował mi ojciec.

- A pamiętasz, tato - zwróciłam się bezpośrednio do niego - co powiedziałeś mi któregoś dnia? Że nie wiesz, skąd się wzięłam, bo chyba nie jestem jednym z twoich dzieci?

Powiedziałeś to, żeby się mnie pozbyć, pamiętasz?

- Chyba tak - przyznał, kierując te słowa do mnie. Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że żałuje tamtych wypowiedzianych w gniewie słów. Wśród obecnych zapanowało kłopotliwe milczenie, bo nagle zdali sobie sprawę, że tylko ja jedna z całej rodziny odważyłam się żyć na własny rachunek i - co więcej - jestem z tego dumna.

Przy okazji spróbowałam opowiedzieć rodzicom, co zrobił mi Mały Wujek, kiedy byłam dzieckiem. Jednak ojciec w kółko wypytywał: „Co on właściwie zrobił?” - ale ani on, ani matka nie potrafili przypomnieć sobie dnia, kiedy wujek uparł się, aby towarzyszyć mi przy zganianiu kóz. Mnie z kolei odpowiednie słowa nie chciały przejść przez gardło.

Czułam, jak serce mi wali, a po plecach ściekają strużki potu.

- Nie pamiętam, żeby cię napastował - orzekła matka, kręcąc głową. - O czym ty w ogóle mówisz?

- Mogę wam powiedzieć tylko tyle, że był złym człowiekiem.

- Kto taki? - Ojciec nie mógł sobie przypomnieć żadnego krewniaka nazywanego Małym Wujkiem i musiałam mu opowiedzieć o człowieku, którego sami przyjęli pod swój dach i zaufali mu, a on chciał mnie skrzywdzić.

- Myśmy o niczym nie wiedzieli - wyznała szczerze matka. - Nie widzieliśmy Małego Wujka już od lat.

- Mam nadzieję, że umarł i poszedł do piekła! - wypaliłam. Tym wybuchem sprawiłam ojcu i mamie wyraźną przykrość.

- To brzydko tak mówić! - upomniała łagodnie matka, na pocieszenie gładząc mnie po nodze.

W końcu zdecydowałam, że nie ma sensu wracać do tych bolesnych przeżyć. W

obecności ojca i matki i tak trudno było mi poruszać ten temat tabu. Czyżby diabeł

paraliżował mi język? Wykrztusiłam tylko: „Nie wiedzieliście o tym, ale on zrobił coś bardzo złego!”. Odpowiedziała mi głucha cisza. Rozpaczliwie pragnęłam wyrzucić to z siebie, ale nie mogłam, bo nie mieliśmy zwyczaju rozmawiać o takich sprawach. Pocieszające w tej ciszy było tylko to, że moi rodzice zrozumieli przynajmniej tyle, że Mały Wujek wyrządził ich córce straszną krzywdę. Usiłowanie gwałtu odczuwane jest bowiem najboleśniej wtedy, kiedy otoczenie przechodzi nad tym do porządku dziennego.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał, tylko mama uspokajająco poklepywała mnie po nodze. Miała zmartwioną minę, bo z moich oczu wyczytała, co mnie gnębi, ale o nic nie pytała, bo nie wypadało. Jeśli zaś sprawy płci mają być otaczane wstydliwym milczeniem -

rzeczywiście lepiej zaszywać dziewczętom intymne otwory, tak jak mnie, żeby nie wiedziały, co się z nimi dzieje. Czasem jednak nawet wielki ból okazuje się cennym darem i odniosłam wrażenie, że Allah udzielił mi tej łaski. Zrozumiałam, od czego należy rozpocząć kampanię przeciwko rytualnemu okaleczaniu kobiet. Niezbędna jest edukacja seksualna! Kobiety muszą wiedzieć wszystko o swoim ciele, a mężczyźni - o ciele kobiety, tak samo jak o własnym.

Te rozmyślenia przerwała mi moja młoda kuzynka, Amina.

- Mogłabyś wziąć ode mnie list do Ameryki?

- Ameryka to wielki kraj. Musiałabym mieć adres. Dziewczynka z niepokojem w oczach skręcała w palcach materiał sukienki.

- Dam ci adres - zapewniła.

- A kto mieszka pod tym adresem? - spytałam z ciekawością, kogo ona może znać w Stanach.

- Mój mąż - wyszeptała, nie patrząc mi w oczy.

- A cóż tam robi twój mąż? - potrząsnęłam głową ze zdziwienia. Amina wymamrotała coś niezrozumiałego, z czego wywnioskowałam, że sama nie wie, co on tam może robić. - Od jak dawna jesteś mężatką?

- Od czterech lat. - Trudno mi było w to uwierzyć, bo wyglądała najwyżej na szesnaście lat.

- Macie dzieci?

- Nie. On mnie wybrał, a potem wyjechał. Mam nadzieję, że wróci i zabierze mnie do siebie.

- Nie czekaj na niego - poradziłam, na co słuchacze zareagowali pomrukiem oburzenia, a moja matka potrząsnęła głową i cmoknęła językiem na znak dezaprobaty.

Przyjęłam więc list bez dalszych komentarzy, bo nie chciałam wywoływać zgorszenia. Mojej rodzinie głoszone przeze mnie poglądy wydawały się bowiem irytujące lub śmieszne.

- Waris, mówisz zupełnie jak mężczyzna i zachowujesz się, jakbyś była bardzo silna - orzekła moja kuzynka.

- Możesz być tak samo silna. Pomyśl, przecież ja też wychowałam się tutaj.

To moje odezwanie wywołało znowu salwy śmiechu. Poczułam się jak komediantka pokazująca sztuki na ulicach, zwłaszcza że gdziekolwiek we wsi się pokazałam - ciągnął za mną sznur gapiów. Przypuszczam, że wpłynęły na to dwa powody - po pierwsze, krążyła fama, że jestem bogata, a po drugie - powszechnie uznano mnie za dziwaczkę. Mimo to jednak dziękowałam Allahowi, że udało mi się odwiedzić rodzinne strony, a to, że przy tym odnalazłam nie tylko matkę i braci, ale wielu krewnych, o których istnieniu nawet nie wiedziałam - uważałam niemal za cud.

Największą satysfakcję dała mi jednak świadomość, że mogłam spojrzeć swemu ojcu prosto w oczy i rozmawiać z nim jak równy z równym. Jeżeli nie zgadzałam się z czymś, co mówił - cierpliwie wyjaśniałam mu swój punkt widzenia. On z kolei zadawał pytania, jeśli czegoś nie rozumiał. Mało tego - cieszył się, że czegoś go nauczyłam. Chętnie żartował:

- Czy ty aby na pewno jesteś moją córką? Byłem pewien, że moja córka już dawno temu zaginęła albo umarła.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. Na to *Aba* wygłosił cały wykład:

- A co innego mogło spotkać dziewczynę, która uciekła od swego ojca? Przecież w życiu nie widziałaś nic innego oprócz wielbłądów i kóz. Początkowo myślałem, że lwy cię pożarły, a hieny wyssały szpik z twoich kości. Potem ktoś mi powiedział, że widziano cię w Mogadiszu i Londynie, a to mogło oznaczać, że zostałam prostytutką. Nie wyobrażałem sobie, że mogłabyś robić co innego. Wywędrowałaś tak daleko, jakbyś przeniosła się na inną *hydygi* (planetę). Ale ty, dziecko, żyjesz i świetnie dajesz sobie radę sama. Nie przypuszczałem, że tyle w tobie siły i godności.

Macie pojęcie, mój ojciec był ze mnie dumny! Ileż to dodało mi siły, radości życia i zadowolenia z siebie! Kiedyś byłam dla niego tylko małą dziewczynką bez znaczenia, którą mógł najwyżej bić lub gonić do roboty, jeśli ją w ogóle zauważał. Całe moje dzieciństwo upłynęło w strachu przed nim. Dopiero teraz ojciec spojrział na mnie inaczej, nie oczami, ale sercem. *Allah bah wain*, Bóg jest wielki!

ŻYCIE NA PUSTYNI

Córka nie jest gościem w swoim domu.

Przysłowie afrykańskie

Przez kilka następnych dni padał deszcz. Codziennie po południu wszyscy wpatrywali się w nadciągające chmury i wyczekiwali z utęsknieniem, aż luną potoki ożywczej wody.

Nikt nie narzekał - każdy się cieszył, że nadeszła pora deszczowa. Od razu zelżał upał i zrobiło się przyjemnie chłodno. Centralną ulicą wioski, po której kilka dni temu wiatr przeganiał tumany kurzu, płynęła rwąca rzeka. Woda podtopiła chatkę mojej mamy, przemokły nawet biedne kozy, które, zdezorientowane, chowały się pod dach i tam się otrząsały.

Mój brat Burhaan wykopał wokół swojego domu rów, w którym gromadziła się woda.

Deszcz poprawił wszystkim humory, nawet małe dzieci radośnie taplały się w mulistej wodzie. Niestety, także ją piły, więc można było założyć, że w niedługim czasie wszystkie będą miały biegunkę. Kobiety czerpały wodę płynącą po ulicy małymi wiaderkami. Potem przelewały ją do większych zbiorników licząc, że muł osadzi się na dnie, a woda z wierzchu przyda się jeszcze do mycia i gotowania.

Wstawaliśmy wszyscy około szóstej rano, bo budziło nas pianie kogutów, gdakanie kur i świergot ptaków. Kładliśmy się spać razem z kurami, bo wioska nie była oświetlona i po zachodzie słońca zapadały w niej ciemności. Zresztą, wieczorami nie mieliśmy nic do roboty, a dostawy nafty do lamp były nieregularne. Przypuszczalnie miało to związek z napiętą sytuacją w Mogadiszu.

Mohammed nocował w domu stryja, gdzie panowała straszna ciasnota. W tej wiosce nie było przecież hoteli ani pokoi gościnnych, więc jeśli ktoś miał gości, pozostali domownicy ścieśniali się, aby zrobić miejsce.

- Wypałeś się? - spytałam go tego ranka. Mohammed machnął ręką, jakby odganiał

muchę.

- Zanim tu znowu przyjedziemy, mam nadzieję, że Burhaan wykończy jeszcze jeden pokój i będziemy mogli spać wszyscy razem.

Zawadzając głową o futrynę, wszedł do domu matki, aby wziąć stamtąd żółte plastikowe wiaderko. Zacerpnął do niego wody, wyniósł na podwórze, a sam usiadł na niskim stołeczku. Zdjął okulary i położył je ostrożnie na kamieniu. Nabrał wody w garść i umył twarz, a potem ręce. Posiedział przez chwilę twarzą do słońca, aby wyschła. Następnie zdjął najpierw prawy but i skarpetkę, umył prawą stopę i stanął na niej, aby móc umyć lewą.

Zauważyłam, że drzewa i krzewy, które jeszcze kilka dni temu wyglądały na uschnięte, zazieleniły się wyjątkowo szybko. Zdążyłam jednak poznać na własnej skórze ich kolce. W porze suchej, czyli *jilaal*, obnażonymi kolcami bronią dostępu do siebie, ale wystarczy, żeby popadało, a cierniste gałązki pokrywają się młodymi listkami.

Obrzydzeniem przejmowało mnie korzystanie ze wspólnej wygódki, bo moja matka nie miała własnej. Miejsce to z daleka lokalizowało się po zapachu. Była to przestrzeń zamknięta czterema ścianami, każda długości niecałych czterech stóp, pozbawiona dachu, ; drewnianymi drzwiami bez zamka. Pośrodku cementowej podłogi znajdował się kwadratowy otwór, nad którym kucalo się i załatwiała swoje potrzeby. Każdy starał się zrobić to jak najszybciej, bo podłoga była zachlapana nieczystościami, a smród dusił. Nikt też nie wstępował do tego przybytku bez obuwia, choć wszyscy biegali boso po kamienistym gruncie i przez cierniste krzewy. Kto nie miał butów - pożyczał od kogoś, aby skorzystać z ubikacji.

Wracając z tego miejsca nieraz napotykałam spojrzenia miejscowych chłopców. Jeden z nich miał skórę tak czarną, że w słońcu błyszczała jak polerowany heban. „Dałbyś mi tę wspaniałą skórę, czarnuszk!” - wołałam nieraz za nim. Miałam ze sobą aparat fotograficzny i chciałam robić zdjęcia, zarówno tym dzieciom, jak mojej rodzinie. Chłopcy wdzięczyli się przed obiektywem, ukazując w uśmiechniętych czarnych buziach rzędy nieskazitelnie białych ząbków. Każde dziecko nosiło na szyi skórzany amulet, aby Allah nad nim czuwał.

Cięższą przeprawę miałam z fotografowaniem bliskich. Wystarczyło, że Mohammed zobaczył aparat, zaraz zaczął przestrzegać wszystkich:

- Nie dajcie jej się fotografować, dopóki nie ubierzecie się odświętnie! Zobaczycie, że ona wyśle te zdjęcia do gazet i wszyscy będą widzieli, jak wyglądacie!

Sam albo wymachiwał mi rękami przed obiektywem, albo pokazywał język, więc nie mogłam zrobić dobrego zdjęcia. Burhaan z kolei schował się w domu i nie wychodził.

Spróbował wyrzeć przez zakratowane okno, ale gdy wycelowałam w nie aparat - zaraz cofnął głowę.

- Nie wygłupiajcie się! - ofuknęłam braci. - Nie mam zamiaru sprzedawać tych zdjęć żadnym

pismom. Chcę zachować je na pamiątkę, najwyżej pokazać znajomym. Wracajcie, wariaci!

Tymczasem dałam spokój chłopakom i zwróciłam się do matki.

- Mamo, pozwól, żebym zrobiła ci zdjęcie. Chcę zabrać ze sobą twój portret.

- Akurat, zobaczysz, że to pójdzie na okładkę jakiegoś magazynu mód - wtrącił się Mohammed i oczywiście wszyscy wierzyli jego słowom. Instruował każdego, żeby się umył i przebrał, bo inaczej wyjdzie na zdjęciu brudny i zakurzony. - Jeśli będzie was fotografować tak, jak teraz wyglądacie, spuście jej lanie i rozbijcie aparat - podpuszczał.

- Mohammed, ty wariacie! - skrzyczałam mojego niemądrego brata. - Przestań wygadywać takie głupstwa!

Jemu jednak ta zabawa najwyraźniej się spodobała. Z miną znawcy przedmiotu powtarzał jak nakręcony:

- Zobaczycie, że będziecie na okładce jakiegoś babskiego pisma!

- Tak jak jesteście, moglibyście się ukazać najwyżej w „National Geografie” -

zdenerwowałam się w końcu. - Wyglądacie jak banda włóczęgów.

Nie rozumiałam, po co robią tyle zachodu wokół zwykłego rodzinnego zdjęcia, które dałabym wywołać w sklepiku na rogu.

- *Hoyo*, mamo - błagałam. - Pozwól mi zrobić ci zdjęcie!

- Jestem zajęta - wymawiała się matka. Rzeczywiście, nigdy nie spoczęła, była w ciągłym ruchu od świtu do późnej nocy.

- Ależ, mamo, usiądź choć na chwilę! Chciałabym mieć twoje zdjęcie, tak samo jak was wszystkich, żeby pokazać mojemu synkowi, jak wygląda jego babcia i wujowie.

- Dobrze już, zrób! - warknęła, stając wyprostowana, jakby kij połknęła. Jednak Rashid błyskawicznie ustawił się przed obiektywem mojego aparatu i zażądał:

- Mamo, do zdjęcia musisz włożyć inną sukienkę.

- Wystarczy, że raz się dzisiaj ubrałam! - opierała się matka.

- Włóż tę, którą ci kupiłem - naciskał Rashid, szarpiąc jej wystrzępioną brązową suknię. - Nie możesz być na zdjęciu w takich starych łachach!

Mama mruczała jeszcze pod nosem, aby zostawił ją w spokoju, ale w końcu dała się przekonać i weszła do domu. Wyszła stamtąd w nowej sukni nałożonej na starą. Ta nowa była z materiału w purpurowe pasy i żółte kwiaty, ale na wychudzonej figurze matki nic nie zdradzało, że nałożyła na

siebie równocześnie wszystko, co miała. W ostatniej chwili jednak zawstydzila się i zakryła twarz szalem, zanim nacisnęłam spust aparatu. Mohammed bowiem siedział w tym czasie na trój- nożnym stołku i swoim zwyczajem komenderował wszystkimi.

Namówił matkę, aby wystawiła język, a ona oczywiście go posłuchała.

- Burhaan - poprosiłam - pomóż ojcu ustawić się do zdjęcia.

Do spółki z Mohammedem wzięli ojca między siebie i podprowadzili w nasłonecznione miejsce tak, aby się nie potknął.

- No, proszę, rodzina Dirie w całej okazałości! - zachwyciłam się, filmując kamerą wideo. Zauważyłam przy tym, że ojciec jest niższy od Mohammeda. Jednak kiedy zorientował się, że chcę go sfilmować opartego na ramionach synów - odepchnął ich na boki i stanął wyprostowany, pełen dumy i godności, mimo że jedno oko miał przewiązane, a drugie niewidzące. Nie chciał, abym na zdjęciu uwieczniła go jako bezradnego kalekę. Znow był

tym samym buńczucznym wojownikiem somalijskim, jakiego pamiętałam. Choroba nie pozbawiła go siły ducha.

Nhur, mimo ósmego miesiąca ciąży, codziennie chodziła do miasteczka, aby nabrać czystej wody pitnej z jedyne go dostępnego ujęcia. Za korzystanie z niego musiała płacić po dziesięć szylingów za dzbanek. Nabierała więc dwa dzbany i wracała obciążona sześcioma galonami wody. Co kilka kroków zatrzymywała się dla nabrania oddechu. Ledwo zauważyłam ją na horyzoncie - czym prędzej zrywałam się i biegłam, aby jej pomóc, podczas gdy moi bracia, jakby nigdy nic, siedzieli pod domem i dyskutowali o polityce.

- A gdzie ten próżniak, twój mąż? - nie wytrzymałam w końcu. - Siedzi i się gapi, podczas gdy ty dźwigasz ciężary? Powiedz mu coś do słuchu! - Nhur rzuciła mi tylko wymowne spojrzenie.

Po przyniesieniu wody Nhur mimo upału wyprawiała się zwykle na wioskowy targ, aby sprawdzić, co można dostać do jedzenia. Kupowała tam ryż zapakowany w rożek skreślony ze starej gazety, przyprawy w małych paczuszkach do jednorazowego użytku, a czasem mięso, jeśli je akurat sprzedawano. Po powrocie rozpałała ognisko i kroila mięso, oddzielając je od tłuszczu i gorszych części. Gotowała ryż i mięso z dodatkiem oliwy, cebuli, ewentualnie pomidorów, przez cały czas podsycając ogień. Kiedy wszystko było gotowe, przekładała ryż na okrągły, blaszany półmisek, a w środku robiła wgłębienie, do którego nakładała mięsa wraz z pikantnym sosem. Podawała mężczyznom ten ryż i herbatę doprawianą masłem, a gdy jedli, zmywała garnki. Dopiero gdy mężczyźni się najedli - Nhur zabierała to, co pozostało, i sama posilała się wraz z dziećmi.

Następnego dnia po moim przyjeździe z innej pustynnej osady zawitała matka Nhur.

Potem już przychodziła codziennie. Była chyba jedną z najpiękniejszych kobiet, jaką znałam -

wyższa ode mnie, miała zielone oczy, regularne rysy i idealny owal twarzy. Niestety, jedyna sukienka, jaką miała, niegdyś pomarańczowa, a może czerwona, obecnie stanowiła spłowieły

lachman nieokreślonego koloru. Jak większość Somalijek, była jednak kobietą dumną i nie zniżyłaby się, aby o cokolwiek poprosić. Oczywiście dzieliliśmy z nią nasze posiłki, gdyż w mojej ojczyźnie jest to ogólnie przyjęta norma postępowania. Nie mogłam patrzeć, jak bratowa sama się męczy, więc nazajutrz zaproponowałam:

- Nhur, dziś ja gotuję, a ty wybierz się choć raz w odwiedziny do swojej pięknej matki.

Nhur błysnęła zębami w uśmiechu i zaoferowała się przynieść wody. Nakryła głowę niebieskim szalem i wzięła dzbany, a ja tymczasem zaczęłam układać drwa na podpałkę.

Ułożyłam zgrabny stosik, a na jego czubku ustawiłam największy garnek, jaki znalazłam. Nie bardzo chciał stać równo, więc przycisnęłam go mocno, aby rozsunąć drewna. Do garnka nasypałam ryżu i fasoli, a wszystko zalałam wodą.

Niestety, drzewo zamokło na deszczu, więc zaczęło dymić. Nie mieliśmy suchego drzewa, bo nie było go gdzie wysuszyć. Próbowałam rozdmuchać ogień, ale dym wydzielał

się coraz obficie, wywołując kaszel i łzawienie oczu. Przypuszczałam, że popełniłam jakiś błąd, bo już od dwudziestu lat nie rozpalałam ogniska. Prawdę mówiąc, odkąd opuściłam Somalię, nieczęsto zajmowałam się kuchnią, a zresztą w Londynie ani w Nowym Jorku na ogół nie gotuje się na otwartym ogniu.

- Słuchaj, może byś mi pomógł? - zwróciłam się do Burhaana, bo w końcu miał więcej do czynienia z ogniskami niż ja.

- To babska robota! - odkrzyknął, siedząc wygodnie w cieniu.

- Ale ja potrzebuję pomocy!

- Poczekaj, aż wróci Nhur, to ci pomoże - wykręcał się. - Gotowanie to zajęcie kobiet.

I dlatego że to zajęcie kobiet, wolał siedzieć i obserwować moje wysiłki, nie ruszając nawet palcem! Chętnie zdzieliłabym go butem. Przecież w tej chwili nie miał absolutnie nic innego do roboty!

- Mohammed, przynajmniej ty się nie wygłupiaj - zwróciłam się do starszego brata. -

Pomóż mi rozpalić ten ogień albo nie będziemy jedli.

- To nie moja rzecz. My zajmujemy się męskimi sprawami - próbował mnie spławić.

- Na przykład jakimi? - Według mnie, jeśli jakaś rzecz miała być zrobiona, to po prostu należało ją zrobić. Wstałam i rzuciłam w moich leniwych braci patykiem, który Mohammed ze śmiechem odrzucił. - Nie widzę tu żadnych męskich spraw. A gdybyście nie mieli kobiet, żeby dla was gotowały, pomarlibyście z głodu?

- Nie, wtedy kazalibyśmy gotować dzieciom! - Burhaan się roześmiał. Tymczasem Nhur wróciła z wodą, choć rosnący brzuch coraz bardziej spowalniał jej ruchy. Odstawiła pełne dzbany i zdjęła

garnek z ognia. Rozrzuciła drewna i ułożyła je inaczej. Z boków poustawiała grubsze polana i oparła na nich garnek. Dopiero wtedy przykucnęła i rozdmuchała ogień.

- *Khat* doprowadza nasz kraj do ruiny - wygłosiłam sentencję pod adresem braci.

- Przecież my dziś nie mamy *khatu* - zaprotestował Rashid.

- Ale gdybyście mieli, na pewno żulibyście to paskudztwo! - Nie mogłam znieść, że i on wpadł w ten okropny nałóg. - Tutejsi mężczyźni zachowują się, jakby nie mieli za grosz rozumu! Marnują całe życie na ciamkanie jakiegoś głupiego zielska.

Po posiłku wymknęłam się do mamy, aby z nią trochę pogadać. Siedziałyśmy w jej chatce, bo na dworze padało. Była u niej akurat ciotka z małym synkiem, a gdy chciała wyjść za potrzebą - zaoferowałam się, że potrzymam jej dziecko. Chętnie przekazała mi małego, który był bardzo podobny do mnie i chyba wyczuł we mnie bratnią duszę. Nie płakał, kiedy go wzięłam na ręce, i przez cały czas patrzył mi prosto w oczy.

Mama poszła przynieść mu mleka. W Somalii nie uczymy dzieci pić z butelek, tylko od razu z kubeczków. Naciskamy policzki dziecka, aby rozchyliło wargi, i podstawiamy kubek tak, żeby uchwyciło krawędź. Mój mały kuzynek miał takie słodkie, malutkie usteczka, że karmienie go byłoby samą przyjemnością, ale usłyszałam, jak matka, niosąc mleko, mruczy coś pod nosem.

Mówiła niby do siebie, ale tak głośno, że każdy słyszał:

- Na miłość boską, nie zostawiaj z nią dziecka! Czy ona ma zamiar je nakarmić? Co ona robi?

Spojrzałam jej w oczy i spytałam wprost:

- Mamo, za kogo ty mnie masz? Czy uważasz, że jestem głupia? Nie wiesz, że sama jestem już matką?

- *Hiyea* - musiała przyznać.

- I mam już chyba ze trzydzieści lat, prawda?

- *Hiyea*.

- Czy nie wychowałam się tutaj?

- No tak, masz rację - przytaknęła, ale bez przekonania.

- W takim razie chodź tu i usiądź przy mnie - poprosiłam. - Wyrządziłaś mi przykrość tym, co powiedziałaś.

Wzięłam z jej rąk kubek mleka i nacisnęłam rozstawionymi palcami policzki dziecka po obu stronach buzi. Trzymając kuzyna w objęciach, przyłożyłam kubek do jego warg, a on wypił, nie rozlewając ani jednej kropli drogiego płynu.

- Och, dziecko, ja naprawdę nie to miałam na myśli! - zawstydziała się matka. -

Przecież żyjesz zupełnie inaczej niż my, więc myślałam, że zapomniałaś, jak postępować z dziećmi.

Po namyśle doszłam do wniosku, że mama naprawdę sądziła, iż zapomniałam, czego mnie nauczyła.

- Mamo, przecież sama wychowałam własne dziecko - odpowiedziałam. - Karmiłam je właśnie tak, jak mnie nauczyłaś. Tego się nigdy nie zapomina! Nie myśl, że nie potrafię opiekować się dziećmi.

- Przepraszam cię, Waris - wykrztusiła, nie patrząc mi w oczy. Chyba jednak była zadowolona, bo chociaż trochę się posprzeczałyśmy, ale sama się przekonała, że doceniam jej system wartości i wiedzę, jaką mi przekazała. To, że obecnie żyję w innym świecie, nie wyrzuciło z mojej pamięci tego, co najważniejsze.

Życie, jakie prowadzę, nauczyło mnie samodzielności, więc opanowałam wiele takich czynności, których ludzie na ogół nie wykonują sami, jak na przykład strzyżenie.

Zaoferowałam się z pomocą mojemu bratu Rashidowi, który narzekał, że włosy urosły mu już za długie, a w miasteczku nie ma fryzjerów.

- Muszę już wracać do stada, bo ojciec się dziwi, co tu jeszcze robię - wyjaśnił. - Nie mogę czekać w nieskończoność, aż wreszcie pojawi się tu jakiś fryzjer!

Jednak ledwo sięgnęłam po nożyczki, wszyscy chórem zakrzyknęli:

- Och, nie!

- O co chodzi? - nie zrozumiałam.

- Ty nie możesz tego robić - zawyrokowali obecni.

- Dlaczego? Przecież dobrze umiem strzyc, możecie mi zaufać.

- Nie o to chodzi - rzucił niedbale ojciec, wymachując palcem w powietrzu.

- To o co?

- Kobieta nie może obcinać włosów mężczyźnie.

- A co za różnica, kto mu obetnie włosy? - straciłam cierpliwość. - Kto to zauważy, wielbłądy?

- Ludzie śmialiby się z niego! - wykrzyknęli chórem moi krewni.

- Jacy ludzie? Wy? Bo kto inny o tym się dowie?

- Wszystko jedno, będą się z niego śmiać - orzekł stanowczo ojciec. Jego argumenty wydały mi się tak niedorzeczne, że próbowałam z nim polemizować.

- Nie rozumiem. Jeśli umiem obcinać włosy i nie jestem za głupia, żeby to robić, to w czym problem?

- To nie o to chodzi, Waris - tłumaczył ojciec. - Widzisz, u nas tak już jest.

- Tato, za kogo mnie uważasz? - oburzyłam się. - Myślisz, że nie znam naszych obyczajów? Chciałabym tylko wiedzieć, kiedy one się wreszcie zmienią. To tak, jak z obrzezaniem kobiet. Kobiety chciałyby to zmienić.

Zapadła głucha cisza, więc wiedziałam, że w mieszanym towarzystwie nie mam po co poruszać tego tematu. Zaczęłam z innej beczki:

- Na przykład pozwoliliście mi zrobić wam zdjęcia, choć wielu tutejszych ludzi bałoby się, że w ten sposób ukradnę ich dusze...

- Tylko bardzo ciemni ludzie wierzą jeszcze w ten zabobon - sprostował Burhaan.

- No, a to, że kobieta nie może ostrzyć mężczyzny, to nie taki sam zabobon? -

podchwyciłam. Przekonałam się jednak, że ta dyskusja do niczego nie doprowadzi.

Wiedziałam, że kiedy moi mężczyźni uprą się co do pewnych spraw - nie zdołam ich przekonać. Nie gniewało mnie to jednak, bo czymże były takie drobiazgi w porównaniu z satysfakcją, jaką dawała mi możliwość zasiadania w rodzinnym kręgu, w towarzystwie matki, ojca, braci i innych krewnych, których nie widziałam od tak dawna! Zmieniłam więc temat: -

Przez trzydzieści lat marzyłam, żebyśmy się tak nareszcie spotkali wszyscy razem! To znaczy, wydaje mi się, że mam około trzydziestu lat, ale nie jestem tego pewna.

- A mnie się wydaje, że już masz ze czterdzieści! - zaproponował ojciec. Mnie i Mohammedowi zrzędył miny, natomiast matka zdecydowanie się temu sprzeciwiła.

- Nie, nie może mieć tyle. Burhaan ma jakieś dwadzieścia siedem, a ona jest mniej więcej dwa lata starsza... - Tu zawiesiła głos, gdyż sama nie pamiętała lepiej niż ojciec, w jakim jesteśmy wieku.

Wiedziałam, że dla moich rodziców daty nie mają znaczenia, i nie żywiłam do nich o to pretensji. Najważniejsze, że mogłam siedzieć razem z nimi pod pięknym afrykańskim niebem usianym gwiazdami, które się chyba rozmnożyły od czasów, kiedy widziałam je po raz ostatni. Powietrze było tak czyste, że zdawało mi się, jakbym mogła sięgnąć nieba.

Wiedziałam już, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Przez te wszystkie lata brakowało mi poczucia przynależności do kogokolwiek innego niż ja sama. Żałowałam, że nie było mnie przy tym, jak moi bliscy starzeli się i mogli mnie potrzebować. Co prawda, ojciec na swój sposób chciał mnie pocieszyć:

- Nie martw się o mnie, Waris, jestem jeszcze dość silny, żeby wziąć sobie nową, tłustą żonę! Spłodzę więcej dzieci, żeby miał kto paść kozy.

Byłam szczęśliwa, że ojciec ma wciąż chęć do żartów. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak go kocham i jak mi go brakowało. Tylko raz spróbowałam go obwinić, mówiąc:

„To przez ciebie uciekłam z domu, bo ty mnie do tego doprowadziłeś!”. Powiedziałam jednak już raz i jeszcze powtórzę, że nawet gdybym miała taką możliwość, nie zmieniałabym w swoim życiu niczego. Owszem, chętnie cofnęłabym czas, ale niczego nie żałuję. Wszyscy jakoś przebijamy się przez życie, ale chociaż moja droga była wyboista i szłam po niej boso -

nie zamieniłabym jej na żadną inną. Wiadomo, że życie ma swoje dobre i złe strony, ale każde doświadczenie jest potrzebne w odpowiednim miejscu i czasie. Zawsze marzyłam, żeby spotkać się równocześnie z ojcem, matką i braćmi, ponieważ nigdy mi się to nie udawało, a teraz spędziłam cały cudowny tydzień z rodziną w komplecie. Dziękowałam więc Allahowi za to, że spełnił moje największe życiowe marzenie.

OŚWIATA W SOMALII

Urodzić dziewczynkę to tak, jakby urodzić kłopot.

Przysłowie somalijskie

W wiosce mojej matki roiło się od uchodźców z Mogadiszu, którzy schronili się tu w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca. Uciekali przed zabłąkanymi kulami i walkami ulicznymi, wskutek czego ludności we wsi przybywało. Brakowało natomiast wody, prądu i opieki lekarskiej - najbliższy szpital znajdował się w odległości z górą stu mil. Kiedy natomiast spytałam o szkoły - Ragge przyznał się, że sam w jednej uczy.

- Gdzie to jest? - Byłam ciekawa, gdzie w tak małej wiosce może znajdować się szkoła.

- Chodź ze mną, to ci pokażę - zaproponował. Okazało się, że już w zeszłym roku Ragge i jego znajomy z Mogadiszu, należący do tego samego klanu, postanowili założyć szkołę dla wiejskich dzieci. Dotacja otrzymana z UNICEF wystarczyła na budowę jednoizbowego pomieszczenia z blaszanym dachem i klepiskiem zamiast podłogi. Ragge pobierał kiedyś nauki w Mogadiszu dzięki pomocy swego wuja biznesmena. Poznał oprócz ojczystego także język arabski, włoski i angielski, a że i tak nie miał innej pracy - podjął się nauczania dzieci. Mówił tak wspaniałą angielszczyzną, że przyjemnie mi się z nim rozmawiało.

- Bądź gotowa jutro rano, to wstąpię po ciebie w drodze do szkoły - obiecał.

- Dobrze, będę - zapewniłam, bo chętnie wspomogłabym jego inicjatywę na miarę swoich możliwości.

Nazajutrz kozy rzucały jeszcze długie cienie, kiedy Ragge przyszedł pod dom i wołał do mnie:

- No jak, gotowa?

- A pewnie! - odkrzyknęłam. I tak codziennie budziłam się około szóstej, bo słońce tak przypiekało, że nie dawało dłużej pospać, więc zdążyłam się ubrać i zjeść śniadanie. Tu niepotrzebne były zegarki, gdyż kładliśmy się spać i wstawaliśmy razem ze słońcem.

Przed chatką siedziała moja matka, czyszcząc sobie zęby pręcikiem ze specjalnego krzewu. Na mój widok wyjęła go z ust i rzuciła niby w przestrzeń:

- A ona gdzie się w tym wybiera?

Szarpnęła materiał mojej sukienki, jakby to była stara szmata.

- Mamo, co za różnica, co mam na sobie? - zdziwiłam się. Ubrałam się w tę samą suknię, którą nosiłam na co dzień; długą, bawełnianą *dirah* nałożoną na białą halkę. Zgodnie z tradycją okryłam głowę szalem pożyczonym od Dhury w Amsterdamie, ale matka tylko potrząsała przecząco głową. Wyrwałam sukienkę z jej rąk i próbowałam załagodzić sytuację: -

Dla kogo mam się ubierać? Przecież idę tylko do szkoły!

Matka przewróciła oczami i uniosła ręce, jakbym co najmniej ubrała się w minispódniczkę. Zamachała mi dłońmi przed nosem.

- Nie wiem, skąd przyjechałaś, dziewczyno, ale tak ubrana nie wyjdiesz z mojego domu. Nie będziesz mi przynosić wstydu!

Nie rozumiałam, czego mam się wstydzić.

- Mamo! - jęknęłam. - Przecież pozakrywałam się wszędzie, gdzie trzeba!

Na wszelki wypadek owinęłam głowę szalem i obróciłam się wkoło, aby jej pokazać, że ubrałam się, jak należy. Mimo to matka nakazała:

- Wracaj mi zaraz i przebierz się porządnie!

- Może powiesz mi wreszcie, co złego jest w tym, co mam na sobie? - zażądałam. Na to Nhur i matka rzuciły się na mnie, jakbym obraziła samego proroka Mahometa! Zaczęły mi wytykać, że kolor jest niegustowny, że szal nie pasuje do sukni, a w ogóle powinnam włożyć najlepszą sukienkę, jaką mam. Zachowywały się tak, jakbym wybierała się z wizytą do królowej lub prezydenta. Nie rozumiałam, po co tyle zamętu. - Żarty sobie ze mnie stroicie?

Już kto jak kto, ale ja umiem dobrze się ubrać. Słyszeliście kiedyś o Guccim albo o Armanim? Za jedną suknię z tych magazynów można by przez tydzień żywić całą naszą wioskę.

- A kto to słyszał, żeby jeść sukienki? - nie zrozumiała Nhur, a ja pojęłam, że do tych ludzi moje argumenty nie trafią. Występowałam w telewizji, prezentowałam stroje na wybiegach przed setkami ludzi, ale w oczach mojej rodziny byłam nadal niedoświadczonym dzieckiem, które trzeba pouczać, jak się ma ubrać. Protesty nie miały sensu, musiałam podporządkować się ludziom, którzy dzielili się dwiema parami kłapek, nigdy nie używali pieluszek ani nie jeździli windą. Ragge taktownie trzymał

się z boku, bo wolał się nie wtrącać, bez względu na to, co sam o tym myślał.

- Musisz się przebrać! - naciskała mama. Mało tego, wzięła mnie za rękę i łagodnie, lecz stanowczo skierowała w stronę swego domku.

- W Somalii bowiem kobieta, nawet jeśli nie ma co jeść, wkłada na siebie, co ma najlepszego i obnosi to z godnością, jak królowa. Mnie interesowało raczej, jak zapewnić moim rodakom dostęp do czystej wody pitnej, opieki medycznej i oświaty; nie przykładając natomiast wagi do ubioru. Wiedziałam jednak, że jeśli matka uprze się co do czegoś - nie ma innego wyjścia, tylko położyć uszy po sobie i słuchać. Musiałam więc zdjąć *dirah* z chłodnej bawełny i włożyć odświętną suknię z haftowaną halką i jedwabnym szalem dobranym pod kolor. Tym razem zadowoliliam matkę.

- Tak, włóż tę - zachęcała. - W tamtej nie wyglądałaś jak kobieta z dobrej rodziny.

Słońce zaczynało już mocniej przygrzewać i robiło się porządnie gorąco. Nie chciałam, aby Ragge przeze mnie spóźnił się do szkoły, więc czym prędzej zrzuciłam wszystko i przebrałam się od stóp do głów, uważając, żeby żadna część garderoby nie dotknęła klepiska z ubitej ziemi. W niskiej chałupce matki z trudem mogłam się wyprostować, a rozgrzany blaszany dach zamieniał jej wnętrze w rozpalony piec. Mama jednak nie dała mi spokoju, dopóki nie okryłam głowy szalem, który był strasznie śliski i nie chciał się trzymać. Musiałam zamotać go ciasno wokół szyi, żeby nie spadł w błoto. Nawet i to nie uchroniło mnie od chóru krytycznych głosów, ledwo wyszłam z chaty.

- Czyś ty zwariowała? Przecież ta sukienka jest przezroczysta! Koniecznie włóż coś pod spód. Nie masz jakiejś koszulki?

- Nie włożę nic więcej na siebie, bo i bez tego jest mi dosyć gorąco - spróbowałam się postawić. - Dopiero rano, a już jestem cała mokra!

Tymczasem zza węgła, jak spod ziemi, wyrosli moi bracia. Trzech wysokich chłopów, ramię przy ramieniu, chociaż dziwnym trafem nigdy nie było ich w pobliżu, kiedy się ich potrzebowało, teraz rzucili się na mnie ze wszystkich stron jak stado hien.

- Co ona robi? - wykrzyknęli zgodnym chórem. Mohammed, jak to zwykle on, od razu przybrał władcą pozę i oznajmił kategorycznie: - No nie, w takim stroju nigdzie nie pójdziesz!

Oczywiście, wszyscy zgodzili się z nim, dlatego dla świętego spokoju ustąpiłam i włożyłam na siebie, co tylko chcieli, byleby nareszcie stąd wyjść. Przez całą drogę do szkoły Ragge związał się ze śmiechu. W końcu zagroziłam, że jeśli zaraz nie przestanie, nawet nie przekroczę progu tej jego głupiej szkoły! To przyprawiło go o jeszcze potężniejszy atak śmiechu, aż dostał od tego czkawki. Obiekt, w którym miałam zaprezentować się w odświętnym stroju, był bowiem ceglany budynek z otworami zamiast okien, klepiskiem zamiast podłogi i byle jak skleconymi drzwiami, pokryty płaskim blaszanym dachem. Na tym tle musiałam wyglądać przekomicznie!

Wokół tego budynku uganiało się około setki dzieci w różnym wieku. Pieczę nad tym wszystkim sprawował Ragge i jego przyjaciel Ali, który przedstawił się jako kierownik szkoły. Ragge zaklaskał w dłonie i zakomenderował:

- Zbiórka! Czas na lekcje!

W tej szkole bowiem dzieci nie rozpoczynały zajęć o ustalonej godzinie. Lekcje zaczynały się po prostu od chwili przyjścia nauczycieli. Uczniowie ustawili się więc w pary i karnie pomaszerowali do wnętrza budynku. Dziewczynki w swych jaskrawoniebieskich i żół-

tych sukienkach z czerwonymi chustkami na głowach wyglądały jak kwiaty. Większość sukienek miała ten sam deseń, co świadczyło, że w miasteczku można było dostać tylko ten jeden rodzaj materiału. Jedna z dziewczynek, z buzią okrągłą jak księżyc w pełni i odstający-mi uszami, obdarzyła mnie promiennym uśmiechem i spojrzeniem pełnym cieleącego zachwytu. Od razu przypadła mi do serca, bo miała odwagę spoglądać mi prosto w oczy.

Przypominała tym mnie samą w moich dziecięcych latach. Chłopcy byli ubrani w rodzaj szkolnych mundurków, złożonych z białej koszuli z niebieską lamówką oraz długich, niebieskich spodni. Niektórzy byli tak chudzi, że zbyt luźne spodnie opadały im z bioder i wlokły się po ziemi. Cud, że nie potykali się o nie, jak ja o moją sukienkę.

Dzieci roiły się niczym pszczoły w ulu. Wołałam więc poczekać, aż wszystkie się usadowią, zanim wejdem i przywitam się z nimi. W pomieszczeniu przeznaczonym na klasę nie było ani stołu, ani krzeseł, brakowało też książek. Dzieci porozsiadały się wprost na ubitej ziemi, mało które miało choćby szmatkę do podłożenia. Wszystkie pary błyszczących oczu spoglądały w górę, gdyż te dzieci były naprawdę żądne wiedzy. Cieszyłam się, że mój kuzyn przynajmniej próbuje czegoś je nauczyć, i nie rozumiałam, dlaczego mój ojciec i bracia odnoszą się do niego z taką nieufnością. Czy dlatego że zamiast siedzieć i narzekać, starał się coś zmienić w swoim otoczeniu?

Ragge wskazywał dzieciom litery długim kijem. Nie miał do dyspozycji nawet tablicy, więc posługiwał się zwykłą deską pomalowaną na czarno. I tak jednak te wspaniałe dzieciaki pochłaniały każde jego słowo. Nie zwróciły nawet uwagi, że robię im zdjęcia, bo wpatrywały się w nauczyciela, jakby chciały go pożreć wzrokiem. Niektórzy chłopcy z przejęcia obgryzali ołówki, ale większość uczniów nie miała nawet tego. Dziecko, które miało ołówek i kawałek papieru, uchodziło za bardzo bogate. Ze smutkiem porównywałam je z dziećmi w mojej dzielnicy, które wołały włóczyć się po ulicach, niż siedzieć w szkole. Mnie ta możliwość nie była dana, chociaż przez całe życie pragnęłam nauczyć się płynnie czytać i poprawnie pisać. Niestety, zamiast siedzieć w klasie i słuchać nauczyciela, musiałam pracować na swoje utrzymanie, a wszystkiego, co umiem, nauczyłam się sama. Dlatego od razu zapomniałam o upale i niewygodnym stroju, bo szkoła zawsze wydawała mi się cudownym miejscem.

Ragge spytał, czy chciałabym powiedzieć coś dzieciom. Z radością skorzystałam z tej szansy.

- Cieszę się, że was widzę - przemówiłam do nich. - Macie szczęście, że możecie się uczyć w takiej wspaniałej szkole.

Dzieci wypytywały mnie, gdzie mieszkam, więc spróbowałam opowiedzieć im o Nowym Jorku.

- Są tam domy takie wysokie, że z ziemi nie widać ich dachów. Po ulicach jeździ mnóstwo samochodów, a wszystko jest zalane cementem, więc nie rośnie tam trawa...

W powietrze uniósł się las rąk. Najodważniejszy chłopak zapytał:

- To co w takim razie jedzą kozy?

- W Nowym Jorku nie ma kóz - odpowiedziałam.

- Skąd więc bierzecie mleko? - chciały wiedzieć dzieci. Rzuciłam pytanie, które z nich chciałoby zamieszkać w Nowym Jorku, i ze smutkiem stwierdziłam, że podniosły się prawie wszystkie ręce. Oznaczało to, że te dzieci chętnie opuściłyby swój kraj i przeniósł się na Zachód, chociaż nic o nim nie wiedziały. Zakładały z góry, że musi tam być lepiej niż w Somalii.

Spytałam kierownika, kto zbudował tę szkołę. Odpowiedział, że UNICEF przydzielił

starszyźnie wioskowej pieniądze na zakup cegieł i blachy. Ojcowie wspólnie pracowali, aby postawić szkołę dla swoich dzieci. Ali z dumą pokazał mi logo UNICEF na fasadzie budynku, który już był za ciasny, a codziennie przybywało więcej dzieci. Spytałam go, ile zarabiają nauczyciele, na co odpowiedział, że przy dobrej koniunkturze dostawali najwyżej po trzydzieści dolarów na miesiąc, ale już od dłuższego czasu nie otrzymują poborów.

- Od czasu do czasu ktoś przywozi tu jakieś pieniądze - opowiadał. - Nie wiem tylko, czy to dotacja z ONZ, czy w Somalii w ogóle jeszcze działa Ministerstwo Edukacji Narodowej.

- I jak sobie radzicie, kiedy wam nie płacą?

- Na szczęście ludzie nam pomagają. Ilekroć wejdę do czyjś domu, jeśli tylko gospodarze sami mają co jeść, dzielą się tym ze mną. Problem tkwi nie w jedzeniu, ale w tym, że nie mam za co postawić domu ani *złożyć* rodziny. Gdybyś mogła zorganizować nam jakąś pomoc... Mało tego, że nam nie płacą, to jeszcze nie mamy podręczników ani żadnego wyposażenia. Wszystko się nam przyda!

Po wyjściu ze szkoły zauważyłam kręcącego się po podwórku starego koguta. Z

przejęciem dziobał w ziemi, wyszukując ziarenek, a od czasu do czasu zadzierał głowę i piał

triumfalnie. Mimo to nikt poza mną nie zwracał na niego uwagi, co nasunęło mi skojarzenie z moim krajem. Bogate państwa zachodnie tak samo nie zauważają biednej, zacofanej Somalii.

Nhur wciąż napomykała, że moje odwiedziny powinno się uczcić wymalowaniem mi wzorów henną. Nie miałam nic przeciwko temu, przeciwnie, - cieszyłam się, gdyż jest to stara tradycja związana z pochwałą kobiecej urody. Henna symbolizuje radość, więc używa się jej w noc poślubną, dla uczczenia narodzin dziecka względnie podziękowania Allahowi za szczęśliwy powrót do zdrowia po ciężkiej chorobie. Kobiety malują się henną także wtedy, kiedy biorą udział w jakiejś uroczystości.

- Mogłabyś mi to zrobić? - zaproponowałam Nhur, ale odmówiła. Radziła, abyśmy poczekały na jej kuzynkę lub sąsiadkę, które podobno lepiej sobie z tym radziły. Trudno jednak było przewidzieć, kiedy i czy w ogóle któraś z nich się pojawi, więc naciskałam: - Nie czekajmy na nie. Zrób to sama!

Zakładałam, że Nhur umie malować wzory henną, bo przecież pochodziła z tych stron i przeżyła w tej wsi całe życie. Nie pomyślałam jednak, że ani ona, ani moja matka nie mają tych wzorów. Utrzymują się one mniej więcej przez dziesięć dni, więc malarki starają się nadać im jak najciemniejszy kolor i najmocniejszy odcień.

Któregoś dnia po południu poszliśmy więc z Nhur na targ i kupiliśmy barwnik. Nhur rozrobiła proszek ciepłą wodą, dodała trochę oliwy i wymieszała składniki, aby utworzyły pastę. Odstawiła ją na jakieś dziesięć minut, aby się ustała, a potem urwała patyczek i zaczęła nanosić nim wzór na moją łydkę, schodząc coraz niżej w dół ku stopie. Jednak henna ściekała, stapiając się w wielką kałużę.

- Co to ma znaczyć? - zaniepokoiłam się. Nhur wyznała, że tak naprawdę nie ma zbyt wielkiego pojęcia o malowaniu wzorów henną. Nie chciałam robić jej przykrości, więc zapewniłam, że wszystko jest w porządku. Narysowała mi podobny wzór na drugiej nodze, a potem wdałyśmy się w miłą, babską pogaduszkę. Poczęstowałam ją pomarańczami kupionymi na targu, ale odmówiła, co mnie zdziwiło.

- Kiedy chodziłam w ciąży z Aleeke, stale byłam głodna - zwierzyłam się jej. Nhur spojrzała na mnie ze smutkiem.

- Nie chcę dużo jeść, żeby dziecko za bardzo nie urosło - wyznała. - Dosyć się nacierpiałam, kiedy rodziłam córeczkę. Musieli mnie najpierw rozciąć, a potem zaszyć.

Mogłam tylko współczująco pokiwać głową i poklepać bratową po rękę, bo wiedziałam, jakim problemem jest urodzenie dziecka dla kobiety poddanej „obrzezaniu faraonów”. Jak ma się to dziecko wydostać przez taki mały otwór?

- Będę się modliła, żeby wszystko dobrze się udało - obiecałam. Podczas rysowania wzorów Nhur śpiewała *hoobeyo*, czyli piosenkę kobiet żalących się na swoją niedolę: *Moja córko, mężczyźni nas skrzywdzili,*

do pustego domostwa nas zwabili,

gdzie wielbłądzic nie ma mlecznych,

a i koni brak walecznych...

Po wymalowaniu wzorów na moich ramionach i dłoniach wyszłam na dwór, aby wyschły na słońcu. Nie chciałam, żeby henna się rozmasała, więc zdjęłam szal i halkę, a suknię podwinęłam, podsuwając obrąbek pod pachy. Wygrzewałam się w cudownym somalijskim słońcu jak jaszczurka i było mi bardzo dobrze, chociaż moje nogi wyglądały, jakbym wdepnęła w czerwoną farbę. Dla mnie jednak liczyło się najbardziej, że Nhur chciała okazać mi serce. Cieszyłam się, że mam bratową, która się o mnie troszczy i którą zdążyłam już pokochać.

Podczas gdy leżałam sobie wygodnie, nadszedł mój brat Mohammed i narobił rabanu:

- Co tu się dzieje? Nie wpuszczacie jej do chałupy czy co?

Na jego głos pokazały się moja matka i Nhur. Zobaczyły mnie i zaczęły biegać wokół z piskiem, jak spłoszone kury.

- Boże, co ona wyprawia? Podciągnęła sobie suknię aż do pasa! Zakryjcie ją czymś, szybko!

- Nhur, nie wygłupiaj się, bo dam ci klapsa - próbowałam sprowadzić całą rzecz do właściwych wymiarów. - Dostyc już narobiłaś mi kłopotów.

- Waris, nie możesz tak się pokazywać! - wyjąkała Nhur.

- Odczepcie się, wariatki! - opędzałam się od rozhisteryzowanych kobiet. - Komu się pokazuję? Kto mnie tu zobaczy? Pies z kulawą nogą tędy nie przechodzi!

Roześmiałam im się w nos, więc z westchnieniem orzekły:

- Och, jej już nic nie pomoże. Jest jeszcze gorsza, niż była. Popatrzcie, ona nas nawet nie słucha!

Po południu z wizytą do Nhur przyszły dwie nieznane mi kobiety. Zauważyłam, że mają szczególnie kunsztowne wzory wymalowane henną na rękach i nogach.

- Kto wam to narysował? - spytałam. - Takie piękne kwiaty i symbole?

- Same malowałyśmy - oznajmiły kobiety.

- A gdzie mieszkanie? - zainteresowałam się.

- W sąsiednim domu.

- Widzisz, to są te dwie sąsiadki, o których ci mówiłam - wyjaśniła Nhur. - Chciałam, żeby to one cię pomalowały, ale ty się uparłaś, żeby ja to zrobiła.

UMMI

Ummi to po arabsku tyle, co prostaczek

człowiek nie mający żadnej wiedzy oprócz tej,

która pochodzi od Boga.

Moja kochana mamusia nie odpoczywa ani przez chwilę. W przeddzień naszego odjazdu znikła gdzieś na dłuższy czas. Szukałam jej po całej wsi i wypytywałam o nią Mohammeda, Rashida i Burhaana, ale dopiero Nhur, kiedy wróciła z targu, udzieliła mi konkretnej informacji. Powiedziała, że matka wyszła z domu, zanim jeszcze kury się obudziły, i udała się w kierunku błękitnych pagórków wyznaczających granicę z Etiopią. Kiedy nad wioskę wypełzł już dolny brzeg tarczy słonecznej, zauważyłam na horyzoncie drobną figurkę z ciężkim brzemieniem na plecach. Wyglądała jak diabełek albo duszek ognia, bo wokół niej wirowały fale rozgrzanego powietrza.

Mama dźwigała naręczę chrustu i jedną dużą, uschniętą gałąź, wszystko to owinięte w swój szal. W tym samym szalu nosiła, co się dało, od koźląt po drewno opałowe, nic więc dziwnego, że zabrudził się i wystrzępił. Jakby mało jej było tego ciężaru - w każdej ręce niosła jeszcze plastikowy dzban z wodą o pojemności pięciu galonów. W porze największego upału chciało się jej jeszcze wędrować po wodę do źródła!

Oczywiście, wybiegłam jej na spotkanie i odebrałam od niej część ciężarów.

- Mamo - czyniłam jej wyrzuty. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, dokąd idziesz?

Przecież bym ci pomogła!

- Wtedy jeszcze spałaś. - Wzruszyła ramionami, śmiejąc się.

- Mamo! - ofuknęłam ją i zmusiłam, aby oddała mi dzbany z wodą. Zrobiła to, nie przerywając marszu i uśmiechając się pobłaźliwie.

- Założę się, że moja matka jest silniejsza niż trzy dowolnie wybrane osoby. Ciężko pracowała przez całe swoje życie i podczas gdy ja prezentowałam stroje na wybiegach Paryża i Mediolanu - ona w pocie czoła zbierała chrust zesłany przez Allaha i podtrzymywała ogień płonący na Jego chwałę.

Mama złożyła na ziemi swój ciężar i zaczęła wypytywać Nhur, co dostała dziś na targu. Bywały bowiem dni, kiedy trudno było cokolwiek kupić i ten dzień też do takich należał. Zazwyczaj rzeźnik wieszał na haku oskórowaną tuszę kozy lub barana w całości, aby klienci mieli dowód, że zwierzę zostało rytualnie ubite. Odganiał muchy, a na żądanie wycinał zamówioną partię - żeberko, łopatkę lub nogę, każdą część w innej cenie. Dziś jednak na rynku zabrakło przekupnia z mięsem i choć matka naniosiła dREW na duże ognisko - nie było co na nim postawić z wyjątkiem ryżu i koziego mleka.

Mama zawołała więc mojego brata Rashida. Gdybym to ja poprosiła go o cokolwiek -

wykręcałby się, ile by tylko mógł, ale wystarczyło, że matka wymówiła jego imię, a pędził jak na skrzydłach. Poleciała mu odszukać ostatnie z tegorocznych kozłat, nazywane przez nas *Ourgl Yeri*.

- Co chcesz zrobić z tym ślicznym kozłatkiem? - zaniepokoiłam się, ale matka nie zwracała uwagi na moje słowa i spokojnie układała drwa na ognisko. *Ourgl Yeri* był białym koziołkiem z czarnymi i brązowymi łatami na kostkach nówek, co wyglądało, jakby klękał do modlitwy na błotnistej ziemi. - Mamo, naprawdę nie musisz tego robić! Nie zabijaj swojego ostatniego kozłatka tylko ze względu na mnie. Zachowaj je dla siebie, ja naprawdę mogę świetnie obejść się bez mięsa!

- Takie już jest życie, Waris - odpowiedziała filozoficznie mama. Wprost emanowała wiarą, co udzielało się także jej otoczeniu. Wierzyła, że Allah nie da jej umrzeć z głodu, więc zaprzestałam dyskusji.

Rashid też nie protestował, tylko wziął ze sobą długi nóż rzeźnicki. W porze deszczowej kozy same znajdują pożywienie, bo z ziemi wciąż strzelają nowe źdźbła, więc bez kłopotu złapał *Ourgl Yeri*. Zaniósł go na tyły domku matki, a Burhaan pomógł mu odciągnąć szyję zwierzęcia. Biedne maleństwo przeczuwało, co się święci, bo wrywało się i beczało rozpaczliwie. Nie mogłam patrzeć na śmierć takiego miłego stworzonka, choć rytualny ubój według muzułmańskich wymogów religijnych polega na szybkim i bezbolesnym poderżnięciu gardła. Moja rodzina nie zjadłaby mięsa zwierzęcia ubitego w inny sposób.

Matka też musiała ciężko to przeżyć, bo bardzo kochała tego koziołka. Nieraz widziałam, jak go pieściła i drapała pod bródką. Kozy były dla niej wszystkim, gdyż dostarczały mleka, które czasami bywało jedynym pożywieniem zarówno jej rodziny, jak i rodziny mojego brata, małego Mohammeda, a nawet sąsiadów. Teraz musiała zarznąć ostatnie tegoroczne kozłę, aby nakarmić swoich bliskich. Dzieliła się wszystkim, co miała, nie myśląc o jutrze.

Nagle zapanowała taka cisza, że słychać było gruchanie gołębi na dachu domku sąsiada. Tylko matka zachowywała stoicki spokój, chociaż i ona przez chwilę w milczeniu spoglądała w kierunku wzgórz. Dla mnie głód ma ludzkie oblicze i jest to twarz mojej matki.

Jedyny jej majątek stanowiło pięć kóz, z których pozostało teraz tylko trzy, bo dwoje młodych zjedliśmy.

Rashid przyniósł matce tuszę kozłęcia, a łeb osobno, w stożkowatym, ciasno plecionym koszyku. Mama wyostrzyła nóż na kamieniu, wypatroszyła kozłę i obdarła je ze skóry, którą zachowała, aby kiedyś sporządzić z niej siedzenie do trójnożnego stołka.

Naciągało się nań świeżą, jeszcze wilgotną skórę, która po wyschnięciu napinała się jak skóra na bębnie. Mięso matka pokroiła i wrzuciła do garnka, nawet oczy, nos i wargi zwierzęcia.

Dwa małe różki dała do zabawy Moham- medowi *Inyerowi*, który tańczył z nimi wokół

ogniska i dał w nie jak w trąbkę. Potem jednym rogiem zaczął grzebać w ziemi, wznosząc tumany kurzu.

- Nie pętaj mi się koło garnka, bo zabiorę ci te rogi i założę sobie na głowę! -

postraszyła go babcia, błyskając nożem. Chłopczyk odskoczył i popędził pochwalić się swoim „skarbem” przed kolegami, bo nikt nie bronił mu biegać, gdzie chciał.

Nieraz zastanawialiśmy się z braćmi, ile lat może mieć nasza matka. Przeliczając według pór deszczowych, doszliśmy do wniosku, że powinna mieć około pięćdziesięciu siedmiu lat, choć wyglądała na osiemdziesiąt lub więcej. Z pewnością wpłynęła na to ciężka praca i trudne warunki życia. Nieustanna walka o byt odbiła się na jej twarzy i całym ciele.

Pod skórą nie miała ani grama tłuszczu, jej stopy były spękane i zgrubiałe jak nogi słonia, a oczy - zamglone i nie odbijające słońca.

Dziękowałam Allahowi, że dał jej taką siłę i wolę walki. Wszystko, co robiła, przepełniała głęboką wiarą i to ją umacniało wewnątrz. Oboje moi rodzice byli obdarzeni tymi tajemniczymi mocami natury i to zastępowało im opiekę społeczną, ubezpieczenie na życie i fundusz emerytalny. Ojciec mógł być na wpół ślepy, a matka nie ważyła więcej niż osiemdziesiąt funtów i miała kulę w piersi, ale i tak oboje byli silniejsi ode mnie. Mama pochowała połowę swoich dzieci, a cała jej droga życiowa była najeżona cierniami, lecz mimo wszystko nie straciła odwagi i nadziei.

Po południu ojciec ze swego posłania zaczął wołać i wypytywać, kto jest przy nim.

- To ja, ojcie - odezwałam się, podchodząc bliżej.

- A gdzie jest Mohammed? O tej porze powinien zapuścić mi krople do oczu.

- Nie wiem, bo w tej chwili nikogo nie ma w pobliżu - odpowiedziałam.

- Potrzebuję Mohammeda, Burhaana albo twojej matki, żeby zapuścili mi te krople -

narzekał. Najwyraźniej uważał mnie ciągle za małą dziewczynkę, więc musiałam go przekonać, że potrafię to zrobić równie dobrze.

- Ojcie, ja od tamtych czasów urosłam tyle samo co chłopcy - dowodziłam. - Wiem, co mam robić.

Delikatnie odwinęłam bandaż i obmyłam mu twarz czystą wodą. Zauważyłam, że obrzęk się zmniejszył, wskutek czego ojciec mógł już łatwiej mówić i jeść, ale oko nadal wyglądało okropnie. Oczodół się zapadł, a skóra na powiekach przybrała niezdrowy, żółty odcień. Jednak po zapuszczeniu kropli ojciec stwierdził, że widzi już trochę lepiej.

- A co widzisz? - dopytywałam.

- Przeważnie cienie, ale może także niektóre kolory i kształty...

- To prawdziwa łaska boska - przyznałam. - Chwała Allahowi, że w ogóle wyszedłeś z tego z życiem. Mam nadzieję, że następnym razem udasz się prosto do szpitala w Galcaio, a nie pozwolisz

się kroić jakiemuś szalonemu znachorowi.

- *Hiyea* - wyszeptał. Ponownie zabandażowałam oko, żeby uchronić je przed kurzem i muchami. Podałam mu dwie pokruszone tabletki tylenolu rozpuszczone w herbacie, bo nie mógł połknąć ich w całości. Przynajmniej tym mogłam mu pomóc, ale nie wypił tej herbaty zbyt dużo.

Po wspólnym posiłku zapewniłam go:

- Ojcie, teraz wyjeżdżam, ale następnym razem na pewno zostanę dłużej. Te osiem dni minęło tak szybko! Postaram się przyjechać tu przynajmniej na dwa miesiące.

- To może wtedy nauczysz się tak rozpalać ognisko, żeby nie za dymić całej okolicy -

zażartował Rashid, a Mohammed tylko pokiwał głową.

- Nie do was mówię, wy nieroby - odcięłam się. Wzięłam ojca za rękę i zaczęłam mu opowiadać o swoich planach: - Przywiozę tu Aleeke i zostaniemy kilka miesięcy, żeby mógł

dobrze poznać swoją rodzinę. Tylu rzeczy nie zdążyłam zobaczyć, z tyloma ludźmi nawet się nie przywitałam, bo mieliśmy tak mało czasu!

- A od jak dawna nie było cię u nas? - spytał ze zdziwieniem Rashid.

- Od dwudziestu lat.

- I na jak długo przyjechałaś?

- Na tydzień.

Brat spojrział na mnie jak na wariatkę, bo niedorzecznością wydało mu się przebywać taki szmat drogi tylko po to, aby gościć u rodziny na tak krótko. Na szczęście sytuację uratował ojciec.

- Najważniejsze, że w ogóle przyjechałaś, Waris - podsumował.

Mój ostatni wieczór spędzony z rodziną miał szczególny charakter. Ledwo się ściemniło, rozesłaliśmy plecione maty i płachty na ziemi wokół ogniska. Noc zapowiadała się pogodna, więc komary nie atakowały i można było spokojnie siedzieć na dworze. Nawet kozy ułożyły się u stóp mojej matki. Najstarsza z nich, Biała, chrapała przez sen, co wszystkich okropnie śmieszyło. Tylko mama nie pozwalała szydzić ze starej kozy.

- Nie śmieJCie się z niej, bo mleko jej skwaśnieje! - upominała.

- Ale ona strasznie pierdzi! - odpowiedział Rashid z niewinną miną, aż matka musiała go skarcić.

Podzieliłam się z ojcem, matką i braćmi radością, że widzę ich wszystkich zebranych w jednym miejscu. Rzeczywiście, rodzinie koczowników rzadko się zdarza zasiadać wspólnie przed jednym domkiem. Ani moim braciom, ani siostram, ani mnie przez całe życie nie udało się zobaczyć swojej

rodziny w komplecie. Dla pewności zapytałam rodziców:

- Kiedy ostatnio siedzieliśmy tak wszyscy razem?

- Nigdy - odpowiedział ojciec.

- No więc mamy dziś prawdziwe święto i dzięki Allahowi za to - oświadczyłam.

Mohammed nie odzywał się, ale w milczeniu spoglądał na wygwieżdżone niebo i domyśliłam się, że zawczasu przeżywa jutrzejszą podróż. Pewnie się obawiał, że taki zjazd rodzinny może już się nie powtórzyć.

Matka w zadumie przyglądała się swemu najstarszemu synowi. W którymś momencie zaczęła:

- Żył sobie raz sułtan, bogaty i sławny...

- *Hiyea!* - wykrzyknęliśmy chórem, gdyż jasne było, że matka chce opowiedzieć nam bajkę. Oczy jej błyszczały w świetle płomieni ogniska, a każde zdanie wzmacniała bogatą gestykulacją.

- Nosił haftowane koszule i przechadzał się po miękkich dywanach. Mieszkał w pałacu w Mogadiszu, na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, bo chciał, żeby przez okna wpadał

mu wiatr od morza. Sprowadzał do swego pałacu najdroższe klejnoty i jedwabie z Arabii, a we wszystkich komnatach palono mu wonne kadzidła. Jednak mimo ogromnego bogactwa nie był szczęśliwy, choć sam nie wiedział dlaczego. Miał wiele żon, które wiecznie się kłóciły, synów, którzy bili się pomiędzy sobą, i córki, które kaprysiły. Mógł kupić wszystko, czego zapragnął, z wyjątkiem szczęścia i zadowolenia. W końcu, po kolejnej bezsennej nocy, zawezwał do siebie swoje sługi i rozkazał im: „Ruszajcie w drogę i przemierzajcie całe moje państwo wzdłuż i wszerz, dopóki nie znajdziecie prawdziwie szczęśliwego człowieka.

Gdybyście takiego spotkali, przywieźcie go do mnie, bo chciałbym z nim porozmawiać”.

Słudzy rozjechali się po całym kraju, aż któregoś dnia zauważyli biedaka, który śpiewał przy wyciąganiu wody ze studni. Nucił również, gdy doił swoją jedyną chudą wielbłądnicę i nawet skąpą ilością udojonego mleka podzielił się z sułtańskimi sługami. Nie dojadał, ale mimo to śmiał się i żartował. „Czy jesteś szczęśliwy?” - spytali go wysłannicy sułtana. „A niby dlaczego miałbym być nieszczęśliwy?”.

„No więc jedź z nami na dwór sułtana! - zaproponował najstarszy z nich. - Nasz pan chciałby cię poznać”.

Ubogi pasterz zgodził się i pozwolił się przewieźć z pustyni do Mogadiszu. Nigdy w życiu nie widział takiego miasta, tylu ludzi w jednym miejscu, tylu barw. Sułtan ugościł go szczerze, częstował wykwintnymi owocami i słodyczami, wyprawił na jego cześć ucztę i podarował haftowany burnus. „Jak ty to robisz, że jesteś szczęśliwy?” - wypytywał, rozparty na miękkich poduszkach. Jednak biedny koczownik nie potrafił mu odpowiedzieć, bo zapomniał języka w gębie. Zresztą, sam nie wiedział, dlaczego jest szczęśliwy, chociaż klepał

biedę na pustyni - po prostu tak czuł. Zawiedziony sułtan wypędził go z pałacu i pasterz wrócił do swojej wielbłądzicy i wystruganej z drewna miski na mleko. Nie mógł jednak zapomnieć o bogactwach, jakie widział w pałacu sułtana, dlatego przestał być szczęśliwym człowiekiem.

- *Hiyea* - potwierdziłam, gdyż w tej opowieści tkwiło sporo prawdy. Mohammed odwrócił się od światła i nakrył twarz burnusem.

Na nocnym niebie co wieczór przybywało gwiazd, jakby się rozmnażały. Cisza aż dzwoniła w uszach, nie przerywana żadnym dźwiękiem. Na Zachodzie praktycznie nie ma miejsca, gdzie nie byłoby słycać przynajmniej oddalonego warkotu samochodu. Nie istnieje tam absolutna cisza, taka jak na pustyni. Kiedy umilkły już opowiadki i żarciki, położyłyśmy się z mamą i Nhur spać obok dzieci. Słyszałyśmy z oddali złośliwy śmiech hien, ale miałyśmy pewność, że nie przyjdą do wsi i nie napadną na ludzi.

Przez całą noc dręczyły mnie koszmarne sny. Śniło mi się, że zabłądziłyśmy z mamą na pustyni i o mało nie umarłyśmy z głodu i pragnienia. Kiedy z trudem wdrapałyśmy się na wysoką górę, u jej podnóża ujrzałam dom, w którym płonął ogień, a na palenisku perkotał

czajnik. Z ulgą zawołałam do matki: „Mamo, tam jest dom i ludzie! Chodź, jesteśmy uratowane!”. Zbiegłam na dół i już z daleka krzyczałam: „Hej, jest tam kto?”. Nikt mi jednak nie odpowiadał, a kiedy podeszłam bliżej - moją uwagę zwróciła dziwna para dobywająca się z dzióbka czajnika. Zajrzałam więc do środka, aby sprawdzić, co tam jest, bo przecież nieraz gotowało się w czajniku dla oszczędzenia wody. Jednak gdy zdjęłam pokrywkę, z przerażeniem zobaczyłam wrzącą krew i gotującego się w niej człowieka! Cofnęłam się z odrazą, ale po obu moich bokach wyrosły dziwne postacie - niby ludzkie, ale bardziej przypominające diabły o zapadłych policzkach i pustych oczodołach. Krzyknęłam więc do matki, która już schodziła z pagórka: „Mamo, nie wchodź tutaj, uciekaj!”.

Ona jednak wymawiała się: „Waris, ja już nie umiem biec szybko. Ty uciekaj!”. Nie chciałam zostawiać jej samej, ale diabły podchodziły coraz bliżej. Zaklinałam ją: „Mamo, musisz uciekać ze mną!”. Zaczęłam uciekać, ale ona nie mogła za mną nadążyć. Wołałam do niej: „Mamo, odgon te diabły!”.

„Uciekaj, Waris!” - krzyczała, a ja odpowiadałam: „Nie, mamo, ja cię nie opuszczę!”.

„Ty uciekaj, mnie nic nie będzie!” - ona na to, ale kiedy się obejrzałam - zobaczyłam, że diabły już siedzą jej na karku i wymachują długimi rzeźnickimi nożami. Upadła, ale kiedy próbowałam zawrócić - jeden z napastników rzucił się w pościg za mną. Biegłam więc, padałam i zrywałam się z krzykiem. Z krzykiem także się obudziłam.

Musieliśmy wyjechać wcześniej rano, żeby w ciągu jednego dnia dostać się do Bosasso. Trudno mi było się zmobilizować, ponieważ czułam się nieszczęśliwa. Matka wstała jeszcze przed zachodem księżyca, aby odmówić modlitwy. Rozwinęła na dworze swój dywanik modlitewny, uklękła zwrócona twarzą w stronę świętego miasta Mekki, „pępka świata”, i zawodziła: „Nie ma Boga oprócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem!”. Zawsze uwielbiałam ten śpiew, który był treścią życia mojej matki. Pory modlitw wyznaczały jej rozkład dnia i nigdy ich nie opuściła, choćby miała

nie wiadomo ile pracy. Całe swoje życie podporządkowała Allahowi i pięć razy dziennie nawiązywała kontakt z wiecznością.

A ja swoje życie podporządkowałam datom, godzinom i terminom! W całym moim mieszkaniu pełno jest zegarów i kalendarzy, a jeżeli umówiłam się z moim agentem na przykład na drugą - to choćby się paliło i waliło, muszę być posłuszna wskazaniom zegarka.

Zgodnie z dyktatem dwóch małych wskazówek muszę o wyznaczonej godzinie tkwić choćby i na deszczu, podczas gdy moja matka uznaje nad sobą tylko wolę Allaha. Od Niego czerpie godność i siłę, a ja się tylko denerwuję i moknę.

Od wschodu nadleciało kilka dzikich gołębi, które usiadły na dachu domku matki. U

nas nazywa sieje anielskimi ptakami, bo mają na piersiach czarny sierp z piórek przypominający naszyjnik z amuletem. No i tak jak anioły przynoszą dobrą nowinę, więc upewniłam się, że Allah będzie miał w opiece moją mamusię.

Moja kochana bratowa Nhur usmażyła specjalnie dla mnie *angelle*. Przykucnęła przy rozżarzonych węglach i piekła placki, na które ciasto zamiesiła już wczoraj. Nie mogłam ich zabrać ze sobą do domu, ale chciałam utrwalić je na zdjęciach, aby mi przypominały ten szczególny smak i zapach. Kiedy jednak wycelowałam w Nhur obiektyw, podniosła swój długi nóż i zamarkowała w powietrzu pchnięcie, wystawiając przy tym język w moim kierunku. Śmiejąc się, zagroziła:

- Tylko spróbuj przeszkadzać mi w gotowaniu!

- Pewnie mnie przebijesz, jeśli podejść bliżej? - prowokowałam ją, bo wiedziałam, że w zaawansowanej ciąży i w długiej sukni Nhur ma ograniczoną swobodę ruchów. Bezcelnie obfotografowałam ją ze wszystkich stron, bo nie mogła przecież odejść od smażących się placków, żeby ich nie przypalić.

Prędko zbiegły się sąsiadki, aby przymówić się o jakiś upominek. Wiedziały przecież, że nie będę chciała taszczyć z powrotem wszystkiego, co przywiozłam. „Daj mi to masło kakaowe! A mnie ten szal!” - przekrzykiwały się. - „Przecież nie będziesz już tego potrzebować!”.

Nie miałam zbyt wiele do podarowania, ale rozdałam im, co mogłam. Wyglądało to jak wyprzedaż.

Bywają dni, kiedy słońce przesuwają się nad horyzontem jak oszalałe i ten dzień do takich należał. Wbrew wskazaniom zegarów czas nie zawsze upływa jednakowo! W

pierwszej kolejności chciałam pożegnać się z ojcem, który odpoczywał w domu Burhaana, ale ciężko mi było wykonać jakikolwiek ruch w tym kierunku - czułam się, jakbym ważyła dziesięć ton. W języku somalijskim istnieje specjalne określenie na ostatnią rozmowę z kimś, kto ma wyjechać, i mój ojciec użył właśnie tego słowa. Popłakałam się, bo taki był słaby i bezradny. *Aba* usłyszał to i spytał:

- Czemu płaczesz, dziecko?

- Bo tak bym chciała, żebyś zobaczył moją twarz, zanim wyjadę!

- Córko, przecież wiesz, że cię nie widzę.

Jedno oko miał przewiązane, drugie zasnutę bielmem, a na żadne nie widział. Mimo to powtarzałam:

- Chciałabym, żebyś zobaczył moją twarz, moje oczy... żebyś mógł mi się dobrze przyjrzeć. Przecież ostatni raz widziałeś mnie dwadzieścia lat temu. Pewnie już zapomniałeś, jak wyglądałam. Wyjechałam stąd jako mała dziewczynka, a teraz jestem już dorosłą kobietą.

Wyciągnął do mnie rękę, więc ujęłam jego dłoń i powiodłam nią po swojej twarzy, aby mógł wyczuć moje rysy, gładkość skóry i kształt nosa. Dotknięcie jego palców było nieśmiałe i czułe, więc zmoczyłam je łzami. Wolałabym zobaczyć takiego twardego i surowego ojca, jakiego wcześniej znałam i bałam się bardziej niż lwa.

Ojciec zdawał się czytać w moich myślach, bo pocieszył mnie mówiąc:

- Waris, wszyscy starzejemy się i zmieniamy. Nic już nie będzie takie samo.

- Pewnie wszystko ma swoją przyczynę, lecz Allah jeden ją zna! - załkałam.

Tymczasem reszta rodziny czekała, żeby się ze mną pożegnać, a Mohammed naciskał

klakson. - Muszę już jechać, tatusiu!

- Czekaj, mam coś dla mojego wnuka, *xudden-xir* - przypomniał sobie ojciec i wręczył mi długi włos wyskubany z sierści wielbłądzicy. Był to tradycyjny podarek dla nowo narodzonego dziecka, więc ryknęłam jeszcze głośniejszym płaczem, aż ojciec szepnął mi do ucha: - Zrób to dla mnie i nie płacz przy ludziach. Jesteś już dorosłą kobietą, a ja jeszcze żyję.

Będiesz mnie opłakiwać, kiedy umrę, a na razie idź już sobie!

Na swój sposób dał mi do zrozumienia, że mnie kocha i pragnie, żebym była silna, bo wiedział, że przyda mi się to w życiu.

- Pamiętasz, tatusiu - wróciłam pamięcią do tego tematu - jak któregoś dnia siedzieliśmy tu razem i ktoś powiedział, że jestem podobna do ciebie? Inni znowu uważali, że bardziej przypominam matkę, a ja wiem, że po tobie odziedziczyłam siłę, a po mamie mądrość i urodę.

- Wszyscy się śmiali, kiedy to powiedziałam, ale wiem, że to prawda.

- Pamiętaj, Waris, że masz po mnie siłę - potwierdził. - Staraj się zachować ją na zawsze.

Zorientowałam się już, czego najbardziej potrzebowałaby moja rodzina, choć nikomu nie przeszłoby przez gardło, aby o to poprosić. Sama więc obiecałam:

- Prześlę wam pieniądze na wykup za Nhur, kiedy tylko dotrę do jakiegoś banku.

Ojciec ujął moją rękę i przyłożył sobie do piersi w miejscu, gdzie biło serce. Potem odwrócił się do

ściany i wiedziałam, że się rozplacze, gdy tylko wyjdę, ale nie chciałam, żeby to widziała.

Z płaczem wybiegłam z chaty i wtedy zatrzymała mnie matka.

- Hej, poczekaj no! Jak to jest, on zasługuje na twój płacz, a ja nie?

- Mamo, jedź ze mną! - błagałam, chwytając ją za rękę.

- Nie mogę, Waris - odmówiła. - Muszę się opiekować twoim ojcem i Mohammedem *Iny erem*.

- Dobrze, ale wrócę tu po ciebie i zabiorę cię do Nowego Jorku.

- Za stara już jestem na obce kraje - sprzeciwiła się. - Wystarczyło mi, jak byłam u twojej siostry w Abu Dhabi. Widziałam tam góry złotej biżuterii, nawet drzewo zrobione całe ze złota. Równocześnie dzieci żebrały tam na ulicach, ogryzały kości lub umierały z głodu i nikogo to nie wzruszało. Nie mogłabym mieszkać w takim miejscu.

- Mamo, Nowy Jork jest inny.

- I co z tego? Czy miałabym tam do kogo otworzyć usta, jeśli mówię tylko po somalijsku? Kogo mogłabym odwiedzić, gdyby wszyscy moi krewni i znajomi zostali tutaj? -

Nie przestawała mówić, odprowadzając mnie do samochodu i trzymając za rękę. - Dziecko, w tym Abu DhaWjest tak samo gorąco jak tu i ludzie też modlą się pięć razy dziennie, ale co warta jest taka modlitwa, jeśli dzieci obok przymierają głodem?

- Mamo, ja tak cię potrzebuję! - próbowałam ją przekonać.

- Ale ja nie potrzebuję nigdzie wyjeżdżać. - Potrząsała głową. - Tu jest mój dom, tu chcę żyć i umrzeć.

Miała rację. W Nowym Jorku nie wytrzymałaby ani dnia. Byłaby tam nieszczęśliwa, bo nie miałaby dokąd pójść, jak co rano. W Nowym Jorku nikt nie zrozumiałby jej żartów o pierdzącej kozie, a zresztą z kim miałaby żartować? Mrugnęła więc do mnie porozumiewawczo.

- Nie mogę zostawić moich dzieci, a szczególnie tego największego... Co będzie, jeśli to wielkie dziecko, twój ojciec, nie znajdzie sobie innej żony?

- Mamo, ty już potrzebujesz kogoś, żeby zaopiekował się tobą - tłumaczyłam. Za wszelką cenę chciałam zabrać ją z sobą do Nowego

Jorku, ale było to egoistyczne pragnienie. Marzyło mi się, żeby wniosła swój spokój w mój dom, życie mojego syna i moje.

- Nie, moje miejsce jest tu, gdzie mnie Allah powołał. - Przytuliła mnie mocniej i pocałowała w czoło. Wiedziałam, że matka jest podporą całej naszej rodziny, jak mocne, stare drzewo sięgające koroną nieba.

- Och, mammo! - Z płaczem uściśnęłam ją ostatni raz, Burhaana, Rashida, Raggego, stryja Ahmeda, jego małą Ashę i Nhur. Rashid, wskazując na swoje nieskazitelnie białe zęby, wręczył mi dziesięć pręcików z krzewu *corday*, które wyciął dziś rano. Z radością wrzuciłam je do swojej torby. Potem wsiedliśmy z Mohammedem do samochodu i musiałam patrzeć, jak wszyscy, których kocham, stopniowo nikną mi z oczu. Wreszcie zasłoniły ich wzgórza, które musieliśmy przejechać, aby się dostać na szosę Borama prowadzącą do Bosasso.

Nie mogłam pohamować łez żalu za matką, którą kocham jak nikogo na świecie, a godności i wdzięku mogę jej tylko pozazdrościć. Była rodowitą Somalijką i taką miała pozostać. Znała swoje miejsce na ziemi, jakie wyznaczył jej Allah, akceptowała je i dziękowała za to Wszechmocnemu. Nie próbowała nawet kwestionować woli Najwyższego, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Ja ze swej strony uciekałam, gdyż nie mogłam pogodzić się z przypisaną mi rolą, ale wciąż nie potrafiłam dojść do ładu sama z sobą.

Chciałabym umieć tak się godzić z losem jak moja matka, ale nie mogłam się na to zdobyć.

Nie odpowiadał mi taki model życia, więc wybrałam inny, ale doskonale rozumiałam, co matka miała na myśli, mówiąc:

- W somalijskiej wiosce dobrze jest żyć temu, kto się tam urodził, wychował i nie zna niczego innego.

Miała w sobie coś nieuchwytnego, co jednak warte było więcej niż wszystkie bogactwa Zachodu. To coś to spokój ducha i umiejętność pogodzenia się z życiem.

DROGA POWROTNA

Kobiety to sidła szatana.

Przysłowie somalijskie

Nasza podróż do Bosasso przebiegała zupełnie inaczej, niż kiedy szukaliśmy wsi mojej matki. Droga gruntowa pokryta była teraz czerwonym błotem, a we wszystkich dołkach stała brunatna woda. W niektórych miejscach szosa zamieniała się w rzekę. Koła samochodu grzęzły w błocie lub podskakiwały na wybojach, toteż gdybym się czegoś nie trzymała, mogłabym ponabijać sobie guzy albo wypaść z wozu. A gdybyśmy gdzieś utknęli -

pozostawałoby tylko czekać, aż nadjedzie jakiś większy samochód lub ciężarówka i nas wyciągnie.

Mimo to zachwycalam się widokami, bo wszystko wokoło pięknie się zazieleniło. Po niebie przesuwaly się puszyste obłoczki, a temperatura utrzymywała się w rozsądnych granicach. Nie mogłam jednak powstrzymać się od płaczu, bo ciężko mi było rozstawać się z rodzicami. Modliłam się, aby ojciec powrócił do zdrowia i mógł znowu widzieć. Mohammed i wynajęty przez nas kierowca, Musa, wspominali upał, jaki panował, kiedy przybyliśmy do Somalii. Musa wiedział o kilku przypadkach zgonów ludzi, którzy zbyt długo przebywali na słońcu.

Nie przerywaliśmy jazdy, aby na wieczór dojechać do Bosasso. Musa, przyjaciel Mohammeda, również należący do klanu Darod, nigdy w życiu tam nie był, więc zastanawiałam się, jakim sposobem orientuje się, jaki wybrać kierunek, nie mając do dyspozycji mapy ani żadnych znaków drogowych. Tym bardziej że wciąż mijaliśmy skrzyżowania biegnących w różne strony dróg, z których żadna nie robiła wrażenia głównej.

Miałam tylko nadzieję, że diabeł czyhający na każdym skrzyżowaniu nie spleta nam przykrego figla.

Musa jednak bez wahania wybierał właściwy kierunek - przed południem w stronę przeciwną niż słońce, a po południu ze słońcem. Przez zarośla przedzierały się antylopy dik-dik, podobne do małych jeleni na patykowatych nóżkach. Raz minęliśmy nawet gazelę gerenuk, która stała na tylnych nogach, oskubując listki akacji. Była tak pochłonięta jedzeniem, że nie zwróciła uwagi na przejeżdżający samochód. Ze zbrocza poszczekiwał na nas ostrzegawczo stary samiec pawiana wraz ze swym stadem, demonstrując długie kły i obficie owłosione ramiona.

Tymczasem zdążyłam już tak zgłodnieć, że oświadczyłam:

- Róbcie, co chcecie, ale ja dłużej nie wytrzymam. Muszę coś zjeść!

- Dobrze - zgodził się Musa. - Znam taką jedną herbaciarnię, gdzie można coś przekąsić. A co tu podają? - Marzył mi się pełny talerz ryżu z pikantnie przyprawioną koźliną albo kebabem. Miałam też nadzieję, że będę mogła napić się wielbłądziego mleka, które jest tak tłuste i pożywne, że może doskonale zaspokoić głód. Zabrakło go w wiosce mojej matki, bo z powodu suszy wielbłądzice nie dawały mleka. Przypomniały mi się trójkątne ciasteczka *zambusi*, wypiekane na zakończenie ramadanu, podawane z obficie słodzoną herbatą, przyprawioną mlekiem i kardamonem... Byłam tak

głodna, że żołądek przysychał mi do kręgosłupa.

- Nie wiem, co im jeszcze zostało o tej porze, ale coś na pewno mają, można tu nieźle zjeść, bo sam tu nieraz jadałem - pocieszył mnie Musa.

Najpierw zwolnił, a potem zatrzymał samochód przed dosyć obskurnym lokalem położonym nieco na uboczu. Oprócz restauracji znajdowała się tam tylko stacja benzynowa i kilka chałup. Sama herbaciarnia składała się głównie z czerwonego blaszanego dachu rozpiętego nad kawałkiem wolnej przestrzeni i kuchnią, z której dym unosił się prosto w górę, gdyż nie powiewał nawet najlżejszy wiaterek. W cieniu starych drzew zbudowano taras, na którym siedziało może z pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu mężczyzn. Jedyne umeblowanie stanowiły popękane metalowe stoliki i drewniane ławy, ale wioska była tak mała, że zachodziłam w głowę, skąd w tym lokalu wzięło się naraz tylu gości i dlaczego zebrali się akurat o tej porze.

Musa i Mohammed dzięki swym długim nogom wyprzedzili mnie i pierwsi weszli do sali restauracyjnej. Ledwo postawiłam pierwszy krok w tym samym kierunku - na sali rozległy się pomruki: „No, nie, tylko nie to!” i „Co ona robi?”. Nie zważałam na nie i śmiało przepychałam się między stolikami, kiedy od strony kuchni wyłonił się mężczyzna, który zastąpił mi drogę. Wyglądał na kelnera, chociaż nie nosił fartucha i nie grzeszył schludnością.

Próbowałam go obejść, ale on wciąż stał przede mną, powtarzając: „Przepraszam, przepraszam...”. Ponieważ nie zwracałam na niego uwagi, wywnioskował, że nie mówię po somalijsku. Zaczął więc wymachiwać mi rękami przed nosem i wykrzykiwać: „Hej! Hej!”. Ja jednak chciałam przede wszystkim dołączyć do brata i nie uważałam za stosowne tłumaczyć się przed facetem, który miał ubranie przepocone pod pachami i brudne paznokcie.

Tymczasem od strony gości siedzących na sali rozległy się głośne protesty:

- Zatrzymaj ją! Niech ona tu nie wchodzi!

Kelner zupełnie otwarcie zatarasował mi drogę, więc spojrzałam mu wprost w oczy i spytałam:

- O co chodzi? - Dla pewności powtórzyłam to samo po somalijsku: - *Warrier, Maa'hah d'ihl*

Unikał mojego wzroku, tylko syknął, jakby wyganiał kurczaka, który wlaź w szkodę:

- Pani nie może tu wchodzić! To lokal tylko dla mężczyzn!

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - zdziwiłam się. - Dlaczego nie mogę tu wejść, kiedy chce mi się jeść? - Wprawdzie w Somalii nie było zwyczaju, aby kobiety jadały razem z mężczyznami w restauracjach, nie sądziłam jednak, że zabrania im się tam wejść, jeśli chcą.

- Ta restauracja jest tylko dla mężczyzn, kobiet nie obsługujemy - powtórzył.

- Ależ to śmieszne! Przecież nie sprawię nikomu kłopotu.

- Powiedziałem, proszę wyjść! - warknął, nadymając się jak balon, a mnie zatkało do tego stopnia, że

nie wiedziałam, co mam zrobić. Mohammed myślał tylko o tym, żeby zaspokoić głód, a Musa spieszył się w dalszą drogę. Nie mogłam nawet do nich dotrzeć, aby im powiedzieć, co się dzieje - ten antypatyczny typ stanął między mną a kuchnią. Byłam wściekła, bo burczało mi w brzuchu po całym dniu jazdy bez posiłku. Wyprostowałam się więc hardo i wsiadłam na niego z góry:

- No, więc proszę mi powiedzieć, gdzie kobieta może coś zjeść?

- Tam, tam, z tyłu! - pokazał kościstym palcem na zewnątrz, jakbym swoim wtargnięciem zakłóciła spokój tej zatęchłej nory z poobijanymi, powiązаныmi drutem stolikami ustawionymi na klepisku.

Na szczęście Mohammed tymczasem obejrzał się za mną. Potrzebował moich pieniędzy, żeby zapłacić za zamówione dania, no i zaniepokoił się, gdzie przepadłam.

Podszedł do niechlujnego kelnera i spytał go:

- Co tu się dzieje?

- Och, przepraszam pana bardzo. - Mały śmierzdel od razu zrobił się uprzejmy. -

Tutaj nie wolno przebywać kobietom. Dla nich przeznaczona jest osobna sala.

Mój brat zmierzył wzrokiem od stóp do głów chuderlawego człowieczka o chytrych oczkach i w brudnej koszuli. Zauważył przy tym, że na sali panuje cisza, bo wszyscy goście obserwowali nas z zapartym tchem, czekając, jak zareagujemy. Mohammed dał mi znak głową, abym się nie odzywała, a sam zagadnął kelnera:

- Dobrze więc, gdzie jest ta sala dla kobiet? Proszę nam pokazać. Kelner, głośno klapiąc japonkami, wyprowadził nas na zewnątrz.

Obeszliśmy naokoło taras i ocieniające go drzewa, aż znaleźliśmy się poza głównymi pomieszczeniami restauracyjnymi. Wskazał nam zrujnowaną przybudówkę na zapleczu ustępu, obrócił się na pięcie i poczłapał z powrotem na salę.

Oczywiście nie spodziewałam się tu zobaczyć eleganckiej toalety wyłożonej glazurą, z porcelanowym, splukiwanym sedesem. Ustęp był typowo somalijski, z wykopaną na środku głęboką dziurą. Bił z niego duszący smród i roiło się od much, a ze wszystkich kątów wy-

łaziły brązowe prusaki. Do ściany tego wychodka przylegała „jadalnia” dla kobiet, a właściwie obdrapana i zakurzona klitka bez stolików i krzeseł, tylko z jedną kulawą ławą.

Zbierało mi się na płacz, bo moja matka nawet kóz nie trzymałaby w takiej śmierdzącej dziurze. Mężczyźni siedzieli sobie jak królowie na ocienionym drzewami tarasie, a kobietom kazali jeść pod sraczem!

Tego już było za wiele nawet dla Mohammeda, który lubił pozować na męskiego szowinistę. Spojrzeliśmy po sobie, a potem mój brat rzucił tylko: „Niech to szlag trafi!”

Obróciliśmy się na pięcie i zawróciliśmy do samochodu. Tam Mohammed spytał:

- No więc, co robimy?

- Nie ma tu innego miejsca, gdzie można by coś zjeść? - zagadnęłam Musę. - Bo ja umieram z głodu!

- Ja też - przyznał Mohammed.

- Niestety, w tej okolicy nie ma żadnej innej restauracji. - Musa potrząsnął głową.

- Waris, czy ty może obraziłaś czymś tego kelnera? - dociekał Mohammed.

- Skąd, sama obecność kobiety była obelgą dla tego pawiana!

- Spróbuję porozmawiać z kucharzem. Wyglądał mi na rozsądnego - postanowił mój brat i udał się do kuchni od strony zaplecza.

- Przepraszam, ale w tamtej sali jest tak brudno, że nie mam serca zostawić tam mojej siostry - zagał. - Jesteśmy tu przejazdem, chcieliśmy tylko coś zjeść i zaraz pojedziemy dalej.

Kucharz wprawdzie go wysłuchał, ale okazał się równie uparty jak kelner.

- Przykro mi, ale kobietom do naszego lokalu wstęp wzbroniony.

- Co to znaczy wzbroniony? A jeśli komuś chce się jeść? Chyba coś tu gotujecie?

- Oczywiście.

I podajecie?

- Tak.

- No to w czym problem? - Mohammed starał się zachować spokój. - Przecież moja siostra też jest człowiekiem, więc chyba ma prawo coś zjeść?

Kucharz ani drgnął, toteż mój brat nie chciał bardziej zaognić sytuacji. Dodał

pojednawczym tonem:

- W porządku, rozumiem, że panowie nie chcecie obsługiwać kobiet. Może więc pozwoli pan, żeby moja siostra poczekała na zewnątrz, a my wyniesiemy jej coś do zjedzenia?

Tym razem kucharz odszczeknął po chamsku:

- Chyba mówię wyraźnie, że kobietom w ogóle nie wolno tu przebywać? Nigdzie!

Mimo że miał na sobie tylko pomiętą koszulę i obszarpane *maa- a- weiss*, założył ręce na piersi i toczył wokoło dumnym wzrokiem lorda. W końcu mój brat się zdenerwował.

- A wsadź sobie gdzieś swoje gówniane żarcie! - wrzasnął. - Chodź, Waris, jedziemy!

Bez słowa obróciłam się na pięcie i z godnością wyszłam za Mohammedem.

Wskoczyliśmy do samochodu i ostro ruszyliśmy z miejsca, wznosząc za sobą tuman kurzu.

- W gruncie rzeczy karmią tu dosyć podle - pocieszał nas Musa. Mnie natomiast bardziej podniosło na duchu to, że brat stanął po mojej stronie. Miałam ochotę go uściskać, a za to on burczał pod nosem:

- I jak nasz kraj ma wyjść z dołka, jeśli ludzie nie mogą wyzbyć się tych starych, głupich przyzwyczajień? Przecież to bezsens!

- Jasne, że z tymi zabobonami daleko nie zajedziemy - poparłam go zadowolona, że nareszcie zaczął inaczej patrzeć na pewne rzeczy.

- Kobiety nie mogą jeść tam, gdzie mężczyźni, ani strzyc im włosów, zaszywa się im naturalne otwory i pod żadnym względem nie traktuje ich na równi z mężczyznami!

Rozumiem, że ktoś ma takie poglądy, i szanuję to, ale jakim prawem chcą mi je wciskać na siłę?

- To się musi zmienić, Waris - zapewnił Mohammed. - Jeśli nie zaczniemy traktować kobiet jak równych sobie, to nigdy nie przestaniemy pogardzać członkami innych klanów i plemion.

Łzy mi stanęły w oczach, bo miałam powód do dumy z mojego brata. On już się zmienił!

JUTRZENKA PUSTYNI

Daj więc krewnemu, co mu się należy,

i biednemu, i podróżnemu!

To jest dobro dla tych, którzy chcą oblicza Boga.

Koran, Sura XXX - Bizantyjczycy, 38

Musa gnał jak oszalały przez samo serce Somalii - od granicy z Etiopią do wybrzeży Oceanu Indyjskiego. Minęliśmy wsie Garoowe, Nugaal i Qardho, większe niż osada, w której mieszkała moja matka, ale tak samo pozbawione prądu, kanalizacji, szkół i szpitali.

Przejeżdżaliśmy przez kałuże wielkie jak jeziora i koleiny sięgające po kolana. Nieraz Musa cudem wyprowadzał samochód z głębokich dziur w nawierzchni, wypełnionych błotem. Nie pamiętam już, ile razy zносиło nas na przeciwną stronę szosy.

Późnym popołudniem zjechaliśmy nad rzekę, aby się ochłodzić i obmyć twarze.

Skorzystalismy z okazji, bo na pustyni woda zawsze gdzieś się zapodziewa. Stado szpaków o błyszczących w słońcu niebieskich i żółtych piórkach poderwało się do lotu, a brzegiem rzeki spokojnie dreptały dwa pawie. W Somalii uważa się, że ptaki te przynoszą szczęście, zwłaszcza jeżeli chodzą parami, ale równocześnie same ich pióra kojarzone są ze złą wróżbą.

Mohammed zdjął buty i bosy brodził po płytkiej wodzie, a ja najchętniej zanurzyłam w niej wargi i chleptała jak spragniony lew!

- Gdybyśmy mieli więcej takich rzek, Somalia byłaby najpiękniejszym miejscem na ziemi - zauważyłam. Opłukałam w rzece twarz i ręce, ale chętnie rozebrałabym się i popływała. Chciałam przynajmniej podwinąć suknię, ale Mohammed upierał się, abym ją opuściła. Obok nas wielbłąd ze spętanymi przednimi nogami zszedł do rzeki, aby się napić, niezgrabnie podskakując. Widok ten nasunął mi porównanie: - W tych długich kieckach i chustach czuję się zupełnie jak ten wielbłąd!

- A kto ci każe ciągle gdzieś biegać? - odciął się Mohammed. Dałam więc spokój, bo wiedziałam, że w pewnych kwestiach go nie przekonam. Zmoczyłam tylko szal w wodzie i jeszcze raz obmyłam nim twarz. Tymczasem Musa zauważył na skraju szosy dużego lądowego żółwia. Zwierzę popatrzyło na nas paciorkowatymi, czarnymi oczkami i zaraz schowało się w skorupie, kiedy tylko podeszłam bliżej.

- Może to jakiś znak? - zastanawiałam się. - Czyżby przez tego żółwia mój duch opiekuńczy chciał mi dać do zrozumienia, że mój dom jest bezpieczny?

Zanim poczuliśmy morskie powietrze od Oceanu Indyjskiego i zobaczyliśmy pierwsze światła Bosasso, miasto już dawno spowiła cisza nocna. Ciszę tę przerywał tylko chłopot fal o brzeg. Musa podwiózł nas pod hotel, więc Mohammed poszedł sprawdzić, czy są wolne pokoje i czy da się coś

zjeść. Prawdę mówiąc, o tej porze bardziej marzyłam o prysznicu i wygodnym łóżku niż o posiłku. Wątpiłam zresztą, czy uda się dostać coś do jedzenia, bo mieszkańcy Somalii jadają zwykle główny posiłek w południe, a po zmroku restauracje się zamyka, gdyż dostawy prądu są nieregularne. Jeździliśmy od hotelu do hotelu, ale w żadnym nie było wolnych pokoi. W końcu Musa zawiózł nas do małego hoteliku w bocznej uliczce.

Nie zraził mnie jego skromny standard, bo byłam zbyt zmęczona.

- Niestety, nie mamy już wolnych miejsc - poinformował nas siwowłosy recepcjonista z brodą farbowaną na rudo henną, przecierając zaspane oczy.

- Co tu się u was dzieje? - zainteresował się Mohammed. - We wszystkich innych hotelach też mają komplet.

- Bo dużo ludzi czeka na samolot do Abu Dhabi - wyjaśnił, wskazując na tłumy oczekujących w hallu.
- Pracują dla agend ONZ albo dla innych instytucji... Teraz mamy ruch w interesie, tylko w zeszłym tygodniu nikt nie przyleciał, bo samolot nie wylądował! -

zarechotał, ukazując szczyrby po trzech dolnych zębach, a resztę poczerniałą od żucia *khatu*. -

Macie pojęcie: kozy pasły się na płycie lotniska, więc ten głupi pilot przestraszył się i zawrócił do Abu Dhabi!

Wydawało mu się to szalenie dowcipne, ale mnie wcale nie śmieszyło, bo musiałam wracać do Nowego Jorku. Nie uśmiechał mi się przymusowy postój w Bosasso z powodu kóz wałęsających się po pasie startowym. Nie mieliśmy jednak zarezerwowanych miejsc w samolocie, więc musieliśmy czekać na swoją kolejkę. Odwróciłam się więc do Mohammeda i zapytałam:

- Jak myślisz, załapiemy się na ten lot czy możemy mieć trudności?

- Zaraz pojedę na lotnisko i sprawdzę, jak wygląda sytuacja - obiecał, a zwracając się do recepcjonisty, dodał: - Czy w tym mieście jest jeszcze jakiś hotel?

- Wątpię, żeby pan o tej porze coś znalazł. W Bosasso jest tylko kilka hoteli i wszystkie pękają w szwach.

Kiedy zastanawialiśmy się, co wobec tego mamy zrobić, podszedł do nas nieznajomy mężczyzna i zapytał mojego brata:

- Ty jesteś Mohammed Dirie?

- Tak, a mój ojciec nazywa się Dahee Dirie - odpowiedział Mohammed. Wdali się w rozmowę o naszym ojcu, ale byłam zbyt zmęczona, aby się przysłuchiwać. Zauważyłam tylko, że obcy pan ma dosyć wydatny brzuch i nosi okrągły, haftowany kapelusz, co oznacza, że odbył pielgrzymkę do Mekki.

- Waris, to jest Hadzi Suliman - przedstawił go Mohammed. - Nasz krewny z klanu Mijertein i

Howiye.

Hadzi rzucił na mnie okiem i oświadczył Mohammedowi:

- Twoja siostra może się dziś przespać w moim pokoju.

Trudno mi było uwierzyć, że ktoś może odstąpić swoje łóżko zupełnie obcej osobie tylko dlatego, że pochodzi ze spokrewnionego klanu. Na Zachodzie wypadaloby się w podobnej sytuacji wymawiać: „Och, nie, dziękuję, nie mogę panu sprawić kłopotu!”.

Dopiero gdyby nasz dobroczyńca nadal naciskał - wypadalo przyjąć jego przysługę. U nas natomiast Hadzi obraziłby się śmiertelnie, gdybym odmówiła, więc mogłam już tylko wylewnie mu podziękować.

Poszliśmy do pokoju Hadżiego, który zabrał swoje rzeczy i dał nam klucz. Przestrzegł

mnie, abym się zamykała od środka i zamykała drzwi na klucz, gdybym gdzieś wychodziła.

- A ty, gdzie będziesz spać? - spytałam Mohammeda.

- Na dworze. Nie martw się o mnie - rzucił lekko i zaraz pośpieszył na lotnisko, aby dowiedzieć się czegoś konkretnego o naszym locie. Ja natomiast weszłam do pokoju, ale od samego patrzenia zrobiło mi się słabo. Mimo niemiłosiernego upału musiałam zamknąć drzwi od środka. Nawet otwarcie małego okienka nie poruszyło stojącego, zatęchłego powietrza.

Marzył mi się chłodny prysznic i łóżko z czystą pościelą - tymczasem w pokoju odstąpionym mi przez Hadżiego Sulimana śmierdziało potem i siuškami. Była tam cementowa podłoga i prycza, brakowało natomiast łazienki, a wentylator pod sufitem nie działał. Pozazdrościłam Mohammedowi - on przynajmniej prześpi się na świeżym, morskim powietrzu, na rozesłanym burnusie.

Łóżko składało się z wygniecionego, pełnego dziur materaca ułożonego na drewnianej ramie. Wiedziałam, że jakiegokolwiek narzekanie z mojej strony byłoby dowodem niewdzięczności, ale ten materac po prostu cuchnął. Wolałabym już spać na dworze razem z mężczyznanami - cóż, gdy nie wypadalo mi tego robić.

Po raz pierwszy doceniłam zalety długiej sukni - obetkałam ją sobie szczelnie wokół

nóg, a szal naciągnęłam na głowę dla ochrony przed pluskwami. Nie mogłam jednak zasnąć z powodu upału, a ponadto bałam się szcurów. Po ciemku nasłuchiwałam, czy coś nie skrobie pod ścianami, przez większą część nocy wypatrywałam tego, co wydaje takie dźwięki, i modliłam się, żeby nic nie zobaczyć.

Około czwartej rano, jeszcze przed wschodem słońca, usłyszałam pierwszy zaśpiew modlitewny. To muezin zawodził z minaretu: „Nie ma Boga oprócz Allaha, a Mahomet jest Jego prorokiem!”. Echo tej modlitwy rozlegało się we wszystkich kierunkach. Zdziwiające, jak szybko podchwytywało ją całe miasto. Pięć razy dziennie powtarzało się to samo z dokładnością, według której można było regulować zegarki.

Rano przyszedł po mnie Mohammed. Razem napiliśmy się herbaty i czekaliśmy na Musę, który jednak nie pojawił się więcej. Mohammed podejrzewał, że osłabł z wyczerpania, bo zarabiał na życie, wynajmując się jako kierowca. Poprzedniego dnia nie zdążył załatwić nic na lotnisku, więc teraz wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy tam, aby się zorientować, jakie mamy szansę dostania się na najbliższy samolot. Znalazło się zresztą więcej chętnych na kurs w tamtą stronę, a nawet gdy już wyjechaliśmy z miasta, jeszcze dwóch mężczyzn stało przy drodze i prosiło o podwiezienie. Nasza taksówka była załadowana, ale cieszyliśmy się, że możemy komuś pomóc. Wczesnym rankiem panował tu największy upał, gdyż nie wiał

jeszcze wiatr od morza. Dojeżdżaliśmy już do lotniska, gdy przed oczyma zamajaczyła mi błękitna tafla oceanu i z rozkoszą pomyślałam o orzeźwiającej kąpieli.

- Którędy można dojechać do morza? - zapytałam głośno.

- Czemu ona chce to wiedzieć? - Zwrócił się do Mohammeda wysoki mężczyzna z rytualnym nacięciem na policzku.

- Hej, nie musi pan pytać mojego brata, przecież ja tu siedzę! - próbowałam przyciągnąć jego uwagę.

- Do czego potrzebne jej jest morze? - Nasz współpasażer ostentacyjnie mnie ignorował i kierował pytania do Mohammeda.

- Jak to, do czego, nie widzi pan, jaka jestem zgrzana? Chętnie popływałabym w takiej chłodnej wodzie.

- Powiedz jej, że u nas nie pływa się w morzu. - Przekazał nieznajomy Mohammedowi. - My jesteśmy mieszkańcami pustyni.

Na lotnisku Mohammed od razu skierował się do ceglanego budynku dyrekcji, a ja czekałam na niego w samochodzie. Niestety, przyniósł złe wiadomości - samolot linii lotniczych Damal Airlines przylatywał dopiero za dwa dni, a do tego czasu musieliśmy czekać w Bosasso.

- Co takiego? - wykrzyknęłam. - Sama podróż z Galcaio zabrała nam cały dzień, a teraz jeszcze dwa dni mamy tu siedzieć? Mogłam przynajmniej o ten dzień dłużej zostać z mamą! Po kiego licha wyjechaliśmy tak wcześnie?

- Musimy tu siedzieć, żeby mieć pewność, że dostaniemy się na ten samolot, bo innego nie ma - tłumaczył Mohammed. - Oni tu nie rezerwują miejsc, więc trzeba pilnować swojej kolejki.

- Co za bałagan! - oburzałam się. - Zmarnujemy dwa dni, które mogłam spędzić z rodziną.

- Trudno, tak już tu jest, ale nie martw się. Niech no tylko przyleci ten samolot, na pewno się do niego dostaniemy.

- *Inszallah*, jeśli Allah zechce - zacytowałam słowa mojej matki. Przypomniałam sobie, co mi jeszcze powiedziała - że Allah ma co do mnie specjalny plan. Wobec tego postanowiłam wykorzystać czas przymusowego pobytu w Bosasso na rozmowy z tutejszymi ludźmi na temat

programu ONZ, w którym brałam udział. Chciałam dowiedzieć się z pierwszej ręki, jakie mają problemy, aby *znaleźć* najlepsze sposoby ich rozwiązania.

Mohammed przedstawił mnie kolejnemu krewniakowi, który znał naszego ojca.

Abdillahi Aden był dyrektorem lotniska i załatwił dla nas miejsca w samolocie bez konieczności oczekiwania w kolejce. Towarzyszył nam w drodze powrotnej do miasta i chętnie rozprawiał o nowych inwestycjach w Bosasso.

- Ludzie odzyskali nadzieję, więc garną się do pracy - opowiadał. - Rząd Somalilandu cieszy się dużym autorytetem, bo zapewnił względną stabilizację. Bosasso się rozrasta, gdyż z dnia na dzień przybywa nowych mieszkańców.

- Moja siostra mieszka w Nowym Jorku i przyjechała do Somalii po raz pierwszy po dwudziestu latach - wtajemniczył go Mohammed.

- Ach, Nowy Jork? - zdziwił się Abdillahi. - Słyszałem, że jest tam bardzo niebezpiecznie.

- Czasami rzeczywiście - przyznałam.

- Podobno jedzą tam psy?

- No nie, psów nie jedzą! - zaprotestowałam.

- On ma na myśli hot dogi - wtrącił się Mohammed. - Europejczycy i Amerykanie jadają coś, co się tak nazywa, ale to nie jest zrobione z psa, tylko ze świni.

- To jeszcze gorzej. Cóż za straszne miejsce! - wzdrygnął się Abdillahi z udawaną powagą, a ja dopiero w tej chwili zorientowałam się, że sobie ze mnie żartuje. - No to kiedy wracacie do Somalii na stałe? Teraz jest tu bezpiecznie, moglibyście wrócić, zamiast jeść psy i świnię!

Abdillahi namawiał Mohammeda, aby włączył się do pracy przy odbudowie kraju, ale mój brat nie chciał nawet o tym słyszeć.

Po lunchu Abdillahi zawiózł nas do innego hotelu, gdzie znalazł się dla nas jeden wolny pokój. Wyposażenie miał prymitywne, tylko dwie wąskie prycze, ale przynajmniej był

czysty i, co najważniejsze, miał łazienkę! Mogłam wziąć prysznic ze słonej wody, którą pompowano rurami prosto z oceanu, i dziękowałam Allahowi, że przynajmniej tu jest jej pod dostatkiem.

Niedaleko od hotelu zauważyłam barak z pustaków żużlobetonowych opatrzoney godłem ONZ. Późniejszym popołudniem przeszliśmy się tam z Mohammedem, kiedy już sklepy i urzędy, zamknięte w porze największego upału, wznowiły działalność po poobiedniej sjeście. W pomieszczeniu znajdowało się kilku mężczyzn, których szef nadmienił, że pochodzi z Sierra Leone. Rzeczywiście nie miał regularnych rysów typowych dla Somalijczyków - szpecił go zbyt duży nos i skóra poznaczona dziobami po ospie.

- Jaki program panowie realizujecie? - zapytałam, chociaż pan pełniący funkcję kierowniczą spojrział na mnie jak na wariatkę. - Nazywam się Waris Dirie i za parę dni będę uczestniczyła w konferencji ONZ w Nowym Jorku. Chciałabym zebrać informacje na temat realizacji programów pomocy społecznej w Borsaso. Czy mogłabym zadać panu kilka pytań dotyczących pańskiej działalności?

Nagabywany przeze mnie mężczyzna wyduł dolną wargę i wbił wzrok w blat biurka, nie udzielając odpowiedzi. Potem zwrócił się do Mohammeda i podejrzliwym tonem zapytał:

- Dla kogo pracujecie? Czego tu szukacie?

- Nazywam się Waris Dirie i pracuję dla Organizacji Narodów Zjednoczonych -

powtórzyłam. Jednak kierownik placówki ignorował mnie i dalsze pytania adresował do Mohammeda:

- Kim jesteście? Czego od nas chcecie?

Stałam bezpośrednio przed nim, aby nie mógł unikać mojego wzroku.

- Przepraszam, ale ja mówię do pana! - zwróciłam mu uwagę.

- Co tu robicie? O co wam chodzi? - rozwrzeszczał się, ile sił w płucach, ale przez cały czas spoglądał na Mohammeda.

W głębi pokoju siedziało jeszcze dwóch mężczyzn, z których jeden wyglądał

inteligentniej, więc zwróciłam się do niego:

- Przepraszam, czy mógłby pan mi pomóc?

Zagadnięty podniósł oczy najpierw na mnie, potem na swego zwierzchnika, a w końcu obrócił się do kolegi i szepnął mu:

- Wyjdźmy stąd!

Ta ich podejrzliwość jeszcze bardziej pobudziła moją ciekawość. Ponownie obróciłam się do pana rodem z Sierra Leone i zaatakowałam go wprost:

- Przepraszam pana, ale mówię do pana, więc proszę patrzeć mi w oczy! Mój brat nie ma panu nic do powiedzenia, to ja zadałam pytanie.

Facet rozzłościł się tak, że podniósł rękę, jakby miał zamiar mnie odepchnąć.

Opanował się jednak, gdy Mohammed wyprostował swoją tyczkowatą figurę. Górując nad nim znacznie wzrostem, mój brat uspokoił go, że nie mamy zamiaru złożyć na nich donosu, tylko chcemy uzyskać pewne informacje.

- Jesteście jacyś dziwni. O co wam konkretnie chodzi? - spytał kierownik, wydymając wargę.

- Przepraszamy, jeśli odnieśliście wrażenie, że was szpiegujemy. Chciałam się tylko zorientować, czy realizujecie jakieś programy ONZ w zakresie ochrony zdrowia kobiet i dzieci.

- Aha, rozumiem. - Antypatyczny osobnik odetchnął z ulgą. - Niestety, w tych sprawach nie mogę państwu pomóc. W tamtym budynku są ludzie, którzy zajmują się takimi sprawami.

Pokazał nam budynek z pustaków, zaraz za rogiem. Rzeczywiście, również i tam wisiał szyld informujący, że mieści się tu agenda ONZ. W środku siedziało sześciu lub może siedmiu mężczyzn stłoczonych w jednym pokoju. Grali w naszą narodową grę *shax*, w której jednorazowo bierze udział dwóch zawodników. Funkcję planszy pełniły trzy kwadraty wyrysowane na zakurzonej podłodze, jeden wewnątrz drugiego. Każdy gracz ma do dyspozycji dwanaście kamyków, które układa na polach między kwadratami. Ten, komu uda się ułożyć trzy w jednym rzędzie, ma prawo *zabrać* kamień przeciwnika... Urzędnicy byli tak pochłonięci grą, że ledwo zauważyli nasze wejście. Dopiero po zakończeniu partii przywitani nas dosyć nieufnie. Podobnie zresztą jak w poprzedniej instytucji. Podejrzewali, że chcę wyłudzić od nich jakieś pieniądze, choć przekonywałam, że jestem wolontariuszką pracującą społecznie.

- Nie przyszedłam tu w poszukiwaniu pracy ani nie chcę panom przeszkadzać -

zapewniałam. - Kocham nasz kraj i chciałabym pomóc swoim rodakom. Jutro odlatuję do Nowego Jorku, a w przyszłym tygodniu mam spotkanie z wysokimi urzędnikami ONZ.

Myślałam, że będę mogła przekazać im informacje, czego naszym ludziom najbardziej potrzeba i w jaki sposób można im pomóc.

Panowie stali niepewnie, przestępując z nogi na nogę, starannie dobierali słowa, nie zważając na to, co powiedziałam. Próbowałam więc jeszcze raz przemówić im do rozsądku.

- Nie chcę od was niczego poza informacją, czego wam potrzeba - powtórzyłam. -

Przyjechałam tu, aby nieść pomoc.

Ich powściągliwość zdenerwowała mnie, więc wypaliłam im prosto w oczy:

- Dlaczego nie pozwalacie sobie pomóc? Czemu stwarzacie trudności?

Odniosłam jednak wrażenie, że mówię do ściany. Cokolwiek bym powiedziała - i tak nie słuchali, bo nie chcieli tracić czasu na rozmowę z kobietą. Kiedy już stamtąd wyszliśmy, Mohammed próbował oględnie mi tłumaczyć:

- Waris, w ten sposób nic nie wskórasz. W tym kraju kobieta nie może zwyczajnie wejść do urzędu i zadawać mężczyznom pytań. Tego się u nas po prostu nie robi.

- I jak mam wierzyć, że chcecie się zmienić? - podchwyciłam. - Z takim podejściem tu się jeszcze za sto lat nic nie ruszy!

W drodze powrotnej do hotelu zauważyłam jeszcze jeden budynek z godłem ONZ.

Przez okno zobaczyłam urzędujące wewnątrz kobiety, więc weszłam i zostałam niezwykle ciepło przyjęta. Panie te skierowały mnie do swojej koleżanki, odpowiedzialnej za problemy zdrowia i oświaty kobiet i dzieci. Biuro jej znajdowało się w osiedlu bloków z prefabrykowanych płyt na obrzeżu miasteczka. Pani Assia Adan była osobą pełną godności w obejściu, choć równocześnie o bezpośrednim sposobie bycia. Udzieliła mi wielu ważnych informacji o swojej misji, która polegała na szerzeniu oświaty zdrowotnej wśród kobiet. Z

zawodu położna, służyła pomocą medyczną, jak również wygłaszała wykłady o szkodliwości rytualnego okaleczania kobiet.

- Ostrzegamy przed niebezpieczeństwem zakażeń i przytaczamy przykłady dziewcząt, które zmarły wskutek powikłań po zabiegu - pochwaliła się, a ja od razu pomyślałam o mojej pięknej siostrze, która też przypląciła to życiem. - Dążymy do całkowitego wykorzenia tych praktyk, ale tutejszych ludzi trudno nakłonić nawet do rozmowy na ten temat. Matki nie odważają się kwestionować zasadności okaleczania dziewczynek, wręcz nie wyobrażają sobie, że mogłyby tego nie robić.

- Mojej matce też do głowy nie przyszło, że robi mi krzywdę - przypomniałam. -

Wierzyła święcie, że w ten sposób uczyni mnie czystą.

I Assia, i ja dobrze wiedziałyśmy, że w naszym kraju stosowana jest najdrastyczniejsza forma „obrzezania faraonów”, polegająca na wycięciu łechtaczki i mniejszych warg sromowych oraz zaszyciu pozostałej rany.

- Moja matka pilnowała, żebym przez cały czas gojenia spała na wznak, bo wtedy wszystko miało się czysto i gładko zrosnąć. Dla niej liczyło się, żeby całe moje ciało było czyste i gładkie. W jaki sposób ma pani zamiar to zmienić? - chciałam wiedzieć.

Assia wyjaśniła, że realizowany przez nią program zakłada upowszechnienie sunnickiej formy obrzezania, która ma bardziej symboliczny charakter. Podobno w Arabii Saudyjskiej postępowe kobiety zaakceptowały taki zabieg jako alternatywę.

- W mojej wiosce nie znalazłam ani jednej osoby, która chciałaby ze mną o tym rozmawiać - poskarżyłam się jej. - Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariatkę.

- Bo my dopiero zaczynamy - wyznała Assia. - Pracuję tu już od sześciu lat i nie posunęliśmy się ani na krok do przodu... Chociaż nie, postęp stanowi sam fakt, że nadal tu jesteśmy i nikt nie próbuje nas wydalić ani zmusić do zaprzestania działalności. Jakikolwiek punkt zaczepienia już daje pewną nadzieję.

- Też tak myślę. - Uśmiechnęłam się. - Bałam się wracać do własnego kraju, bo publicznie występowałam przeciwko rytualnemu okaleczaniu kobiet. W Ameryce przestrzegano mnie, że mogą mnie już na granicy aresztować, porwać albo coś jeszcze gorszego. A tu, proszę, jakoś nic mi się nie stało. Assia, ja tu jeszcze wrócę i będziemy pracowały razem. Pomogę ci, ile tylko będę mogła.

Opowiedziałam jej o moich planach stworzenia fundacji pod nazwą Jutrzenka Pustyni.

Zgromadzone pieniądze miały zostać przeznaczone na pomoc kobietom i dzieciom. W

założeniach fundacji figurowała budowa ośrodka zdrowia w Bosasso, prowadzenie szkoleń dla kobiet i ufundowanie objazdowych punktów krzewienia higieny i oświaty zdrowotnej wśród koczowników. Uścisnęłyśmy się i ucałowały serdecznie z Assią. Ludzie tacy jak ona pozwalają wierzyć, że postęp jest możliwy.

Wracając do hotelu, Mohammed stawiał tak długie kroki, że musiałam podbiegać, aby za nim nadążyć. Marsz utrudniała mi długa suknia wlokąca się po ziemi i płacząca wokół

kostek. Wygodniej mi się szło, kiedy ją podwinęłam. Przechodząc obok dwóch kobiet siedzących na tarasie jakiegoś domu, usłyszałam ich komentarz:

- Popatrz, jak wysoko zadarła suknię, prawie do pasa!

- To nie może być Somalijka, żeby tak się pokazywać przy ludziach!

Wieczorem poszliśmy z Mohammedem coś zjeść. Zabrałam ze sobą aparat fotograficzny, żeby uwiecznić co ciekawsze widoki miasta i ślady działalności agend ONZ.

Wychodziliśmy już z restauracji, kiedy zauważyłam barwny, elegancko wydrukowany plakat z mapą. Uniosłam aparat z lampą błyskową, kiedy nagle duży kamień trafił mnie w udo. Z

bólu aż podskoczyłam, ale dostrzegłam wózek załadowany butelkami wody sodowej, które rozsypały się po całej ulicy. Domyśliłam się, że chłopak, który rzucił kamieniem, musiał

schować się za tym wózkiem i zamach jego ręki strącił butelki. Wolałam nie czekać na dalszy rozwój wydarzeń i uciekłam do samochodu, gdzie czekał już Mohammed.

- Ktoś rzucił we mnie kamieniem! - poskarżyłam się bratu.

Mohammed w tym czasie spokojnie czyścił zęby pręcikiem z gałązki specjalnego krzewu. Z właściwym sobie poczuciem humoru rzekł:

- Szkoda, że cię nie zastrzelił.

- Ty draniu, mogło mi się coś stać! - oburzyłam się.

- Waris, mało to razy powtarzałam ci, żebyś nie robiła zdjęć, bo ktoś cię w końcu zabije? Wiesz, że niektórzy ludzie nadal wierzą, że w ten sposób kradnie się ich dusze. Dla ciebie to nie ma znaczenia, ale tutaj uważane jest za brak szacunku. Zrobiłbym to samo, gdyby jakaś obca baba wycelowwała we mnie aparat.

Wieczorem w hallu hotelowym kilka kobiet popijało herbatę. Nawiązaliśmy z nimi rozmowę i od jednej z nich, bardzo eleganckiej pani, dowiedzieliśmy się, że i one są Somalijkami. Moja

rozmówczyni, przyglądając mi się badawczo, zauważyła:

- Ależ pani podobna do pewnej rozmówczyni, którą widziałam w telewizji!

Byłam ciekawa, gdzie tu można oglądać telewizję, więc zapytałam:

- Przepraszam, a gdzie pani mieszka?

- W Szwecji - brzmiała odpowiedź.

- Kobieta z Somalii występowała w szwedzkiej telewizji?

- To była niemiecka stacja telewizyjna. Szkoda, że zapomniałam jej nazwiska...

- Coś podobnego! - udałam zdziwienie. - I co ona tam robiła?

- Występowała przeciwko rytualnemu okaleczaniu kobiet.

- A co pani o tym myśli? - spytałam przyciszonym głosem.

Chwała Bogu, że ktoś nareszcie głośno o tym powiedział! Jaka ona była odważna! -

wypaliła z błyskiem w oku moja rodaczka. - Przecież u nas w ogóle się o tym nie mówi.

Jestem dumna z tej kobiety. Dała nam nadzieję, że coś się może u nas zmienić.

- A pamięta pani może jej imię? - podpytałam.

- Chyba Waris... Ale czy to na pewno nie była pani?

- Nie, ja nie jestem taka odważna - wykrztusiłam, nie patrząc jej w oczy.

Potem wstydziłam się własnego tchórzostwa. Nie rozumiałam, dlaczego tak się bałam powrotu do własnego kraju. Na jakiej podstawie posądzałam swoich rodaków, że będą chcieli mnie zabić? Przecież wiedzieli o mnie wszystko, a mimo to mnie kochali! Ja jednak nie protestowałam, kiedy w Nowym Jorku przestrzegano mnie, jakim niebezpiecznym krajem jest Somalia. To prawda, że toczyły się tam wciąż działania wojenne, ale przez cały czas mojego pobytu w Somalii ani przez chwilę nie czułam strachu. Owszem, czasem złościło mnie traktowanie kobiet przez naszych mężczyzn, ale większość ludzi, których spotkałam na swojej drodze, przyjęła mnie bardzo przyjaźnie. Zewsząd słyszałam: „Chcesz to zobaczyć?”...

„Muszę ci to pokazać?”... „A to już widziałaś?”... „Koniecznie musisz to zobaczyć!”... i tym podobne. Może tu i ówdzie trwają jeszcze zatargi międzyklanowe, ale nie natknęłam się na agresywnych żołnierzy odurzonych *khatem*. Widziałam tylko piękny kraj i wspaniałych ludzi.

Łatwo jest przemawiać przeciwko czemuś z bezpiecznej odległości. To nie sztuka rzucać gromy na rytualne okaleczanie kobiet przy sali pełnej samych cudzoziemców. O wiele większej odwagi

wymaga narażenie się na dezaprobatę własnej rodziny, podważanie przekonań bezpośredniego rozmówcy! Walka z tymi barbarzyńskimi praktykami nie rozegra się przecież na Zachodzie, tylko w Somalii. Dzięki Allahowi, że doprowadził mnie z powrotem do mojego kraju, abym mogła sama zobaczyć, ile jest jeszcze do zrobienia. Oby dał

mi siłę przekonywania moich rodaków w taki sposób, aby chcieli mnie wysłuchać i zrozumieć! Nawet krótki pobyt w rodzinnych stronach uświadomił mi, jak trudno jest zmienić zastarzałe ludzkie nawyki, ale nie tracę nadziei. Najważniejsze, że kocham swój kraj i gdybyście mnie w tej chwili zapytali, gdzie pragnęłabym żyć - zaśpiewałabym wam: „Dzień dobry, Afryko! Jak się czujesz? Bo ja świetnie”.